

Kilkaset lat temu pięciu rycerzy zawarło brzemienne w skutki pakt. Od tamtej pory na ich rodach spoczęło przekleństwo. Pierworodni w każdym pokoleniu umierali w młodym wieku, nie dożywali dwudziestych piątych urodzin...

Rok 2000  
Morten po wypadku samochodowym leży w szpitalu. Razem ze swą starą przyjaciółką Unni stwierdzają, że wpłatali się w przerażającą historię, której korzenie sięgają daleko w przeszłość. Morten otrzymał wiele ostrzeżeń i teraz już wie, że ktoś czyha na jego życie. Młodzi postanawiają wspólnie zwalczyć złe moce, lecz czasu pozostało już niewiele. Dwudzieste piąte urodziny zbliżają się nieuchronnie...

MARGIT SANDEMO – niezwykle popularna i ceniona współczesna pisarka norweska, autorka SAGI O LUDZIACH LODU, SAGI O CZARNOKSIEŻNIKU, SAGI O KRÓLESTWIE ŚWIATŁA oraz kilkudziesięciu OPOWIEŚCI.



ISBN 83-7264-144-7



9 788372 641441

POL  NORDICA

Tajemnica Czarnych RYCERZY 1

MARGIT SANDEMO

ZNAK

indeks 366218  
12,00 zł (0%VAT)

ZNAK

NOWA SERIA

Tytuł oryginału: „I skyggen av et tegn”

Ilustracja na okładce: Allied Artists/Neil Reed

Redakcja: Elżbieta Skrzyńska

Copyright © 2000 by Bładkompaniet AS

For the Polish edition:

Copyright © 2001 by POL-NORDICA Publishing Sp. z o.o.  
All rights reserved

ISBN 83-7264-144-7

Druk AiT Trondheim AS, Norwegia

Adres wydawcy:

POL-NORDICA Publishing Sp. z o.o.  
05-400 Otwock, ul. Karczewska 10  
e-mail: polnord@>polnordica.com.pl  
<http://www.polnordica.com.pl>

Wydawca jest członkiem Polskiej Izby Książki, Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Wydawców oraz Izby Wydawców Prasy

## *Przebłysek przeszłości*

Otaczali go niczym górujące nad światem cienie, pięć budzących grozę postaci w czarnych pelerynach.

Mocniej zacisnął rękę na pochodni, która słała przytłumione, migoczące światło w głąb łukowato sklepionej krypty. Prastare sklepienie i ściany poczerniały od sadzy płonących tutaj od stuleci pochodni.

- Przysięgam - odparł, czując, jak serce wali w piersi. - Obiecuję wykonać to, czego ode mnie żądacie. W zamian chciałbym, abyście spełnili moją prośbę.

Pochylili głowy powolnym, uroczystym ruchem, jak gdyby odpowiadali twierdząco. Jeden z nich w geście uspokojenia dotknął jego ręki, potem dali znak, że spotkanie dobiegło końca. Mógł ruszyć w górę wytartych stopni i wyjść na zewnątrz.

Na dworze zapadła czarna noc. Gdzieś w odległej wiosce skowyczał pies, poza tym dokoła panowała cisza.

Był cienko ubrany. Przeszedł go dreszcz, wiedział jednak, że nie jest on wywołany wyłącznie zimnem.

Pięć postaci dosiadło koni, zawróciło i wkrótce stracił jeźdźców z oczu.

Został sam w nocnym mroku. Ścieżka rysowała się przed nim ledwie dostrzegalną szaroczną smugą.

Co ja zrobiłem? zadawał sobie w myślach pytanie, kierując się z powrotem w stronę wioski. Co ja właściwie zrobiłem? Ale czy mogłem postąpić inaczej?

Ręka powyżej nadgarstka piekła, ból stawał się coraz bardziej intensywny. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego tak się dzieje.

Podniósł pochodnię w górę, zatrzymał się, poświecił. Zadrzał gwałtownie, gdy zobaczył, że na ręce coraz wyraźniejsze staje się wypalone znamię.

To był znak. Patrzył przerażony, w pierwszej chwili nie rozumiejąc, skąd piętno mogło się wziąć na jego skórze. Już kiedyś widział ten znak, ujrzał go również niedawno, na ścianie krypty.

Czyżby ten dotyk dłoni na jego ręce?

Tak.

Jeszcze raz szepnął:

- Mój Boże, co też ja zrobiłem?

W głosie sześciolatka słychać było oszalałą rozpacz.

- Antonio, uciekaj! Schowaj się, prędko!

- Nie, Jordi - odparł młodszy brat głosem zduszonym od łez. - Nie, bo on złapie ciebie! Muszę przy tobie być!

Jordi objął mocno czteroletniego Antonia. Bracia, drżąc ze strachu, skulili się razem za kanapą.

Słyszeli odgłosy ciosów i zduszone krzyki matki, a potem zniechęcony wrzask ojczyma:

- Poderżnę gardło temu diabelskiemu nasieniu!

- Przecież Jordi nic nie zrobił! - płakała matka.

- Zawsze coś robi! - ryknął ojczym. Odepchnął żonę na bok i znalazł chłopców.

- Uciekaj, Antonio, uciekaj! - zawołał Jordi.

Matka złapała Antonia na ręce. Ojczym zdażył już chwycić Jordiego i cisnął nim przez cały pokój. Sześciolatek zaniósł się krzykiem przerażenia i bólu.

Oczy Antonia pociemniały z gniewu.

- Pewnego dnia zabiję ojczyma, mamó.

- Och, nie, nie - szepnęła matka. - Dostyc już tego. Dziś w nocy uciekniemy, ty, ja i Jordi.

- Dobrze - załkał Antonio. Ale jego pełne rozpacz i nienawiści oczy nawet na chwilę nie odrywały się od potężnego mężczyzny. - Pewnego dnia - szepnął. - Pewnego dnia...

# CZEŚĆ I

## CICHA UWERTURA

# 1

*współcześnie*

- Nie powinnaś odwiedzić Mortena, Unni?

To matka spytała, zawieszając na Boże Narodzenie zasłony z wzorkiem w grające na trąbach aniołki. Na czerwonym niby czapka krasnoludka tle aż roiło się od postaci z policzkami rumianymi jak jabłuszka i okrągłymi brzuskami.

W Unni odezwały się wyrzuty sumienia. Oczywiście, że powinna odwiedzić Mortena, przyjaciela, któremu życie zniszczył pirat drogowy. Uderzenie w plecy, rozległe obrażenia wewnętrzne i w efekcie leżał teraz w szpitalu.

Na początku koledzy z ich grupy stawiali się jak jeden mąż, odwiedzali go w porę i nie w porę, zasypywali pikantnymi „rozweselającymi” historyjkami o nocnym życiu w mieście, przynosili kwiaty, owoce, czekoladki, krzyżówki i pornograficzne gazetki. Morten zaliczał się do tych, którzy wolą raczej krzyżówki; w każdym razie tak twierdził.

Cóż, w miarę upływu czasu jednak koledzy wykazywali coraz bardziej sporadyczne zainteresowanie wypadkiem i przykrym stanem, w jakim znalazł się Morten.

W końcu wizyty całkiem ustały. Mortena przeniesiono z oddziału wewnętrznego do centrum rehabilitacji, a tam przestał budzić czyjąkolwiek ciekawość.

- Przyszła dziś do ciebie kartka od niego - ciągnęła

matka. - Z życzliwym pytaniem, czy nie miałybyś czasu do niego zajrzeć. Proszę, to ona.

Sumienie Unni przecknęło się na dobre, ale przez całą dobę musiało niecierpliwie stukać ją palcem w plecy, nim wreszcie zdecydowała się pojechać autobusem do miasta. Zapomniała o jakimś upominku dla chorego i uświadomiła sobie, że będzie musiała kupić coś idiotycznego w szpitalnym kiosku.

Morten, no cóż. Był po prostu jednym z ich grupy. Całkiem zwyczajny chłopak, nieco cichy z natury, a już na pewno nie dałoby się go nazwać typem przywódcy. Wygląd też miał zwyczajny, absolutnie nie rzucający na kolana, lecz nie było w nim nic niesympatycznego, raczej przeciwnie. Ot, normalny chłopiec, który prawdopodobnie nie raz dozna przykrego zawodu, lecz zapewne kiedyś w przyszłości jakaś dziewczyna zadurzy się w nim z powodów znanych tylko miłości, a potem szczerze go pokocha dla jego dobrego charakteru. Unni bardzo lubiła dobrodusznie patrzące niebieskie oczy Mortena pod jasną jak len grzywką i zdradzający lekkie zażenowanie uśmiech.

Morten nie zasłużył na to, by w taki sposób znaleźć się poza nawiasem życia.

Autobus się zatrzymał, wysiadła.

Unni nienawidziła miast, nienawidziła ulicznego ruchu, ludzi pędzących i wpadających na siebie na chodnikach, w sklepach, w kawiarniach. Od czasu do czasu nachodziła ją ochota, by głośno zawołać „Pali się!”, jedynie po to, żeby mieć stolik czy ladę sklepową tylko dla siebie. Ale gdyby tak zrobiła, zapewne uciekłyby też personel.

Całe miasto wydawało jej się wstrętne. O tej porze roku najgorsze były oblodzone, śliskie chodniki. Sklepowe wystawy udekorowano już świątecznie, mało brakowało, a na głowę spadłaby jej girlanda z iglastych

gałązek, w porę jednak ostrzegł ją mężczyzna stojący na drabinie i zdołała się jakoś uchylić.

Pięknie by wyglądała w świecącym świerkowym wieńcu na głowie. Trochę jak jakaś święta domowej roboty?

Szła, uśmiechając się pod nosem, i nawet przez moment nie zdała sobie sprawy z tego, że właśnie znalazła się na zdradziecko nachylonym chodniku na rogu przy sklepie z artykułami żelaznymi. Poślizgnęła się na lodzie, w ostatniej chwili wczepiła ręce w rynnę na rogu budynku, czując, jak nogi rozsuwają jej się w przeciwnie strony, i nie mogąc znaleźć punktu oparcia.

Cóż za idiotyczna scena, pomyślała. Prawie na czworakach popełzła ku posypanemu piaskiem fragmentowi chodnika, nie mając śmiałości się odwrócić. Nie chciała wiedzieć, ile osób było świadkami jej akrobatycznych wyczynów.

Resztę drogi przedreptała ostrożnie, drobiaz kroki niczym dziewięćdziesięcioletnia staruszka. Czuła się trochę jak pingwin po upojnej nocy.

Poczucie humoru było chyba najmocniejszą stroną Unni. Prawie skończyła już dwadzieścia jeden lat, z których co najmniej pięć spędziła przed lustrem, patrząc na swoje odbicie z głęboką pogardą. Podobnie jak większość nastolatków niesprawiedliwie oceniała własną fizjonomię i jak to zwykle bywa, najbardziej znienawidzonym elementem był nos, choć tak naprawdę nie dało mu się nic zarzucić. Unni nie rozumiała, że błysk w oku po dziesięćkroć równoważy wszystko to, czego mogło jej brakować do ideału. Owa niezwykłość, której tak gorąco pragnęła, tkwiła bowiem właśnie w zaraźliwej wesołości, widocznej w jej oczach. Owszem, być może inne dziewczęta z ich grupy rzeczywiście były ładniejsze, a chłopcy, wierni swej naturze, zwracali uwagę przede wszystkim na wygląd,

ale i tak z Unni było im najwesелей i właśnie ją prosili o radę, chociaż z rzadka zapraszali ją do kina albo do kawiarni. Ostatecznie jakoś się z tym pogodziła, wcześniej jednak znosiła to o wiele trudniej.

W szpitalu nie od razu znalazła Mortena, kilkakrotnie musiała o niego pytać. Pobłądziwszy trochę, zastała go w końcu w sali do ćwiczeń. Stał między dwiema poręczami, wolno przesuając nogi po ruchomej bieżni.

- Zakładam, że za tym twoim marszem w miejscu kryje się więcej energii, niż na to wygląda - powiedziała cierpko.

Mortena widok koleżanki zaskoczył i ucieszył.

- Owszem - uśmiechnął się, nieprzerwanie stawiając jedną stopę za drugą.

- Imponująca robótka nożna w ślimaczym tempie - skomentowała Unni z uznaniem. - Chociaż ślimaki nie mają nóg. Cieszę się, że w końcu stanąłeś na nogi, Morten. Kupiłam ci winogrona. Wiesz, podobno dla zdrowia trzeba jeść pięć owoców dziennie. Ja się pocieszam właśnie tym, że zjadam pięć winogron. Możemy iść gdzieś pogadać?

- Oczywiście, jeśli tylko zdołasz mnie wyłączyć i zanieść do łóżka. Nie mogę oderwać rąk od tych poręczy, bo zaraz się przewrócę.

- Ojej, jaka ja jestem głupia - szepnęła zawstydzona Unni.

Odszukała pielęgniarkę, która zatroszczyła się o to, żeby spocony i wycieńczony Morten mógł się wreszcie położyć. Unni przeraziła się, zobaczywszy, jak bardzo bezradny jest przyjaciel, i podziwiała go za to, że znajduje jeszcze siłę, by walczyć.

- Musisz mieć bardzo silne ręce - pochwaliła go. - Od szpinaku?

- Raczej od szparagów, jeśli prawdą jest, że człowiek staje się tym, co je. Ja w każdym razie czuję się właśnie jak szparag.

Unni poczuła nagle ciarki biegnące wzdłuż kręgosłupa. Dreszczy nie wywołały wcale słowa Mortena, lecz coś, co znajdowało się w jego pokoju. Nie mogła się oprzeć wrażeniu, że są obserwowani.

Ukradkiem zerknęła na sufit, jak gdyby szukała ukrytej kamery, lecz oczywiście niczego takiego tam nie było. Głupia jestem, skarciła się w myślach. Jednakże uczucie, że ktoś na nich patrzy, nie chciało jej opuścić.

Spróbowała się z niego otrząsnąć.

Unni miała bardzo krótką fryzurę z króciuteńką grzywką. Akurat w tej chwili szczerze pożałowała, że obcięła swoje długie włosy. Rekonwalescent powinien móc patrzeć na coś ładnego.

- Chcesz, żebym przyprowadziła Vesłę albo Emmę? - zapytała spontanicznie.

Morten podświadomie wychwycił jej skojarzenia.

- A dlaczego, na miłość boską, miałabyś je tu wprowadzać? Potrzebuję kogoś, z kim mógłbym porozmawiać, a nie podniecających, nieosiągalnych zjawiskowych fatamorgan.

Bardzo ci dziękuję za te słowa, pomyślała Unni z przekąsem. Ale sama sobie na nie zasłużyłam.

Na chwilę zapadła cisza.

- Dzięki za kartkę.

- Co? Za jaką kartkę?

Ojej, najwyraźniej ten samochód musiał go też mocno uderzyć w głowę. Unni posiadała jednak dość taktu, by prędko znaleźć jakieś wyjście z tej sytuacji.

- Przepraszam, musiałam cię pomylić z kimś innym. Przeszłam tu wcale nie dlatego, że przysłałeś mi kartkę, która wywołała we mnie wyrzuty sumienia. Przy-



szłam, ponieważ się za tobą stęskniłam, podobnie zresztą jak my wszyscy.

Morten rozjaśnił się, choć minę wciąż miał bardzo niepewną i patrzył trochę podejrzliwie.

- Myślmy o tobie przez cały czas - zapewniła Unni niczym mistrzyni białych kłamstw. - Po prostu nie bardzo potrafimy przełożyć myślenie na czyny. W każdym razie tak jest ze mną. Inni chyba cię odwiedzali?

- Ty jesteś pierwsza - odparł krótko. - Ciocia z wujkiem przychodzą w niedziele, poza tym nikt do mnie nie zagląda.

Sumienie Unni znów się odezwało.

- Ale oni tego chcą, Morten, naprawdę! Wiesz, duch wprawdzie ochoczy, ale ciało słabe. Nie, to nie bardzo pasuje do sytuacji.

- Dziękuję, że przyszedłeś - dodał nagle Morten.

- Mówisz tak, jakby coś ci leżało na sercu.

- Owszem. Jak już powiedziałem, potrzebuję kogoś, z kim mógłbym p o r o z m a w i a ć . I to potrzebuję rozpaczliwie!

- Ja mogę być tym kimś.

- Wydaje mi się, że ty jesteś najwłaściwszą osobą. Wręcz jedyną właściwą.

- Ach, powtarzaj mi to częściej!

Morten głośno wciągnął powietrze.

- Unni... Ty się potrafisz śmiać prawie ze wszystkiego. Ale potrafisz także zachować powagę, prawda?

- Jak kompletnie pozbawiony poczucia humoru polityk samorządowy.

- Okej. To poważna sprawa. Szalona, ale poważna.

Jakoś ciasno zaczyna się robić w tym pokoju, pomysłała nagle Unni. Jakby nas przybyło?

Nie, wciąż jest nas tylko dwoje.

- No to mnie posłuchaj - poprosił Morten. - Nie-

zbyt dobrze pamiętam moją matkę, umarła, kiedy miałem trzy lata. Miała wtedy dwadzieścia pięć lat.

- To bardzo smutne.

- Owszem. Ojciec ożenił się ponownie i zafundował mi macochę, ale ona nie była dla mnie wcale taka zła. Próbowałem jednak zbadać trochę moje drzewo genealogiczne. Nie zaszedłem daleko, zaledwie kilka pokoleń wstecz, lecz o ile zdążyłem się zorientować, to dziadek, ojciec matki, również zmarł w wieku dwudziestu pięciu lat. Podobnie zresztą jak jego matka.

- To rzeczywiście bardzo dziwne.

- No właśnie. A ja za parę miesięcy kończę dwadzieścia cztery lata i w takim razie zostaje mi zaledwie rok życia.

Chyba rzeczywiście musiało go nieźle rąbnąć w głowę!

- Nie sądzisz chyba, że...

- To jeszcze nie wszystko, Unni, absolutnie nie wszystko!

- Znalazłeś więcej przodków?

- Nie, dalej nie udało mi się dotrzeć. Wspinaczka po drzewach genealogicznych nie jest łatwa, kiedy się nosi nazwisko Andersen.

- Rozumiem. Sądzisz, że może chodzić o jakąś dziedziczną chorobę?

- Nie, nie, nie. W mojej rodzinie jesteśmy wszyscy nieprzyzwoicie zdrowi, o ile, rzecz jasna, nie wchodzi my w drogę zbaczającym nagle samochodom.

- Chcesz powiedzieć, że ta granica dwudziestu pięciu lat życia wije się trochę nierówno? Nie dotyczy kolejno twojej matki, babki ze strony matki, jej matki i tak dalej, i tak dalej, długiej linii kobiet?

Morten nieco urażony zauważył:

- Sam jestem męskiego rodzaju.

- Oczywiście, co do tego nie mam żadnych wątpliwości!



- Ojciec mojej matki także był mężczyzną. A babcia, mama matki, wciąż jeszcze żyje.

- Rozmawiałaś z nią?

- Miałem zamiar to zrobić. Ona mieszka w Vestlandet\*. Planowałem pojechać do niej w odwiedziny, tymczasem spotkało mnie to.

Morten leżał trochę niewygodnie, Unni pomogła mu więc zmienić pozycję. Dziwnie było dotykać jego bioder, które nie chciały słuchać poleceń wydawanych przez mózg.

- Wspominałeś, że to jeszcze nie wszystko?

- No właśnie - odparł. - Dlatego zacząłem węszyć.

Na chwilę przerwali rozmowę, bo weszła pielęgniarka zamknąć okno. Ona z pewnością nie zauważyła, że w pokoju jest tłoczno czy ciasno, chociaż Unni to wrażenie dawało się już naprawdę porządnie we znaki. Gdy pielęgniarka opuściła pokój, Morten podjął ściszym głosem:

- W dniu, w którym skończyłem dwadzieścia jeden lat, otrzymałem niezwykły podarunek. Wśród wszystkich prezentów urodzinowych pojawił się nagle niewielki zwój pergaminu. Nikt nie wiedział, skąd się wziął, ale pamiętam, że ojciec zauważył: „Dziwne, identyczny pergamin dostała kiedyś twoja matka. Nie pamiętam dokładnie, kiedy to było, ale na pewno też na jakieś urodziny”.

Unni, szczerze teraz zaciekawiona, leciutko wychyliła się w przód.

- Spytałem więc ojca, co to takiego. Niestety, nie wiedział, bo matka nigdy nie pokazała mu tego dziwnego podarku.

- No a twój pergamin?

- Rozwinałem go nieco później, kiedy goście już wyszli, bo przecież oni też przynieśli ze sobą prezenty i najpierw musiałem otworzyć te, które dostałem od nich. Ojciec poszedł już wtedy spać, a ja zostałem sam.

- I co...? - Unni zaczynała się niecierpliwić.

- To była naprawdę dziwna rzecz. Bardzo, bardzo stary zwój, owinięty wypłowiałą czerwoną wstążką z jedwabiu, z lakową pieczęcią i w ogóle.

- To nic trudnego tak spatynować pergamin, żeby wyglądał na bardzo stary.

- Wiem o tym, ale ten wydawał się cholernie prawdziwy.

- Zamierzasz powiedzieć mi, co było w środku, czy będę musiała to z ciebie wycisnąć?

- To znaczy, że zainteresowała cię ta historia? Świetnie! Widzisz, coś tam było napisane, ale litery prawie się już zatarły. Udało mi się odczytać słowo *Sanctus*, potem kawałka brakowało, a dalej coś po łacinie, co uznałem za ...*limit... lament...* Więcej przeczytać się nie dało.

- Rozumiem. Coś jeszcze?

- Był jakiś rysunek czy znak, ale prawie całkiem niewidoczny.

- *Sanctus* - powtórzyła Unni w zamyśleniu. - Coś mi się wydaje, że to jakaś modlitwa odmawiana podczas katolickiej mszy. To słowo chyba znaczy „święty”?

- Możliwe. Na kilka dni zapomniałem o całej tej historii. Położyłem pergamin na stoliku, na którym stoi telefon, a kiedy później chciałem go pokazać ojcu, okazało się, że zniknął.

- Zniknął?

- Tak, mieliśmy wtedy panią do sprzątania, ale ona nic nie pamiętała.

\*Vestlandet - region w zachodniej części Norwegii.

- To rzeczywiście dziwne, pojawia się i znika. Jak gdyby nigdy nic. To już wszystko?

- Ależ skąd! Do diabła, że też muszę tu leżeć taki bezradny! Z nikim o tym nie rozmawiałem, nawet z ojcem. Bo widzisz, w następne urodziny, kiedy skończyłem dwadzieścia dwa lata, dostałem kolejny pergamin.

- Ten sam?

- Nie. Drugi był wyraźniejszy i bardziej konkretny. Leżał w skrzynce pocztowej.

- Bardzo prozaicznie. A co w nim było?

- Znów coś po łacinie. Udało mi się poskładać treść, zbierając słowa z różnych języków. Było tam napisane: *Se huye el tiempo, se huye. Solamente te quedan tres años. Haz lo que se debe. Datę prisa, prisa. Vienen, vienen*. Tłumacząc to z grubsza i pamiętając, że moja łacina jest bardzo wybrakowana, uznałem, że będzie to coś takiego: „Czas płynie, płynie. Zostały ci tylko trzy lata. Zrób to, co ci nakazano. Spiesz się, spiesz! Nadchodzi, nadchodzi”. I ten sam znak, teraz trochę wyraźniejszy.

- Wiesz, wcale nie jestem pewna, czy to, co przeczytałeś, było po łacinie, ale wiem za mało, żeby się sprzeczać. Natomiast *vienen* to raczej na pewno „o n i nadchodzą”. Co powiedział twój ojciec?

- Był wtedy we Włoszech, a również ten pergamin zniknął bez śladu.

Unni popatrzyła domyślnie na Mortena.

- Powiedziałaś, że niedługo kończysz dwadzieścia cztery lata. Co się wobec tego wydarzyło w twoje dwudzieste trzecie urodziny?

- Historia się powtórzyła. Ale tym razem przepisałem list.

- Fantastycznie! I co w nim było?

- „Czas wkrótce dobiegnie końca. Nadchodzi, nadchodzi!” Oczywiście po łacinie. Nic więcej. Wydaje mi

się, że przynajmniej ten pierwszy list był autentyczny. Dwa pozostałe budziły większe wątpliwości, mogło być z nimi różnie.

- Masz jeszcze ten ostatni?

- Ależ skąd! Zabrałem go ze sobą do szkoły> żeby pokazać nauczycielowi, ale i ten list zniknął. Za to skopowałem znak.

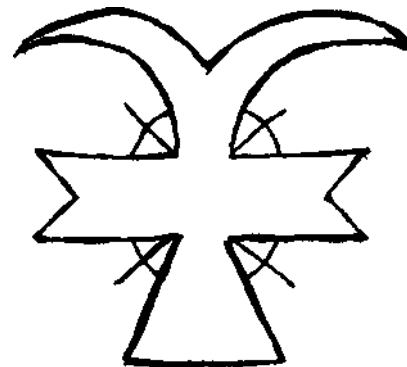
- To znaczy, że i w tym ostatnim liście był znak?

- Owszem, ale... - Morten jakby stracił nieco pewność siebie.

- O czym myślisz?

- Wydawało mi się, że nie był identyczny z tym pierwszym. Natomiast dwa ostatnie znaki były zdecydowanie takie same. Jakby o wiele prostsze, o wiele bardziej niestaranne, raczej stylizowane.

Unni wyciągnęła z torebki stary paragon sklepowy i poprosiła Mortena o narysowanie znaku na jego odwrocie. Morten nie był wprawdzie obdarzony wielkim talentem, lecz wkrótce na napisie „Euroshop” pojawił się znak, emblemat czy też symbol.



## 2

- Co? - zdumiała się Unni. - To przecież krzyż maltański!

- Naprawdę?

- Owszem, ze sporą dawką artystycznej swobody. - Nagle jednak straciła pewność siebie. - Nie, masz rację, to coś innego. Może francuska lilia?

- Daj spokój!

- Nie, to też nie. Bożonarodzeniowy krasnal? Zły czar-noksiężnik? Nadworny błazen? Rozpadający się karmnik dla ptaków? Nie mam pojęcia. Ale wygląda strasznie.

- Ja też tak uważam. A jeszcze gorsze było to, że otrzymałem papier z czymś tak przerażającym i nie mogłem tego nikomu pokazać.

Unni obracała kwitek w rękach na wszystkie strony.

- To musi coś oznaczać. Nie, to z całą pewnością nie jest piernikowa lalka - powiedziała w zamyśleniu. - Uf, wstrętna figura. Jesteś pewien, że dobrze ją przerysowałeś?

- Upłynęło tyle czasu, że nie mogę mieć żadnej pewności.

- To jakieś okropieństwo, jestem przekonana. Zajrę do biblioteki i spróbuję znaleźć coś odpowiedniego na temat znaków czy emblematów. Bo to chyba nie jest żaden herb?

- Jeśli nawet, to musi należeć do bardzo dziwnego rodu. Ale to rzeczywiście dobry pomysł, idź do biblioteki.

- Masz może jakieś inne wskazówki? Co mówi twój ojciec?

Mortenowi posmutniały oczy.

- Myślałem, że wiesz. Ojciec umarł w zeszłym roku we Włoszech. Nie przeżyłem tego tak bardzo, bo rzadko się z nim widywałem.

- Okropnie jesteś rozgoryczony.

- To przywilej niepełnosprawnych, proszę więc tego nie komentować. Moja macocha, Flavia, była razem z nim. Ja najpierw mieszkałem u mojej babci w Selje, ale wiesz chyba, jaki człowiek bywa głupi, uważa, że wieś to zapadła dziura, i chce do miasta. A ponieważ mam tutaj ciotkę i wujka, zgodzili się, żebym zamieszkał razem z nimi. Owszem, są bardzo mili, ale to krewni ze strony ojca, a tę potworną granicę życia odziedziczyła moja matka. Ciotka i wuj są trzeźwo myślącymi ludźmi, czasami tak trzeźwo, że aż mnie dusi. Nie mogę im zwracać głowy tą historią.

Unni chwilę się zastanawiała, wpatrzona w swoje kozaki. Szkoda, że wcześniej ich nie wyczyściła, Morten zawsze ubierał się tak porządnie. Ale może to zasługa jego ciotki? Miała nadzieję, że tak właśnie jest. Uniosła głowę i zamiast przyglądać się butom, powiodła wzrokiem wzdłuż linii w miejscu, gdzie ściana łączy się z sufitem. Nieprzyjemne wrażenie jeszcze się wzmogło.

- Wydaje mi się, że ktoś chce spłatać ci figla - oświadczyła w końcu. - Próbuje do tego wykorzystać przedwczesną śmierć twoich przodków.

- Ja też to wymyśliłem. Gdyby nie... - Wyglądało na to, że zatopił się we własnych myślach.

Unni czekała, lecz nie na długo starczyło jej cierpliwości.

- Gdyby nie co?

- No, nie wiem. Kiedyś ojciec o czymś wspomniał, ale nie służyłem go uważnie. Dopiero jakiś czas po-

tern przypomniało mi się, co powiedział, ale było za późno. Wtedy już nie żył.

Unni delikatnie milczała aż do chwili, gdy nie potrafiła dłużej być delikatna.

- A co takiego on powiedział?

W spojrzeniu Mortena pojawiło się rozmarzenie. Patrzył na nią, jakby wcale jej nie widział.

- Pamiętam jedynie kilka wyrwanych z większej całości słów: „...w papierach matki, które pozostawiła tobie”.

- I co w nich było?

Wyraz oczu Mortena zmienił się i chłopak na powrót znalazł się w tym samym świecie co Unni.

- Nigdy ich nie odnalazłem. Szukałem wszędzie, wydaje mi się, że już nie istnieją.

- Gdyby tak było, twój ojciec chyba raczej by o nich nie wspominał?

- Mogły zniknąć, jak wszystko inne wokół mnie. Matka, ojciec, zwoje pergaminu, przyjaciele, moje zdrowie i siła, moje życie.

Unni znów zaciążyło sumienie. Powinna była odowiedzieć Mortena części.

Nagle wzdłuż kręgosłupa przebiegły jej lodowate ciarki. Coś za nią stoi, pomyślała. Nie odwracaj się, Unni, bez względu na wszystko nie odwracaj się!

Wzięła się w garść i podjęła decyzję.

- Posłuchaj, Morten. Do chwili, gdy skończysz dwadzieścia pięć lat, zostało ci mniej więcej czternaście miesięcy, prawda?

- Owszem.

- No to uprzyj się i spróbuj odzyskać sprawność! Musimy pojechać do twojej babci. Uczep się jak szaleniec tej swojej ruchomej bieżni, trenuj ukradkiem w łóżku i wszędzie, gdzie tylko się da. Musisz przeżyć swoje dwudzieste szóste urodziny, a także pięćdziesią-

te i dziewięćdziesiąte, nawet gdyby wcześniej wszyscy mieli cię dość. Ty będziesz ćwiczył, a ja w tym czasie przeprowadzę dochodzenie. Będziesz mi mówił, co mam robić, a ja będę spełniać wszystkie twoje życzenia jak dżin z butelki.

- Zaczekaj, zaczekaj! - powstrzymał ją. - Zakładasz, że całkiem wyzdrowieję?

Unni popatrzyła na niego zdziwiona.

- A czy tak nie będzie? Przecież trenujesz!

- Po prostu nie potrafię się poddać.

Ale w jego głosie nie było nawet cienia determinacji.

W jednej chwili Unni zdała sobie sprawę z tego, że sytuacja Mortena jest o wiele gorsza, niż to sobie wyobrażała. Widziała jego stopy przesuwające się po ruchomej bieżni i uznała, że to wygląda obiecująco. Gdy jednak teraz głębiej się nad tym zastanowiła, to przypomniała sobie, że on po prostu poruszał ciałem, wykorzystując siłę ramion, a stopy tylko bezwolnie się temu poddawały. Zawieszono w powietrzu, przesuwały się do przodu o kilka milimetrów, jedna za drugą. Nie było to ani trochę imponujące, wyłączywszy, rzecz jasna, siłę ramion i górnej połowy ciała.

Morten jednak nie rezygnował, a to już dobry punkt wyjścia.

Chłopak znów popadł w zadumę. On właściwie całkiem nieźle się prezentuje, pomyślała Unni w roztarzaniu. Owszem, ma twarz z rodzaju tych, które przez całe życie pozostają dziecinne, lecz z ładnie zarysowaną linią szczęki.

- O czym teraz myślisz? - spytała.

Morten odrobinę się zawstydił.

- To trochę krępujące, ale kiedy mówiliśmy o zapiskach mojej matki dla mnie...

- Tak?

Morten miał zwyczaj wstrzymywania się z informacjami do ostatniej chwili, Unni zaś nie zaliczała się do najcierpliwszych ludzi na świecie.

- Wiem, że moja matka prowadziła coś w rodzaju dziennika, a kiedy ja miałem mniej więcej dziewięć lat i potrafiłem już jako tako czytelnie pisać, ojciec powiedział mi, że matka chciała, bym i ja pisał pamiętnik. Prosiła, żebym zapisywał jedynie bardzo szczególne rzeczy, które mi się zdarzają. Uznałem pomysł za dość zabawny i od razu zabrałem się do pisania. Pisałem o żabie, która prawie wskoczyła na mnie w ogrodzie, o jakiejś dziwnej chmurze, o zgubionych szkolnych podręcznikach i o wszystkim, co zdaniem małego chłopca może wydawać się dziwne. Robiłem to przez kilka lat, potem zapominałem, od czasu do czasu jednak starałem się coś zanotować.

Znów zatopił się w myślach.

- Nie, nie warto się tym przejmować - oświadczył nagle, czerwieniąc się.

Doprawdy, na twarzy pojawił mu się rumieniec!

- Zwierzenia z okresu dojrzewania? - domyśliła się Unni.

- Nie mówmy już o tym.

Ale Unni się nie poddawała.

- Nie wspominałbyś o tym pamiętniku, gdyby coś nie przywiodło ci go na myśl. Chcesz, żebym go przyniosła?

- Je, bo są aż trzy.

- Mój ty świecie, prawdziwy z ciebie pisarz!

- Chyba nie do końca. Ale dobrze, przynies je, tylko nie czytaj po kryjomu!

- Za kogo ty mnie masz?

- Akurat za taką, jaka jesteś. Za ciekawską Unni. Ale czy ty nie masz żadnej pracy, którą musisz się zająć?

- Niestety, jak wiele innych osób jestem bezrobotna. Nikt mnie nie chce.

Powiedziała to lekko, lecz w jej głosie dał się wychwycić ton urazy. Brak pracy bardzo źle działa na poczucie własnej wartości.

Morten jednak prędko zdjął znad głowy Unni aureolę męczennicy.

- Przede wszystkim chciałbym, żebyś mi przyniosła kilka książek z archiwum państwowego i z biblioteki. Potem możesz mi dostarczyć najświeższy magazyn popowy, butelkę wina i kilka wspaniałych kanapek...

- Posłuchaj, miałam być duchem z butelki, a nie niewolnicą!

Morten tylko się roześmiał.

- Ale najważniejsze są chyba twoje pamiętniki.

Teraz chłopak wyraźnie się zawahał.

- Naprawdę musimy?

- Będę nieubłagana. Potem spełnię wszystkie twoje rozkazy.

- Jesteś prawdziwym aniołem, Unni!

- Aniołkiem z różkami.

- Ukrytymi pod tym językiem? To znaczy, że naprawdę dobrze się maskujesz!

Unni zrobiła minę do Mortena.

- Uważaj na siebie! Musisz na siebie uważać, bo jesteś najcenniejszym, co masz!

Wyszła, kompletnie nieświadoma, w co tak naprawdę się wplątała.

## *Przebłysek odległej przeszłości*

„Prędko, prędko, jedźcie przez księżycowe noce, mknijcie przez dni rozpalone słońcem, przez czas i przestrzeń i przez ludzką niepamięć!”

„Daleko, daleko! Tak daleka droga, tak niepewna korzyść”.

„A jaki mamy wybór? Oni są ostatni, to nasz jedy-ny ratunek. Wznieście wysoko sztandar ze znakiem, tak by dodawał nam sił, gdy niczym burza będziemy gnać przez zielone doliny i pokryte śniegiem wzgórza ku odległym krainom na północy”.

„Takie długie, długie czekanie!”

„Czas oczekiwania może przerażająco prędko obrócić się w wieczność. Naszym powołaniem jest ich wspomagać, choć przeszkadza nam w tym nasza niemota, a jeszcze bardziej przysięga dochowania tajemnicy”.

„Nasz wróg urósł w siłę”.

„Tak, wielka jest ich moc. Większą też mają nad nami przewagę, a nasza nadzieja na ratunek jest równie cienka i delikatna jak srebrzysta nitka pajęczyny”.

„Pajęczyna jednak potrafi być również mocna”.

„Ruszajcie więc ku zimnej północy! Oni nadcho-  
dzą, nadchodzą, gnają tak jak my, popędzani niepoko-  
jem, rozpaleni pragnieniem, by dotrzeć na miejsce ja-  
ko pierwsi, a potem zabić i odebrać nam nadzieję”.

„Trzeba im w tym przeszkodzić. Krzywda, jaką

nam wyrządzono, nie może się jeszcze zwiększyć.  
Czas upokorzeń musi wkrótce dobiec końca”.

„Gorzki kielich hańby wypiliśmy już do dna”.

„jakże trudno, jak trudno całą ufność pokładać  
w słabych ludziach!”

### 3

Unni dostała od Mortena klucze do domu, bo jego ciotka i wuj byli w pracy. Otrzymała też dokładne instrukcje, gdzie szukać pamiętników. Tylko dlatego, że nazwał ją ciekawską, skierowała się wprost do szuflady biurka, nawet nie zerkając na nic innego.

Gdy jednak wyszła na ulicę z zeszytami w torbie, wróciła myślą do tego, co zobaczyła w środku.

Jeden z kątów w pokoju wydawał się niezwykle mroczny. Miała ochotę zajrzeć tam i sprawdzić, ale jakoś się powstrzymała i...

Siedząc w szpitalu, śledziła wzrokiem linie sufitu. Dlaczego właściwie to robiła?

Ponieważ kiedy się pochyliła, żeby zetrzeć jakąś plamkę z buta, dostrzegła coś obok siebie, jak gdyby mroczny cień w jednym krańcu pokoju. Jak gdyby to, co wyczuwała za plecami, chciało przesunąć się do przodu. Kiedy w końcu przeniosła wzrok na sufit, oczywiście nie było tam żadnych cieni.

Ale wychodząc, uparcie wbijała spojrzenie w podłogę, nie śmiąc nawet na moment podnieść wzroku.

A teraz znów to samo? W domu Mortena?

Czy było coś nie w porządku z jej oczami? Chyba trochę za wcześnie na pogorszenie wzroku. E, to jakieś bzdury, wmawia sobie nie wiadomo co. Czasami przecież miewała takie śmieszne hipochondryczne pomysły, jak na przykład tamtej nocy, kiedy była przekonana, że oślepla, a tymczasem to tylko żarówka się

przepaliła. Prawdopodobnie jestem jedną z tych, na których grobie należałoby napisać: „A nie mówiłam?”, pomyślała, uśmiechając się pod nosem.

Idąc do biblioteki, ukradkiem zerkała do torby i palcem przerzucała strony zeszytów.

Nietrudno było stwierdzić, który jest pierwszy w kolejności - wypełniały go naskrobane z wysiłkiem duże, dziecinne litery. Dalej pismo stawało się bardziej nieporządane, w trzecim zeszytcie natomiast dało się już dostrzec pewne oznaki dojrzałości.

Prędkim ruchem zamknęła torbę. Nic nie przeczytała. Załedwie kilka oderwanych słów przy brzegu kartek.

Mroczny kąt w pokoju Mortena nie dawał jej spokoju. Może powinna wrócić i upewnić się, czy nie było w nim nic dziwnego? Jednakże wspomnienie czterech zamków założonych przez ciotkę - jeden na furtce, jeden na kracie przed drzwiami, jeden na drzwiach wejściowych i jeden w drzwiach przedpokoju - odwiódł ją od takiego pomysłu. Zresztą trochę się bała.

Szła dalej.

Biblioteka. Nie było to miejsce, które zbyt często odwiedzała, ale pamiętała przynajmniej, gdzie stoją encyklopedie i leksykony.

Przez głowę przeleciała jej myśl, że ten rodzaj informacji, których szukała, dałoby się znaleźć w Internecie, ona jednak zaliczała się do ludzi kompletnie nie radzących sobie z nowoczesną techniką. Z wielkim trudem nauczyła się włączać komputer, nigdy jednak nie potrafiła go wyłączyć, a prowadzący kurs komputerowy musiał kiedyś zmarnować całą godzinę na uporządkowanie chaosu, jaki udało jej się zaprowadzić w pececie. Od tamtej pory wolała nawet się nie zbliżać do tak zaawansowanych i nowoczesnych urządzeń.

Wybrała sobie rozmaite słowniki i encyklopedie,



norweskie, duńskie, niemieckie i angielskie, pełne trudnych słów, o które tak łatwo się potknąć.

Do diabła, co w nich można znaleźć na temat krzyża czy lilii? Unni wyciągnęła kwitek z rysunkiem Mortena i próbowała porównywać.

Z całą pewnością nie jest to krzyż maltański, do tego mu daleko. Właściwie to wcale nie jest żaden krzyż – tak się tylko z pozoru wydaje.

Naprawdę nie podobały jej się te przypominające rogi zawijasy na górze, ale oczywiście na wielu szlajach checkich herbach widniały rogi. Oxe, Oxehufvud, Oxenstierna, Stenbock, Hjort af Ornas...\* Podobnie jak wszystkie rody ze słowem „lilie” w nazwisku miały w herbie francuskie lilie. Rogi więc nie musiały wcale oznaczać niczego straszego.

Poszukiwanie związków z krzyżem nie przyniosło rezultatów, może więc patrzeć pod znaki? Albo pod emblematy? Totemy? Logo? Herby? Gdzie tego szukać?

W pewnej chwili padł na nią jakiś cień i Unni zadrżała zdjeta nagłym chłodem. Podniosła oczy, w pobliżu nikogo nie było, ale na górze, na galerii, w górnych działach biblioteki, coś się poruszało, dostrzegła jakby połę czarnego płaszcza, przesuwającego się za balustradą.

Po to jednak, by zasłonić światło wiszącej na suficie lampy, ktoś ubrany w ten płaszcz musiałby się bardzo niebezpiecznie wychylić za balustradę. On czy też Jona powinien właściwie zlecieć na dół.

Pół godziny później Unni porzuciła godne detektywki poszukiwania w grubych tomiszczach. Zapytała jeszcze o łacińskie słowniki, ale nie miała już siły w nich grzebać, to trochę za dużo jak na jeden raz.

**\*Wół, Wola Głowa, Wola Gwiazda, Koziorożec, Jeleń z Ornas.**

Już miała opuścić bibliotekę, gdy przy ladzie informacyjnej dostrzegła jakiegoś mężczyznę z książką w ręku, czekającego na obsłużenie. Akurat w chwili, gdy Unni nadeszła, obrócił się w jej stronę, a dziewczyna doznała szoku. W pierwszej chwili ogarnęło ją zdumienie i radosne uniesienie: Czy to może być...? Potem jednak zorientowała się, że ten człowiek jest jedynie podobny do mężczyzny, którego szukała od dawna.

Unni doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że jeśli chodzi o męską urodę, to jej upodobania różnią się od gustu większości jej przyjaciółek i dlatego na tym akurat mężczyźnie inne kobiety zapewne nie zawiesiłyby nawet oka. Jej jednak tak bardzo przypominał tego, którego kiedyś spotkała... Potem nie widziała go już nigdy.

Myślami powróciła do przeszłości, do przelotnego, krótkiego spotkania, do momentu idealnego porozumienia między dwojgiem ludzi...

Mężczyzna, który stał przy bibliotecznej ladzie, był odpowiednio wysoki, ciemnowłosa, o smągłej cerze, szeroki w barkach a wąski w biodrach – wszystkie te cechy jak na razie odpowiadały gustom większości kobiet. Ale ta twarz... Ostrem rysom absolutnie daleko było do ideału, lecz takie właśnie rysy Unni uważała za męskie. Wyglądał też na inteligentnego.

Unni opuściła budynek biblioteki z poczuciem prawie spełnionego marzenia. Wprawdzie ten, którego zobaczyła przed chwilą, był jedynie bladą kopią mężczyzny spotkanego przed kilkoma laty na lotnisku, lecz mimo wszystko była tak podniecona, iż prawie nie widziała, gdzie idzie. Na ponownym spotkaniu z mężczyzną z biblioteki wcale jej nie zależało, on wszak był zaledwie substytutem, namiastką. Ale... narreszcie pojawił się interesujący człowiek, na którym przyjemnie było zawiesić wzrok bodaj na krótką chwilkę.

lę. Po świecie chodziło tyle pięknych kobiet i tak ża-  
łośnie niewiele przystojnych mężczyzn. Cudownie  
jest ujrzeć kogoś takiego choćby na krótko.

Ile mógł mieć lat? Stosunkowo młody. A w co był  
ubrany? Nie potrafiła sobie przypomnieć. Chyba  
w coś ciemnego.

Tym razem bacznie uważała na zdradzieckim rogu  
przy sklepie z artykułami żelaznymi. Chodniki co praw-  
da staranniej posypano piaskiem, lecz Unni, już mądra  
po szkodzie, wypatrywała zdradzieckich pułapek w for-  
mie małych ślizgawek, chociaż bardzo się spieszyła.

O, jedźcie ten łątwy do rozpoznania samochodzik Ve\*  
sli. Jak zwykle spieszy się do domu. Pomachały sobie  
wesoło i Unni kontynuowała swą samotną wędrówkę.

Vesla była chyba tą osobą w ich grupie, z którą Un-  
ni czuła się najlepiej. Vesla miała wszystko. Urodę,  
piękne ciało, dobrą, spokojną pracę, pewność siebie  
w odpowiedniej dawce. Nie była przy tym egoistyczni  
na ani wyniosła, lecz po prostu spokojna. Żyła beztr<  
sko, a przed nią rysowała się jasna przyszłość. (|

Przygnębiona Unni podreptała w stronę szpitala  
z pochyloną głową.

## 4

Vesla zatrzasnęła garaż, zamaszystym krokiem we-  
szła po schodach na górę i gwałtownie zamknęła za so-  
bą drzwi do mieszkania.

Usiadła na kanapie. Jak zawsze po powrocie z pracy  
do domu wzięła głęboki oddech, żeby odzyskać pano-  
wanie nad sobą, a kiedy i to nie pomogło, chwyciła z ka-  
napy poduszkę, którą przeznaczyła specjalnie do tego  
celu, i cisnęła ją z całych sił przez pokój w stronę drzwi.  
Ciężka, lecz bezszelestna poduszka, wprost idealna.

Potem roztrzęsiona Vesla skuliła się na sofie i przez  
chwilę tylko leżała, z wolna odzyskując spokój.

- Nie mam już na to siły - szeptała do siebie. - Nie  
mam siły, nie mam. Czy nigdy już nie zdołam spłacić  
tego długu? Nigdy się nie uwolnię?

Z ciężkim westchnieniem wstała i przeszła do kuch-  
ni. Deska do krojenia chleba z głębokimi nacięciami  
od zadanych z wściekłością ciosów kuchennym topor-  
kiem w sytuacjach, kiedy poduszka nie wystarczała,  
przypominała trochę pieniek do rąbania drewna.

Vesla apatycznie wyjęła swój kubek, sięgnęła po  
chleb i masło. Obiad zjadła już wcześniej w pracy.

Widziałam Unni, pomyślała. Unni, tę szczęściarę,  
która uważa, że życie to jeden wielki żart. Nie, to nie  
do końca prawda, Unni przecież ma kłopoty ze znale-  
zieniem pracy i za szczęściarę uważa mnie, ponieważ ja  
Pracę mam. Gdyby tylko wiedziała, jak jest naprawdę...

Ale Unni źle się stara o jakieś zajęcie. Kiedy zwy-

wają ją na spotkanie, od razu nastawia się na odmowę. Takie zachowanie nie doprowadzi do niczego dobrego, ale widocznie zbyt wiele razy już ją odrzucono i nie potrafi inaczej.

Jutro znów muszę tam iść. Jak zdołam przeżyć kolejny dzień, a potem jeszcze następny i jeszcze, przez całą wieczność?

Zadzwoił telefon.

To na pewno matka, pomyślała Vesla. Dobrze wiem, co powie. To samo, co powtarza każdego dnia. Może nie odbierać?

Nie, bo ona zaraz poruszy niebo i ziemię, zadzwoni na policję i zgłosi moje zaginięcie.

Może powiem, że jestem zajęta? Nie, to powtarzałam już za często.

- Halo? Cześć, mamó, wiem, że to ty.

- Ależ skąd możesz to wiedzieć? Nie powinnaś tak odbierać telefonu. Co by było, gdyby dzwonił ktoś inny?

Wprawdzie Vesla doskonale wiedziała, że robi błąd, zadając takie pytanie, lecz mimo wszystko spytała:

- Jak się czujesz, mamó?

Odłożyła telefon komórkowy i zrobiła sobie kanapkę. Nawet bez słuchawki przy uchu dobrze słyszała zwykłe narzekania matki na samotność, na to, że nikt się o nią nie troszczy, i pytanie, dlaczego Vesla nigdy jej nie odwiedza.

Wzięła telefon do ręki i odpowiedziała:

- Przecież byłam u ciebie wczoraj, mamó.

- Zajrzałaś tylko na chwilę, to się nie liczy. Tylko na trzy godziny.

- Czy trzy godziny to chwila?

Przez trzy godziny musiała wysłuchiwać grzmiących jeremiad o sąsiadach, którzy w ogóle nie zwracają na matkę uwagi, narzekania na bezsenność i fałszywych

• wspomnień o tym, jak wspaniale wszystko się układało, dopóki ojciec Vesli nie umarł, nie zważając na to, co czeka jego ślubną małżonkę. Trzy godziny wychwalania szlachetnej pracy Vesli i sprawozdań ze stanu zdrowia... Matka nie cierpiała na żadną konkretną chorobę, pojawiały się jedynie rozmaite symptomy, które w jej umyśle urastały do co najmniej śmiertelnego zagrożenia.

Vesla ośmieliła się kiedyś zaproponować matce, by poszukała sobie pracy, a przynajmniej jakiegoś zajęcia. Wiedziała jednak, że nigdy nie zdobędzie się na to, by jeszcze raz podsunąć jej ten pomysł. Kazanie o tym, że sześćdziesięcioośmioletnia kobieta nie powinna pracować, ciągnęło się godzinami. Po tym wszystkim, co w życiu zrobiła, ile poświęciła dla swego chorego męża i rodziców przez tyle lat... i tak dalej, i tak dalej.

Vesla wstrzymała się od przypomnienia matce, że to ona jako dziecko musiała się zajmować przykuty mi do łóżka dziadkami, a później chorym ojcem. Był to zbyt drażliwy temat, również dla samej Vesli.

Potem zaś nieuchronnie rozpoczęła się przemowa na temat „pamiętaj, że to ja załatwiłam ci tę pracę, jesteś wprost do niej stworzona, Veslo”.

To chyba było najgorsze ze wszystkiego. Vesla wiedziała, że wyrzuty sumienia nigdy nie pozwolą jej porzucić obecnego zajęcia.

Narzekania matki nie ustawały. Vesla przestała słuchać.

Nie powinniście tak późno mieć dzieci, mamó i ojciec. Owszem, dziękuję wam za życie, ale wszystko jest jakoś nie tak, dzieci powinno się mieć w wieku dwudziestu lat, a nie czterdziestu sześciu jak ty, mamó, i sześćdziesięciu siedmiu jak ojciec. Miałam takie samotne dzieciństwo, żadnej zabawy, wszystko zakazane. „Nie teraz, Veslo, mama jest taka zmęczona”. »Nie przeszkadzaj ojcu, kiedy śpi”. „Nie bądź taka

marudna, Veslo, przecież babcia i dziadek są chorzy!";

- Przepraszam, mam, ktoś dzwoni do drzwi.

Matka przerwała telefoniczną tyradę.

- Do drzwi? Ja nic nie słyszałam.

Bo nieprzerwanie gadasz, pomyślała Vesla, ale nie'; śmiała wypowiedzieć tego na głos. i

- Owszem, ale ktoś zadzwonił - skłamała. - Ode- 5  
zwę się do ciebie jutro. ]

- Dlaczego wyprowadziłaś się z domu? - zabrzmia- 7  
ło jeszcze w słuchawce, zanim wyłączyła telefon i wró-  
ciła do przerwanego posiłku.

Zwykle zanim odreagowała po powrocie z pracy n  
i codziennej rozmowie z matką, upływała godzina.

Gdybym tylko mogła się od tego uwolnić, rzucić tę i  
robotę, która wysysa ze mnie wszystkie siły! i

Kanapka już nie smakowała. Vesla odłożyła ją nie  
dokończoną.

Godziny wizyt w szpitalu oczywiście już się skoń-  
czyły, ale Unni zdołała przymówić się o pozwolenie  
na wejście. Tłumaczyła, że tak daleko mieszka, cho-  
ciaż jechała zaledwie piętnaście minut autobusem.

- Masz tu swoje memuary! - oświadczyła, rzucając  
zeszyty Mortenowi na brzuch, tak że cały aż drgnął.  
- A więc stać cię na jakąś reakcję - skonstatowała  
cierpko.

- Owszem, do tego miejsca, ale niżej już nie - od-  
parł z goryczą w głosie. - A co ze znakiem?

- Nic. Sprawdziłam wszystkie możliwe hasła, pa-  
rzyłam nawet na znak mandaryna i logo soli i pie-  
przu, i Bóg jeden wie, na co jeszcze, niestety, nie zna-  
lałam nic, co mogłoby pasować.

- A więc to jednak ślepa uliczka. Co poza tym?

- Też nic. Teraz twój ruch, twoje pamiętniki.

- Nie bardzo jest się z czego cieszyć. Myślę, że ten  
ostatni w ogóle odłożymy. Nie ma tam nic odpowied-  
niego dla oczu wrażliwych pańienek.

- Wobec tego zacznijmy od pierwszego - zdecydowa-  
wała Unni. - Co spodziewasz się znaleźć?

- Właściwie nic, może jakąś wskazówkę, która na-  
prowadzi nas na ślad, dlaczego moja matka, zmarła ty-  
le lat wcześniej, koniecznie chciała, żebym pisał pa-  
miętnik. Chodzi mi o to, że zwykle dziewięcio-, dzie-  
sięcioletni chłopcy nie robią takich rzeczy.

- Jeśli w ogóle piszą pamiętniki, to najprawdopo-  
dobniej właśnie w tym wieku. Później stają się na to  
za twardzi.

- No tak, chyba masz rację.

Zajęli się lekturą. Morten chichotał, czytając o zapo-  
mnianych zdarzeniach, od wielu lat bowiem nie zaglą-  
dał do dwóch pierwszych zeszytów. Do drugiego  
wręcz nigdy, po zapisaniu go do końca. Unni postano-  
wiła raczej wstrzymać się od śmiechu, to były prze-  
cież bardzo delikatne sprawy, musiała się pilnować, że-  
by przypadkiem nie urazić Mortena. Ale uśmiechać się  
mogła, przynajmniej od czasu do czasu, czytając wzru-  
szające zwierzenia, jak na przykład to: „Lenę zabrała  
mi dzisiaj czapkę, musiałem ją gonić. Lenę jest głupia,  
stała się ze mną drażni”.

- Tak, tak - pokiwała głową Unni. - Nigdy się nie  
zorientowałeś, że się w tobie podkochiwała?

- Phi! - burknął Morten. - Mieliliśmy krótki romans  
kilka lat później.

Przynajmniej i to dobre, zdążyłeś przeżyć cokol-  
wiek, zanim było za późno, pomyślała Unni.

- Ale to się skończyło, tak jak wszystko inne.

Nie mów z taką goryczą, pomyślała, jakby pragnąc  
go ostrzec.

Aż wreszcie pod koniec pierwszego zeszytu znalazły kilka linijek, które sprawiły, że ich uwaga natychmiast się wyostriżyła. Podczas kiedy Morten czytał, Unni wyczuła, że owe niezwykle cienie powracają. Owszem, trzymały się z tyłu, lecz mimo wszystko naprawdę tu były.

## 5

Psik, psik, uciekajcie, pomyślała Unni. Idźcie się bawić gdzie indziej!

- Dlaczego tak wymachujesz ręką? - zdziwił się Morten. - Są tu jakieś muchy?

Owszem, i to wielkie, przemknęło przez głowę Unni. Potem skupiła się na tekście.

- Możesz przeczytać to ostatnie jeszcze raz? Trochę się zdekoncentrowałam.

Zważywszy na datę i rok, Monen musiał mieć zaledwie jedenaście lat, pisząc te słowa.

- „Dzisiaj zdarzyło się coś dziwnego - napisałem. - Nie wiem, co to jest, nie umiem tego wytłumaczyć. Poczuję się tak, jakbym był w jakimś zupełnie innym miejscu, chociaż wcale tak nie było”.

Na tym interesujący fragment się kończył i zaraz po nim następowały gniewne zwierzenia na temat nauczycielki, która twierdziła, że Monen nie nauczył się lekcji. Zdumiewające, ile brzydkich słów zdołał zgromadzić jedenastolatek.

- Najwyraźniej w tamtym czasie nie umieliśmy napisać „choć” - zauważyła nie bez złośliwości Unni. - Pamiętasz cokolwiek z tego?

- Teraz piszę już bez błędów!

- Wcale nie o pisownię mi chodzi, dobrze wiesz.

Monen kiwnął głową i zastanowił się.

cienie stawały się coraz większe, zajmowały już teraz czwartą część pokoju.

Unni miała dosyć, nie mogła się oprzeć wrażeniu, że się dusi. Poderwała się gwałtownie.

- Muszę się napić trochę wody - wymamrotała, z całych sił starając się nad sobą zapanować, żeby nie wybiec z pokoju.

Paskudnie z mojej strony zostawiać Mortena samego, pomyślała, ale istnieją pewne granice. Zresztą on przecież nie widzi tych cieni, a nie mogę mu o nich powiedzieć. Nie wolno mi go przestraszyć, przecież leży przykuty do łóżka.

Ale nie pojmuję tego, co widzę. Czyżbym popadała w schizofrenię albo jakąś paranoję?

Chyba nie, ale co wobec tego się dzieje?

Przez chwilę stała, opierając się o ścianę korytarza, wreszcie wzięła się w garść i wróciła do środka.

Telefon komórkowy Mortena wydał z siebie sygnał; z małego aparatu, nim chłopak wreszcie zdołał go uciszyć, wydobyło się pół „Toccaty” Bacha i „Fugi” w tonacji d-moll.

- Jak już dzwonić, to dzwonić - mruknęła Unni, myśląc o wybranym przez kolegę sygnale.

Telefonowała ciotka Mortena, podniecona i przerażona wołała, że ktoś się włamał do ich domu. Znalazła bowiem na biurku Mortena krzywo leżący długopis.

Chłopak, przewracając oczami, wytłumaczył jej, że to Unni była w domu i przyniosła mu stamtąd książkę.

Do Unni docierał wzburzony falset ciotki i ucieszyła się, kiedy Morten wreszcie się rozłączył.

- To było głupie z mojej strony - powiedziała. - Powinam była zauważyć, że potrąciłam długopis.

- Moja ciotka to straszna pedantka. Wszystko zauważy. „Musisz utrzymywać porządek w worku ze śmieciami, Mortenie!”

Kiedy Unni rozmawiała z Mortenem, cienie cały czas

były w pokoju i jeszcze urosły. Ale gdy zadzwonił telefon zniknęły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Błogosławiona era cudów techniki! Za ich pomocą można przegnać nawet duchy.

Duchy?

Unni zadrzała. Czy to naprawdę duchy? Czy też może tylko jej zaczyna odklejać się siatkówka i tak bardzo przestraszyła ją ta telefoniczna toccata czy raczej fuga, że siatkówka przykleiła się z powrotem?

Będzie musiała poprosić, żeby Mortena gdzieś stąd przeniesiono. Chory nie może przebywać w takim niezдоровym pomieszczeniu.

Miała jednak nieprzyjemne podejrzenia, że zjawy, niestety, będą im towarzyszyć.

Czym, w imię niebios, mogą być te mroczne cienie, które dostrzega kątem oka?

Gdy tylko ona albo Morten zaczynali mówić o jego dwudziestych piątych urodzinach i wszystkim, co się z tym łączy, pojawiały się natychmiast. Niekiedy pod postacią mrocznej mgły, otaczającej ją i Mortena, innym razem, bardziej wykrystalizowane, wyglądały na kilka ciemnych postaci.

Cholernie nieprzyjemnie, jeśli wolno jej wyrazić własną opinię.

Morten przyjrzał się Unni krytycznie.

- Okropnie zbladłaś i popijasz wodę. Nie masz chyba zamiaru zemdleć?

- Ależ skąd!

- A o co przedtem pytałaś? Nie, absolutnie nie pamiętam tego wrażenia nierzeczywistości. Natomiast...

Znów patrzył gdzieś przed siebie dalekim wzrokiem. Unni zastanawiała się, czy nie powinna poruszyć kwestii jego mrocznego kąta w jego pokoju, lecz byłoby bardzo nieprecyzyjne pytanie, które na dodatek mog-

ło go mocno zdenerwować. A ponieważ akurat w tej chwili nie widziała w szpitalnej sali żadnych podejrzanych cieni, postanowiła na razie nic o tym nie mówić.

Morten wrócił do rzeczywistości.

- Przyjrzyjmy się teraz drugiemu zeszytowi. Nie pamiętam go ani trochę.

Unni sprawdziła daty na początku i na końcu zeszytu. Wyglądało na to, że Morten zapisywał go mniej więcej od dwunastego roku życia do czasu, gdy skończył piętnaście lat.

- Ale z dużymi skokami - zauważył Morten. - Pamiętam, że na długo zapomniałem o pisaniu.

- A co sprawiało, że znów sobie o tym przypominałeś? I znów zaczynałeś pisać?

- Tego nie wiem - odparł zdziwiony. - Pewnie po prostu zeszyt wpadał mi w oko.

Było chyba jednak inaczej. Zapiski na pierwszych stronach zeszytu ani trochę ich nie zainteresowały, potem zaś następował pierwszy wielki skok między datami. A później...

W tym miejscu Morten musiał mieć jakieś trzynaście lat. I napisał: „Nie pojmuję, co to może być, ale śnią mi się takie dziwne rzeczy. Śni mi się, że trzeba się spieszyć, czasami też w ciągu dnia nachodzi mnie niepokój i coś mi podpowiada, że mam mało czasu”.

- O rany - zdumiał się Morten. - Już wtedy?

Czytali dalej. Nie znaleźli nic godnego uwagi aż do fragmentu notatki po następnej długiej przerwie w pisaniu *Jt*

- „Dziś w nocy przyśniło mi się coś okropnego i jHj stem pewien, że to mi się śniło już wcześniej. Poznałem tę wielką tarczę, wiszącą na ścianie, ze strasznyBj herbem, a pod nią stali jacyś okropni mężczyźni z tyj symi głowami, w szerokich czarnych płaszczach i p< trzyli na mnie złymi oczyma”.

\_ Herb? Może to ten znak? - podchwyciła Unni. - Pamiętaj, jak wyglądał?

- Teraz już nie. Daj mi przeczytać dalej. Tu jest coś więcej na ten temat. „Na dole było kilka słów, o ile dobrze pamiętam, to było tam napisane: »AMOR ILIMITADO SOLAMENTE«. Tak, to było właśnie to”.

- Nie, nie i jeszcze raz nie - stwierdziła Unni zdecydowanie. - To wcale nie jest łacina. Tak samo zresztą jak to, co przeczytałeś wcześniej. No, może w jakiejś części, ale to przecież jest po hiszpańsku! Hiszpański, francuski i włoski wywodzą się z tych samych korzeni, a mianowicie od łaciny.

- Zaczekaj, zaczekaj - przerwał Morten jej uczone rozważania. - Spójrz tutaj! Pamiętaj, co było napisane na pierwszym zwoju pergaminu, który dostałem? Na tym, który był tak stary i zniszczony, że tekst i znaki niemal całkiem się zatarły? „... limit... lament...” Popatrz teraz na to. „AMOR *ILIMITADO SOLAMENTE*”. Co powiesz?

- Brawo, Sherlocku! To jest to samo zdanie. *Amor ilimitado solamente*. Nie jestem wprawdzie zbyt biegła w tych językach, ale za pomocą odrobiny etymologii...

- Czego?

- Pochodzenia wyrazów. Cóż, przetłumaczyłabym t° jako: „TYLKO BEZGRANICZNA MIŁOŚĆ”. »Amor" znaczy miłość, „limit" - „granica" i „solo" - »sam, tylko”, o ile dobrze to zacytowałeś.

- Co do tego nie mogę mieć pewności, ale tak jest tu napisane. I nic więcej, przykro mi.

- Nie musisz się martwić, i tak jest dobrze. Nie ma nic o a temat „Sanctusa”?

- INie. Górna część tego herbu pozostawała być mo- e ukryta w cieniu. Jeszcze raz powtórzę, że bardzo mi Przykro.



- Daj już spokój temu przeprasaniu i zastanów się raczej nad swoim snem.

- Sny są takie irracjonalne.

- Wiem o tym, ale dlaczego zapamiętałeś akurat ten?

- Ja go wcale nie zapamiętałem - sprostował Morten. -

Przecież po prostu przed chwilą o nim przeczytałem.

- Rzeczywiście, przepraszam.

Oboje wybuchnęli śmiechem.

- Jest tam coś jeszcze? - spytała Unni. - Widziałeś coś więcej poza tarczą i mężczyznami?

Morten przełożył kilka kartek i przeczytał kolejny fragment zapisków.

- A to dopiero! Do diaska, tego nie będziesz chciała słuchać!

- Wyobraź sobie, że będę. Znosi się na coś ekscytującego, bo zakazanego.

Morten, choć wyraźnie niechętnie, zaczął czytać. Unni, siedząca obok niego, również nie spuszczała oczu z tekstu.

- „To takie staszne (Wielkodusznie nie odezwała się ani słowem, chociaż zauważyła błąd w pisowni). Oprócz tych mnichów czy kto to był znajdowała się tam sala tortur”. O rany, jakie to okropne. Sam nigdy bym czegoś takiego nie wymyślił. Ten sen musiał więc być bardzo szczególny.

- Z całą pewnością - mruknęła Unni.

- „Z brzegu dojrzałem żelazną dziewicę, coś w rodzaju sarkofagu mumii, nabitego od wewnątrz długimi nożami, którymi zakłuwano ludzi na śmierć. Dalej była garota, czytałem o tym, to taki słup z żelazną obręczą, powoli zaciskającą się na szyi zakutego w nią nieszczęśnika, który z wolna się dusi. Garota, którą widziałem, miała też długi gwóźdź, musiał się wbijać w kark ofiary. Dalej była gilotyna...”

Unni, czując się już naprawdę nieswojo, przerwała Mortenowi:

- Udowodniono, że ofiary gilotyny zachowywały świadomość dostatecznie długo, by zrozumieć, że głowę mają oddzieloną od ciała.

Chłopak cały aż się zatrzęsł.

- „Było tam też to potworne urządzenie, taka ława, na której odzierano ludzi żywcem ze skóry. Nie, nie chcę już dłużej o tym myśleć”. Wiesz, Unni, mam wrażenie, że to mi przypomina hiszpańską inkwizycję, która łąpała bluźnierców i heretyków, a raczej tych, którzy wierzyli w co innego niż kaci, czyli Kościół.

- Rzeczywiście, to bardzo podobne. Czy akurat wtedy uczyłeś się o inkwizycji w szkole?

- Nie wydaje mi się. Zresztą o takich rzeczach raczej się nie mówi na lekcjach religii. I właśnie przez to ludzie nabierają takiego dystansu do Kościoła.

- Ale to chyba wina katolicyzmu.

- Protestanci nie są wcale lepsi. Pomyśl tylko o wszystkich zbrodniach popełnionych podczas wojen religijnych, i to jeszcze całkiem niedawno.

- Co tam jest więcej napisane? Czy ten sen się na tym kończy?

- Jest jeszcze to: „Bardzo się starałem wyrwać z tego snu, bo jedna z diabelskich postaci - było ich kilka - zaczęła się do mnie zbliżać z długim batem w rękę. Ten człowiek coś do mnie powiedział, ale w snach słowa na „gó” zlewają się ze sobą i nic z tego nie zrozumiałem. Również dlatego, że on nie mówił po norwesku”.

- Czy był groźny?

- Strasznie. Śmiertelnie się bałem.

- Pamiętasz to?

- Nie, tu jest to napisane: „Myślałem, że chce mnie zabić, bo usłyszałem słowo *morir*, a to przecież zna-

czy »umrzeć«, a potem on powiedział coś, co zabrzmiało jak: *Ven a Santiago*, później mamrotał coś niepojętego, mnie jednak udało się z krzykiem wyrwać z tego snu i obudziłem się zlany potem".

- Znam odrobinę hiszpański - powiedziała Unni z namysłem. - Akurat na tyle, żeby spytać o drogę, jeśli zabłądzę, to wszystko. Wybraliśmy się do Torremolinos, kiedy byłam nastolatką, wprawdzie tylko na dwa tygodnie, ale wcześniej starałam się uczyć hiszpańskich słówek. Wydaje mi się, że on rzeczywiście mógł powiedzieć: *Ven a Santiago*, co znaczy: „Przybądź do Santiago”. Jak wrócę do domu, sprawdzę, gdzie to leży. Mamy świetną mapę Hiszpanii.

- Cóż, jeśli rozkazywał mi przybyć do Santiago, to chyba nie miał zamiaru od razu położyć mnie trupem? Znów oboje wybuchnęli śmiechem.

Unni spostrzegła, że Morten jest zmęczony, zakończyli więc lekturę w tym miejscu.

Zanim wyszła, spytała jeszcze z wahaniem:

- Jakiś czas temu zaczęłeś coś mówić. Przeczytaliśmy akurat o poczuciu nierzeczywistości, którego już nie pamiętasz, a ty powiedziałeś: „Natomiast...” Nie dokończyłeś zdania, dlaczego?

- Co takiego? Nic, ogarnęło mnie jakieś inne uczucie, przelotne jak uderzenie skrzydeł nietoperza. Prędko minęło.

- Spróbuj złapać tego uciekającego nietoperza - powiedziała Unni na pożegnanie.

Unni wysiadła z autobusu i ruszyła w stronę domu. Długo zabawiła w mieście i zdążyło się już ściemnić, był przecież mroczny grudzień. Uznała, że matka musi być zadowolona z jej odwiedzin u Mortena.

Z trudem utrzymywała równowagę, idąc skrajem

szosy. Musiała przejść kawałek główną drogą, nim mogła skrócić w boczną, prowadzącą już prosto do domu, ledwie widoczną w blasku samotnej latarni, znaczącej zjazd.

Owinęła się ciasniej długim szalikiem. Unni nigdy nie ubierała się zgodnie z wymogami obowiązującej mody. Zawsze twierdziła, że ci, którzy tak robią, to przelęknięci słabi ludzie, którym brakuje pewności siebie. Jej kurtka być może była modna dziesięć lat wcześniej, sweter nigdy. Ona jednak obie te części garderoby lubiła, zresztą w ogóle traktowała ubranie jako coś, co zapewnia ciepło i okrywa ciało.

Na głównej drodze panował natężony ruch i Unni nie najlepiej się tu czuła. Owszem, szła właściwą stroną, ale przez to reflektory nadjeżdżających z przeciwka samochodów świeciły jej prosto w oczy. Na szczęście kurtkę miała zaopatrzoną w znaczki odbłaskowe i z tego bardzo się cieszyła.

Nie spodziewała się zagrożenia od tyłu.

Na pisk hamulców i jazgot opon sunących po śliskiej jezdni odruchowo się odwróciła i cofnęła. Ujrzała, jak jadący na zgaszonych światłach samochód gwałtownie zbacza na przeciwny pas ruchu i jedzie prosto na nią.

Unni wskoczyła do rowu i próbowała wspiąć się na jego drugą stronę. Za rowem rozciągało się pole. Uczepiła się z całych sił zmrożonych kęp trawy i podciągnęła w górę. Jednocześnie samochód skręcił w rów i lewymi kołami przejechał jej po nodze, nim zdołał wrócić na drogę.

Pojawił się ból. Unni usiadła na polu, pojękując cicho i nie mając odwagi nawet dotknąć lewej nogi. >• rzez kilka sekund nie była w stanie nic nawet zobaczyć, bo wszystko wydawało się jednym wielkim nieznosnym bólem.

W końcu jednak przejaśniło jej się w głowie.

Na drodze zatrzymał się jakiś samochód. Ktoś coś do niej mówił.

- Coś ci się stało? - rozległ się męski głos.

- Nie wiem. Okropnie boli mnie noga, to iście piekielny ból.

- Możesz na niej stanąć?

Unni spróbowała się podnieść. Mężczyzna podtrzymał ją, ostrożnie więc postawiła stopę na ziemi.

- Chyba wszystko będzie w porządku. Tak mi się wydaje.

Zauważyła, że samochód nieznajomego stoi zwrócony w przeciwnym kierunku niż tamten, który spowodował wypadek.

A więc to nie ten sam. Tamten wyparował, pomyślała. Kierowca nawet nie sprawdził, czy nie jestem ranna.

Mężczyzna powiódł dłońmi wzdłuż jej nogi, a Unni krzyknęła.

- Uderzył cię w łydkę i w kostkę - wyjaśnił nieznajomy, jak gdyby tego nie wiedziała. - Masz podarte spodnie i noga ci krwawi. Ale wygląda na to, że nic nie jest złamane. Mieszkasz daleko stąd?

Roztrzęsiona Unni wskazała na światła swojego domu wśród niewielkiej grupki domków jednorodzinnych stojących przy bocznej drodze. Czuła, że jest błada.

- Odwiozę cię do domu.

Pomógł jej wsiąść do swego eleganckiego samochodu, a potem okrążył go od przodu.

W blasku reflektorów Unni nareszcie wyraźnie zobaczyła swego dobroczyńcę.

To był mężczyzna z biblioteki.

## *Przebłytek odległej przeszłości*

„Pojechali konno ku północy”.

„Dlaczego? Dlaczego? Czego tam szukają ci zbłąkani, pozbawieni słów?”

„Nie wyprawiliby się tak daleko, gdyby nie widzieli przed sobą jakiegoś wyjścia”.

„Żadnego wyjścia nie znajdują. Ruszajmy za nimi, ruszajmy! Zniszczmy ich i ich nadzieję!”

„Sami nie zdołamy ich pokonać!”

„Zawsze znajdują się chętni, gotowi poświęcić honor i życie dla tego, co ukryte. Znajdziemy spragnionych czynów śmiazków prędko niczym jaskółka, która przecina nieboskłon. Dalej, znów ruszamy do boju!”

„Będziemy dręczyć, zadawać cierpienie i niszczyć! Wielka jest nasza radość. Jedźmy więc! Ruszajmy na północ, ku zimnym, bezbożnym krainom!”

## 6

W domu nikogo nie było. No tak, przecież mama z ojcem wybierali się na gwiazdkowy jarmark. Całkiem o tym zapomniała.

Nieznajomy mężczyzna o niezwykle interesującej twarzy wszedł za nią, a potem podprowadził ją do krzesła w salonie. Spytał o apteczkę, wyjaśniła mu, gdzie jej szukać.

Unni wciąż była wstrząśnięta, szok niemal odebrał jej mowę. Nieznajomy również niewiele się odzywał. Poprosił ją tylko, żeby odsłoniła nogę, bo chciał obejrzeć skaleczenie.

Ojej, czyżby miała się przed nim rozebrać?

- Może lepiej pójść do lekarza - mruknęła.

- Studiuję medycynę - odparł z uśmiechem. - Wkrótce już sam będę lekarzem.

- O - powiedziała Unni dość niemądrze. - Ach, tak?

- A tak w ogóle nazywam się Tony Eng.

Unni wymamrotała swoje imię. Z pewnym trudem ściągnęła buty i spodnie, ale pozostała w stosunkowo długiej kurtce, zakrywającej przynajmniej majtki.

Chyba się zrobiłam pruderyjna, pomyślała zdumiona. A może zawsze byłam? Nie, to musi być wina tego niezwyklego człowieka.

Rana nie wyglądała najładniej, ale kiedy ów Tony Eng ją oczyścił i starł krew, wyraźnie się zmniejszyła.

- To tylko zadrapanie - zachichotała Unni, śmiechem maskując wstyd.

- O, nie, najgorsze było uderzenie. Będziesz miała naprawdę porządnego sińca, i to prawdopodobnie na całej nodze.

podczas gdy Tony Eng opatrywał skaleczenie, Unni przyglądała mu się ukradkiem. Żal wprost rozsadzał jej pierś, kiedy patrzyła, jak bardzo przypomina jej tamtego, którego utraciła. Był do niego podobny przede wszystkim z gestów, ruchów, z wyrazu twarzy. Patrzenie na Tony'ego sprawiało jej przyjemność, choć jednocześnie bolało.

Kiedy już została obandażowana i z powrotem porządnie ubrana, zdjęła wreszcie kurtkę, a on wstał i przyjrzał jej się uważnie.

- Czy myśmy się już nie spotkali? I to całkiem niedawno?

- Widziałam cię dzisiaj w bibliotece - przyznała Unni.

Dlaczego ona, znana ze swego ciętego języka, nagle poczuła się tak skrępowana?

- O, tak, rzeczywiście, teraz już pamiętam - powiedział, a jego interesująca twarz o ostrych rysach rozjaśniła się. - Ale czy możesz mi wytłumaczyć, co się tak naprawdę stało? Zobaczyłem nagle, że samochód, jadący na zgaszonych światłach, gwałtownie zbacza na niewłaściwy pas ruchu, zahacza o rów i jedzie dalej. Prawie się ze mną zderzył. Kiedy przejechałem kawałek do przodu, zobaczyłem ciebie leżącą na ziemi.

- Zboczył na przeciwny pas ruchu? - zadrżała Unni.

- Dlaczego tak się przestraszyłaś?

- Nic takiego, tylko dokładnie to samo przydarzyło się mojemu koledze jakiś czas temu. Wtedy także samochód zboczył z drogi i wpadł na niego. On jednak miał mniej szczęścia. Ma sparaliżowaną całą dolną połowę ciała.

- Ojej. Chyba wydaje mi się, że nawet wiem, o kogo chodzi. Ten chłopak leżał w szpitalu. Czy nie prze-

niesiono go do centrum rehabilitacji? To Morten Andersen, prawda?

- Owszem, wszystko się zgadza.

- Dziwne, że mieliście taki sam wypadek.

- No właśnie. Doprawdy, przeżyłam dzisiaj wiele dziwnych rzeczy.

Unni popadła w zamyślenie, z którego wyrwało ją dopiero pytanie: „Na przykład jakich?”

- No, ja...

Myśli jej wirowały. Morten przykuty do szpitalnego łóżka niewiele mógł zdziałać, a przecież do zrobienia było naprawdę mnóstwo. Trzeba na przykład szukać śladów, odwiedzić babcię. Jak ona zdoła poradzić sobie ze wszystkim sama?

Sprzymierzeniec?

Patrzyła na Tony'ego Enga badawczo. To naprawdę pociągający mężczyzna. Miała nadzieję, że nie zauważy skórek od pomarańczy, które rano rozsypała na podłodze, siedząc w tym samym fotelu co on teraz, i zapomniała je później pozbierać.

Sprzymierzeniec... Czy mogła...?

Nie, musi najpierw porozmawiać z Mortenem.

Ale on z całą pewnością natychmiast sprzeciwi się takiemu pomysłowi. Nie, nie będzie go pytała, przecież on nigdy się nie dowie, co Unni robi poza szpitalem.

Paskudny plan!

Unni często działała bez zastanowienia, ale teraz usiłowała pamiętać o mądrym powiedzeniu: „Jeśli masz wątpliwości, to zrezygnuj”.

Mimo wszystko jednak na koniec wsunęła swoje wątpliwości do najgłębszej szuflady sumienia i opowiedziała Tony'emu o przygodach, jakie spotkały ją tego dziwnego dnia. Pominęła tylko, rzecz jasna, wspomnienia, które obudziło w niej spotkanie z Tonym.

Miała wrażenie, że pod wpływem jego obecności zmienił się cały pokój. Przebudziły się dawne marzenia. W jednej chwili kwiaty na parapecie zrobiły się takie śliczne, jaśniejące, nawet od podniszczonych mebli i niedokończonych ozdób świątecznych bił jakiś blask.

Przekłete pomarańczowe skórki!

Tony, ułożywszy zranioną nogę Unni na stołku, siedział spokojnie w fotelu. Gdy skończyła opowiadać, patrzył na nią długo i tak intensywnie, że w końcu nie była w stanie dłużej wytrzymać jego spojrzenia i mimowolnie spuściła wzrok.

- To chyba nie było nic ciekawego - powiedziała przeproszającym głosem.

Tony odetchnął głęboko.

- Byłaś wobec mnie szczerą, Unni. Teraz ja będę szczerzy wobec ciebie. Nasze spotkanie nie było wcale przypadkiem.

- Ach, tak?

Czy ona za każdym razem musi tak niemądrze się odzywać?

- Muszę ci się przyznać, że byłem dzisiaj w centrum rehabilitacji akurat wtedy, kiedy odwiedzałaś Mortena. Przechodziłem korytarzem i mijałem półprzymknięte drzwi do jego pokoju. Siedziałaś obrócona plecami. Usłyszałem, że Morten mówi o zwoju pergaminu, który gdzieś zniknął. Dotarły do mnie jedynie te słowa, lecz one i tak wystarczyły, żeby obudzić moje zainteresowanie. Potem pojawiłem się w bibliotece. Szczerze mówiąc, poszedłem tam za tobą. Patrzyłem, co czytasz.

Unni drgnęła.

- To ty przechodziłeś po galerijce?

- Nie, nie, ja poszedłem do twojego stolika. Chciałem się zorientować, czego szukasz, jakie znaki sprawdzasz. Potem czekałem przy ladzie informacyjnej

i usłyszałem, że pytasz, gdzie stoją słowniki. Wtedy byłem już pewien.

Zabrzmiało to trochę przerażająco.

- No a teraz? - dopytywała się Unni. - Jak to możliwe, że akurat w chwili wypadku znalazłeś się na tej drodze?

- To całkiem proste. Mieszkam kawałek dalej. Tymczasowo, bo przyjechałem tu zaledwie przed kilkoma tygodniami. Najwyczejniej jechałem z domu do miasta.

- To znaczy, że uratowałeś mnie przypadkiem?

- Prawie. Przypuszczałem, że wrócisz tym autobusem, i postanowiłem sprawdzić, czy rzeczywiście tak będzie. Bardzo się cieszę, że się na to zdecydowałem.

- Ja też - uśmiechnęła się Unni nieco krzywo. - I jestem ci za to wdzięczna.

Student medycyny lekko pochylił głowę.

Unni spytała, dlaczego interesuje go sprawa tajemniczego zwoju, który dostał Morten.

Tony popatrzył na nią.

- Ja też jestem w tę historię zamieszany.

- Naprawdę? Ale ty przecież musisz mieć więcej niż dwadzieścia pięć lat - wyrwało jej się nieopatrznie.

Tony uśmiechnął się z lekkim smutkiem. Wyglądał teraz niezwykle przystojnie, był wręcz piękny, niemal jak bohater jej marzeń. ] I

- Mam dwadzieścia siedem lat - przyznał. - I ta sprawa nie dotyczy mnie osobiście. Ale mój starszy brat zmarł w wieku dwudziestu pięciu lat. To zawsze dotyczyła pierworodnego.

Unni popatrzyła na Tony'ego nieco podejrzliwie.

- Wygląda na to, że wiele wiesz o tej historii. ||

- Trochę więcej niż wy. - Wstał. - Ale czy nie możemy spotkać się jutro u Mortena i pogadać o tym, co w wiemy? Teraz muszę już wracać do miasta, mam umówione spotkanie i już jestem trochę spóźniony. H Jj

Trochę? Unni miała wyrzuty sumienia. Oczywiście, że jest z kimś umówiony. Na pewno z dziewczyną albo z elegancką damą. Sądząc po samochodzie Tony'ego, ubiorze i postawie, wywodził się z wyższych warstw społeczeństwa.

Uśmiechnął się.

- Przyjemnie u was pachnie. Świątami. Taki miły zapach pomarańczy.

Unni nie zdołała już dłużej zachować powagi. Ze śmiechem opowiedziała mu o skórkach, przy których tak blisko siedział. On także się z tego śmiał.

- Wydaje mi się, że bardzo cię lubię, Unni - powiedział ciepło.

Po jego wyjściu zapanowała duszna pustka. Unni zasiadła nad mapą Hiszpanii.

W pewnej chwili zadzwonił telefon. To był Morten.

- Unni, nareszcie przypomniały mi się te skrzydła nietoperza!

-Tak?

Morten ciężko westchnął.

- To na pewno zabrzmi niemądrze, ale muszę ci powiedzieć, że mam wrażenie, jakby ktoś mnie chronił.

Czyżby Tony Eng? Nie, to niemożliwe, to się nie zgadza.

- W jakim sensie chronił?

- Z początku to było bardzo niewyraźne, takie drobniaki, które człowiek uświadamia sobie dopiero później. Zadaje sobie pytanie: „Jak to się właściwie stało? Mogło być ze mną źle, gdyby nie...” No wiesz, takie rzeczy, od których przychodzi człowiekowi do głowy, że ma anioła stróża czy coś podobnego.

- Rozumiem. Ale powiedziałaś: „Z początku”.

- Owszem, bo później, tuż przed wypadkiem, to się stało bardziej konkretne. Wybrałem się wtedy na piwo z kolegami, prawdę mówiąc, z naszą grupą, ty też

tam wtedy byłaś. Poszliśmy pograć na automatach i wracaliśmy do stolika. Wtedy zadzwoniła moja komórka. Tak, tak, ten Bach i w ogóle, i jakiś głos powiedział prędko: „Nie pij tego piwa, ktoś wlał ci coś do szklanki”. Na tym rozmowa się skończyła.

- Hm - mruknęła Unni zaskoczona. - To było w pewnym sensie zbyt bezpośrednio. To był jakiś on czy ona?

- Głos należał do mężczyzny, który mówił z leciutkim obcym akcentem, ale tych kilka słów to za mało, by stwierdzić, z jakiego mógł pochodzić kraju.

Zdecydowanie nie mógł to być Tony Eng, on bowiem mówił czystym dialektem z Hadeland, w dodatku nie było go tu w owym czasie. O tym Unni już wiedziała po ich rozmowie.

- Nie miałem pojęcia, co robić - ciągnął Morten. - Czy mówić wam o tym czy nie, ale to było takie dziwne, że siedziałem tylko i zastanawiałem się, co to w ogóle może znaczyć.

- Wypiłeś to piwo?

- Nie, udawałem tylko. A wylałem je do skrzynki z kwiatami. Kwiatki wcale nie zwiędły, sprawdzałem.

- To dobrze. Nie pamiętam wprawdzie tego, jak graliśmy na automatach, ale rzeczywiście od czasu do czasu nam się to zdarzało - uświadomiła sobie Unni.

- Później żałowałem, że nie dałem piwa do analizy, lecz, szczerze mówiąc, czułem się dość niemądrze, posłusznie idąc za radą obcego człowieka. Pomyślałem sobie, że ktoś chce mi po prostu spłatać figła, stoi teraz gdzieś w pobliżu i zarykuje się ze śmiechu, że dałem się złapać na haczyk. Nie zauważyłem jednak żadnej podejrzananej osoby, chociaż rozglądałem się na wszystkie strony.

- Pamiętasz coś jeszcze?

- Tak, ten człowiek zadzwonił w dniu, kiedy miałem wypadek. Tuż przedtem.

\_ I co powiedział?

- „Nie wychodź dziś wieczorem”. Ale ja miałem już dość tego rodzaju teatralnych ostrzeżeń i zbagatelizowałem jego słowa. Najwyraźniej nie powinienem był tego robić - dodał Morten z goryczą. - Szkoda, że go nie posłuchałem.

Unni kilkakrotnie wolno kiwnęła głową, w pełni świadoma, że Morten tego nie widzi ani nie słyszy.

- Ktoś ci źle życzy, ktoś inny pragnie twojego dobra. Czy dostrzegamy w tym jakąś prawdziwość?

- Na to wygląda.

Unni wzięła się w garść.

- Na razie przestudiowałam mapę Hiszpanii. Spis miejscowości. To bardzo przygnębiająca lektura. Są dwadzieścia trzy miejscowości, które się nazywają Santiago albo przynajmniej od tego zaczynają. Santiago de Moro, Santiago del Arroyo i tak dalej w nieskończoność. Nic interesującego więc z tego nie wyniknęło.

Unni poczuła się głodna i zmęczona. Boląca noga też dawała się we znaki. Zakończyła rozmowę z Mortenem, nie opowiadając mu o swoim wypadku i o Tony Engu. To musiało poczekać do jutra.

Tony Eng. Na jego wspomnienie ciepłej zrobiło się dziewczynie na sercu. Nowy przyjaciel.

Nagle jednak obudziła się w niej bardzo nieprzyjemna myśl.

Jak długo właściwie leżała w rowie? Wydawało się, że minęły zaledwie sekundy, w czasie gdy pociemniało jej w oczach, a w głowie zawirowało od nieznośnego bólu.

Lecz jeśli to trwało dłużej? Jeśli on nadjechał samochodem od tyłu, potracił ją, a potem zakręcił przy bocznej drodze, prowadzącej do jej domu, i wrócił do niej?

Po to, by się upewnić, że ona nie żyje?



## *Jednocześnie*

Tej nocy zerwała się śnieżycą. Wicher z zawrozczeniem wdzierał się między domy, walił w szyby i gnał śnieżne upiory w świetle ulicznych latarni.

Jednak ci, którzy zebrali się wśród dzikich wirów, nie dostrzegali niczego. Świat, w którym trwała śnieżna zawieja, nie był ich światem.

„Tracimy ich, naszą ostatnią nadzieję!”

„Owszem, tracimy jednego, lecz w jego miejsce pozyskaliśmy kogoś innego. Wciąż jeszcze jest czas”.

„Nasi przyjaciele się przeliczyli. Z ich planu nic nie wyjdzie”.

„Wobec tego użyjemy innego. Ale wróg umocnił swoją siłę. Zbyt wielu chciwych łajdaków daje się zać w okowy ich złych zamiarów”.

Pozbawieni słów pograżyli się w niemej rozpacz. Jedynie ich myśli krzyżowały się ze sobą.

„Śmiertelne niebezpieczeństwo grozi tym, w których pokładamy całą naszą nadzieję”.

„Nie tylko to. Nasi oprawcy przenikają w ich sny i osłabiają ich odwagę”.

„Jedynie, co my możemy zrobić, to wpływać na nich właśnie poprzez sny”.

„Chciałbym w bardziej bezpośredni sposób przystąpić do działania”.

„I założyć, że mamy do czynienia z walecznymi sercami?”

„Wiele jest w nich odwagi”.

„Czas, ziemski czas płynie. Nie mamy wyboru, musimy uczynić wszystko w tej ostatniej godzinie losu”.

Samochody sunęły w ślimaczym tempie smaganą wichrem drogą. W powietrznych prądach za pojazdami tańczyły białe welony śniegu.

Nikt nie zwracał uwagi na grupkę rozproszoną na drodze i pokrytych śniegiem polach. Tak jak i milczący jeźdźcy nie zważali na samochody, przejeżdżające przez nich.

To były dwa rozłączne światy.

## 7

Unni obudziła się z nieprzyjemnego snu zlaną zimnym potem. Usiadła na łóżku. Znajdowała się w swoim własnym pokoju i wiedziała, że rodzice z całą pewnością śpią w drugim końcu domu, lecz nawet pomimo tej świadomości była śmiertelnie przerażona.

Musiała zapalić lampkę na nocnym stoliku, żeby odegnać ciemność czającą się w kątach. Oczywiście wiedziała, że to niemądra myśl, bo przecież ciemno było w całym pokoju, mimo to jednak tak właśnie czuła.

Sen naprawdę nią wstrząsnął. Miejsce, w którym się rozgrywał, nie miało w sobie nic dziwnego. Przeciwnie, był to długi korytarz w szkole, którą dawno już ukończyła. "Weszła na górę po schodach i znalazła się w tym właśnie korytarzu. Była sama. Drzwi zatrzasnęły się za nią, to samo stało się w wielu innych miejscach w budynku. Kiedyś przeżyła już taką grozę w pewnym hotelu, kiedy włączył się alarm i drzwi, przeciwpożarowe zaczęły się zatrząskiwać, wydając z siebie straszne metaliczne odgłosy.

To samo powtórzyło się w tym śnie.

A potem rozpoczęła się pieśń. Donośny chór męskich głosów, głębokie basy. Z potoku słów wyłowiła jedno, „Sanctus”.

Dopiero kiedy było już po wszystkim, Unni zrozumiała, że różne rzeczy pomieszały jej się w głowie, jak to często bywa ze snami, i że był to fragment nagrania Vangelisa „1492”, zwany również „Conquest of Paradise”. Ten I

kawałek nosił, zdaje się, tytuł „Light and Shadow”, lecz zdaniem Unni powinno się go poprawić na „Sanctus”.

Wtedy jednak, w tym śnie, chóralna pieśń zabrzmiała ze straszliwą grozą. Unni miała wrażenie, jak gdyby prześladował ją chór mnichów, ścigał ją po korytarzu, który zdawał się nie mieć końca. Co prawda to nie mężczyźni ją ścigali, a raczej ta głośniejsza pieśń, która stawała się coraz potężniejsza. Często powtarzała się w niej również nazwa „Santiago”. Unni była po dwakroć przerażona: z jednej strony bała się, że ten korytarz nigdy się nie skończy, z drugiej zaś wiedziała, że tam, gdzie ma swój kres, czeka na nią potworność nie do opisanania.

Obudziła się z koszmaru prawdopodobnie wiedzioma jedynie siłą woli i pragnieniem, by się z niego wyrwać. Gdy w końcu, roztrzęsiona, położyła się z powrotem, nie miała odwagi zgasić lampki. Minęła blisko godzina, nim wreszcie znów usnęła.

Vesla była w pracy, w domu opieki. Wykonywała rutynowe poranne obowiązki.

Przechodziła kolejno z pokoju do pokoju. Była odpowiedzialna za bezradnych staruszków, dotkniętych sklerozą, właśnie taką bowiem pracę załatwiała jej matka.

„Moja córka przywykła do tego rodzaju zajęć - wyjaśniła szefowej oddziału. - Nikt na świecie nie ma tyle cierpliwości co Vesla, i doprawdy, ona tak świetnie rozumie starych ludzi. Pomagała mi w opiece nad moimi rodzicami, a później przy mężu - jej ojcu. Nie musieliśmy więc ich oddawać do żadnej instytucji”.

„Ale przecież oni zmarli już dawno temu - zdziwiła się oddziałowa. - Dziewczynka musiała być wówczas bardzo młoda”.

„Ach, była przy nich od samego początku. Dopraw-

dy, ona wprost kocha swoje powołanie. Uwielbia zajmować się innymi”.

Vesla bardzo nie chciała, żeby matka towarzyszyła jej przy wstępnej rozmowie, matka jednak się uparła.

W istocie prawdą było, że Vesla chciała zostać pielęgniarką. Z doskonałymi ocenami ukończyła odpowiednią szkołę, ale propozycja pracy w takim miejscu uderzyła ją jak obuchem w głowę. Matka pragnęła mieć córkę blisko siebie, a dom opieki był najbliższym zakładem, w którym Vesla mogła znaleźć zatrudnienie. Matka ubiegała się o tę posadę w jej imieniu i nagle przed dziewczyną nieoczekiwanie pojawiło się wezwanie na rozmowę, na którą matka wybierała się wraz z nią. Załatwienie córce tak wspaniałej pracy uważała przecież za swoje wielkie osiągnięcie.

Podjęte przez Vesłę próby zatrudnienia się na oddziale, na którym miałyby lżejsze obowiązki, zostały zbyt machnięciem ręki. Wykwalifikowany personel potrzebny był niestety akurat na najcięższym odcinku pracy.

Vesla czuła się schwytna w pułapkę. W głębi ducha jednak wiedziała, że musi przyjąć tę propozycję, zrobić to dla spokoju własnego sumienia. Dźwigała wielki ciężar i sądziła, że być może tym sposobem uda jej się choć trochę go zmniejszyć.

Dlatego się nie wycofała.

Vesla rzeczywiście lubiła zajmować się innymi ludźmi, to prawda, ale coś potoczyło się zupełnie nie tak. Nic nie rozwinęło się zgodnie z jej pragnieniami i nadziejami, wprost przeciwnie.

Dlatego tak bardzo teraz rozpaczała.

Stara pani Mattiasen trochę zabłądziła. Vesla położyła jej ręce na ramionach i obróciła we właściwym kierunku, mówiąc jej jeszcze kilka przyjaznych słów. „Moja miła walkiria”, wymamrotała staruszka z wdzięcznością.

Gdyby wszyscy byli tacy jak pani Mattiasen, praca nie stanowiłaby żadnego problemu. Niektórzy pacjenci jednak za bardzo przypominali jej grozę dzieciństwa.

Właśnie dlatego Vesla wciąż tu była. Pragnęła odprawić pokutę, oczyścić się.

Tak jednak się nie działo.

Musiała wejść teraz do pułkownika, który wprost niewiarygodnie zabrudził całe łóżko. Taka sytuacja powtarzała się co noc, a niekiedy również w ciągu dnia. Przez pewien czas personel próbował wiązać mu ręce na noc, ale pojawiła się kontrola i natychmiast zakazano podobnych praktyk. Vesla szczerze współczuła staremu człowiekowi, lecz jego pielęgnacja, zwłaszcza poranne zabiegi, nie były niczym przyjemnym.

Wspomnienia, wspomnienia...

Staranna toaleta pułkownika, oczyszczenie jego łóżka i siebie samej. Potem trzeba iść do dwóch sióstr, które właściwie przypominały warzywa. Nie mogły już nic mówić, jedna była w stanie poruszyć lekko rękami. Vesla próbowała trochę z nią rozmawiać, choć wiedziała, że do staruszki nic nie dociera. Druga nawet wzrok miała martwy. Mimo to Vesla przemawiała do niej, jak gdyby staruszka była młodym, pełnym życia człowiekiem.

A potem ten złośliwy staruch z pokoju numer 5, ten, który ciskał w nią czym popadnie i obrzucał najwulgarniejszymi wyzwiskami, jakie tylko można sobie wyobrazić. Zwykłe przekleństwa wydawały się przy nich niemal cytatami z psalmów.

Vesla usiłowała wcześniej dotrzeć do jego duszy i serca, bo uważała, że gdzieś pod tą złością musi tkwić coś jeszcze, może kryło się za tym na przykład nieszczęśliwe życie. Inne dziewczyny z oddziału twierdziły jednak, że ten człowiek zawsze był taki. Okradał<sup>1</sup> dręczył swoich rodziców, bił żonę i dzieci i we

wszystkim, do czego się tylko zabierał, okazywał się skończonym łajdakiem.

Przykro było się do tego przyznać, ale Vesla nie mogła go strawić. Nie dostrzegała żadnej okoliczności łagodzącej. Fakt, że dodatkowo jeszcze za jego przyczyną rozdrapywała stare rany, o których tak starała się zapomnieć, był już tylko jej osobistym problemem.

Przypomniała sobie, że dzwoniła Hege, chciała, żeby wieczorem wybrały się razem do miasta. Oczywiście byłoby miło, ale przecież obiecała matce...

Zresztą w kręgu przyjaciół przestało być tak przyjemnie jak dawniej. Wszystko się odmieniło. Brakowało Mortena, a i Unni zaczęła od nich stronić. Właściwie nic w tym dziwnego, odkąd Emma dołączyła do ich grupy. Dwaj pozostali chłopcy robili cięjące oczy, gdy tylko padało jej imię, a przecież Emma była taką okropną intrygantką!

Vesla zaprowadziła parę sympatycznych, choć kompletnie niczego nie rozumiejących starsuszków do pokoju dziennego i każdemu przygotowała filiżankę kawy. Byli teraz zadowoleni i można ich było uznać za zaparkowanych, stwierdziła z ulgą, aż do czasu gdy ktoś znów się nie zjawi i nie zaprowadzi ich w inne miejsce.

Często z bólem serca myślała o wszystkich tych, którzy stracili kontakt z rzeczywistością, którzy właściwie stracili już życie.

Była rozdarta. Z jednej strony pragnęła pomóc, z drugiej jednak czuła, że dla własnego dobra powinna jak najprędzej stąd uciec, nim całkiem przepadnie.

Ten ukryty gniew... Wiedziała, że pomimo wszelkich dobrych intencji, jakie nią kierują, to miejsce nie jest dla niej odpowiednie.

## 8

Unni szła tego dnia do szpitala dręczona złymi przeczuciami.

Co Morten powie o jej... złamaniu lojalności?

Tony Eng już się zjawił. Na jego widok serce Unni wykonało niemalże koziołka. Uroda tego chłopaka była zaledwie odrobinę zbyt konwencjonalna jak na jej gust, lecz przecież tak naprawdę wcale nie jego wygląd ją interesował. Unni bardzo zależało na jego przyjaźni. Wierzyła, że może to być naprawdę wyjątkowy związek.

- Cześć, Unni! - powitał ją Morten, usadowiony na wózku inwalidzkim. - Ten doktor właśnie mi powiedział, że jego brat umarł w wieku dwudziestu pięciu lat. To samo spotkało jego ojca i babcię ze strony ojca.

Unni starała się słuchać go spokojnie i uważnie.

- Jak to możliwe? Czyżby los waszych rodzin był podobny?

Tony skierował na nią swoje szare oczy, otoczone czarnymi jak węgiel rzęsami.

- Morten i ja jesteśmy krewniakami - wyjaśnił. - Dalekimi, jak z pewnością widzisz, bo przecież różnymi się między sobą jak dzień i noc. Przypuszczam, że jesteśmy krewnymi w szóstym pokoleniu. Próbowałem to trochę badać. Mamy wspólnego przodka, który urodził się w roku tysiąc osiemset sześćdziesiątym piątym, a umarł w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym.

-Ale to znaczy, że on nie zmarł w wieku dwudziestu pięciu lat.

- Rzeczywiście, on żył długo, ale wczesna śmierć spotkała jego starszego brata. A ponieważ ów brat umarł bezpotomnie, dziedzictwo przeszło na dzieci drugiego.

- To bardzo zawiłe!

- Rzeczywiście. Bez względu jednak na wszystko, ten nasz przodek zdażył spłodzić troje dzieci. Najstarsze były bliźnięta, dziewczynki. Od jednej z nich wywodzi się moja rodzina, od drugiej - rodzina Mortena. Obie zmarły w dwudziestym piątym roku życia. A ponieważ były bliźniaczkami, przekleństwo przeniosło się na dzieci obydwu. Obie miały po jednym dziecku i te dzieci przekazały je dalej.

- Mówisz „przekleństwo”?

- Tak to nazywamy. Nie wiemy, dlaczego los tak się toczy.

- Ale chyba nie wszystkim pierwotnym udaje się spłodzić dziecko przed ukończeniem dwudziestu pięciu lat?

- To prawda, i właśnie wtedy przekleństwo przechodzi na dzieci siostry albo brata. Dlatego też nasz ród jest taki nieliczny. Prawdę powiedziawszy, teraz reprezentujemy go jedynie Morten i ja.

- A jeśli ród całkiem wymrze?

- Nie wiem, co będzie. Sądzę, że tego mu nie w o l n o.

- Doprawdy, dość dziwne sformułowanie!

Unni odwróciła się do kolegi.

- Posłuchaj, Mortenie, wkrótce skończysz dwadzieścia cztery lata. Jeśli więc chcesz mieć dzieci, to musisz się pospieszyć. Och, to było niemądre i brutalne z mojej strony! Okropnie jestem bezmyślna. Proszę cię, wybaczyć!

- Nic nie szkodzi. Ale chciałbym teraz usłyszeć, co wie pan doktor.

- On się nazywa Tony Eng - poinformowała Unni.

\_ I dopiero będę lekarzem - przypomniał Tony.

Morten popatrzył na niego pytająco, a w końcu kiwnął głową.

- Jestem w takiej samej sytuacji jak ty, Unni - powiedział przyszły lekarz. - Stoję obok. M ó j brat, t w ó j przyjaciel. Jesteśmy obserwatorami i będziemy próbować pomóc.

Morten przełknął ślinę. Wyglądał na dość niezadowolonego, a może raczej na niepewnego. Powiedział jednak, że jest im wdzięczny.

Tony nie tracił czasu.

- Podsumujmy to, co Morten wie albo co przeżył. Potem ja uzupełnię te informacje o swoje doświadczenia, czy raczej o doświadczenia mego brata. Sądzę, że Unni też będzie miała coś do dodania.

Morten popatrzył na koleżankę pytająco, ale Unni, równie zdziwiona jak on, tylko wzruszyła ramionami.

Tony zaczął mówić, jednocześnie zapisując to, co najważniejsze, na kartce w bloku.

- Morten, kiedy miał dwadzieścia jeden lat, dostał pergamin. Bardzo stary, trudny do odczytania, zawierający słowo „Sanctus”, na pół zatarty znak i kilka liter z jakiegoś zdania. Zwój zniknął. Na swoje dwudzieste drugie i dwudzieste trzecie urodziny Morten dostawał podobne pergaminy, ale te nie wyglądały już na takie stare i dawały się odczytać. Ów dziwny znak również był wyraźny. Różniły się natomiast tekstem: »Czas płynie, płynie, zostały ci tylko trzy lata. Zrób to, co do ciebie należy, spiesz się, spiesz! Nadchodzi, nadchodzi!». To ostatnie Unni zupełnie słusznie poprawiła na: „Nadchodzą, nadchodzą!” - Nim zdążyli ° cokolwiek spytać, Tony podjął: - Ojciec Mortena Wspomina o jakichś papierach pozostawionych przez niatkę, a w dzienniku Mortena napisane jest, że „miał

nierzeczywiste wrażenie, że znajduje się w jakimś zupełnie innym miejscu". Wspomina tam również swój sen, w którym śni mu się, że konieczny jest pośpiech, że odczuwa niepokój i musi się spieszyć. To uczucie nie opuszcza go również na jawie, chociaż nie potrafi go wytłumaczyć. W bardzo ważnym śnie pojawia się jakaś wielka tarcza na ścianie, tarcza z herbem.

Tony podniósł głowę.

- Wszyscy sądzimy, że to ten sam symbol, ten sam znak. Tym razem bowiem Morten widzi pod tarczą cały tekst, który zgodził się z urywkami słów na pierwszym pergaminie. AMOR ILIMITADO SOLAMENTE - Jedynie bezgraniczna miłość", wszystko jedno, co to ma znaczyć. Pod tarczą stoją jacyś straszni ludzie, z łysymi głowami, w czarnych płaszczach i złymi oczyma wpatrują się w Mortena. W tle widać narzędzia tortur.

- Które przywodzą nam na myśl hiszpańską inkwizycję - uzupełnił Morten.

- Oczywiście.

- Ale tak poza tym, niewiele z tego wynika - powiedział Morten głosem pozbawionym entuzjazmu. - Tylko sen...

- Wynika z tego całe mnóstwo - zaprotestował Tony. - Zwłaszcza jeśli się do tego doda opowieść mego brata.

Unni chłonęła Tony'ego Enga wzrokiem. W ich małym trio to on miał zdecydowanie największy autorytet, lecz dziewczyna dostrzegała, że ukrywa on w swym sercu rozpacz, której jej zdaniem nie powinien w sobie nosić. Zauważyła jednak, że owo uczucie ujawnia się wówczas, gdy tylko Tony zaczyna mówić o bracie, za którym najwyraźniej niezmiernie tęsknił.

- Mego brata bardzo wcześnie zaczęły dręczyć upiorne, stale powtarzające się sny o pogrzebaniu żywcem.

- To straszne! - wykrzyknęła przerażona Unni.

- Tak, śniło mu się, że leży w trumnie. Czy tobie również przyśniło się coś podobnego, Mortenie?

Pacjent próbował wysilić umysł.

Nie, nic takiego nie pamiętał. We śnie ujrzał jedynie wielką salę o niskim sklepieniu.

- Jak twój brat przeżywał te koszmary? - dopytywała się Unni. - Czy on coś widział?

- Trumny. Sam leżał w jednej z nich, z zamkniętym wiekiem.

- No to jak mógł widzieć, że obok są również inne trumny?

- W snach człowiek widzi to, co ma zobaczyć, wiele w nich opiera się głównie na uczuciach i przecuciach. Ale to był tylko jeden z jego snów. Miał ich więcej. W ostatnich latach treścią przypominały nieco twoje sny, Mortenie. Śniło mu się, że trzeba się coraz bardziej spieszyć. W końcu otrzymał pierwszy pergamin.

- Kiedy skończył dwadzieścia jeden lat?

- Właśnie. Dobrze jednak, że zdążył mi pokazać ten pergamin, zanim zwój zniknął. Bo tak oczywiście się z nim stało. To samo, co z twoim pergaminem, pergaminem twojej matki, mego ojca i babki.

- Jak wyglądał ten pergamin? - Morten i Unni zaczęli się dopytywać jedno przez drugie. - To znaczy ten pierwszy, prawdziwy?

- Dokładnie tak, jak go opisałeś, Mortenie. Zawierał więcej szczegółów niż te późniejsze, ale na wszystkich był ów znak, choć co prawda w tym pierwszym liście prawie niewidoczny, a w dalszych jakby bardziej stylizowany.

- A potem? - spytał Morten. - Czy twój brat dostał więcej pergaminów?

- Tylko mi o nich mówił, bo jego kolejnych urodzin nie spędzaliśmy już razem.

- A w dzień dwudziestych piątych urodzin?  
- Umarł - odparł Tony z zasmuconymi oczyma. Przykro mu było również z uwagi na Mortena. - Ja miałem wówczas dwadzieścia trzy lata i bardzo ciężko to przyjąłem. Zresztą nie otrząsałem się jeszcze do tej pory.  
- Rozumiemy - powiedziała Unni cicho.  
Na chwilę zapadła cisza.  
- Ale mam wam coś więcej do powiedzenia - odezwał się wreszcie Tony, już nieco swobodniejszym tonem. - Moja matka, której z tym rodem nie łączyło nic poza tym, że poślubiła ojca, również coś przeżyła.  
- Co takiego?  
- Potężny chór mnichów śpiewających mszę. To było niezwykle silne przeżycie, tak mówiła.  
- Chór mnichów? - powtórzył Morten zamyślony. - No tak, to znaczy nie, nic takiego nie pamiętam. W każdym razie musiało to być bardzo dawno temu.  
Unni siedziała całkiem nieruchomo.  
- Co się stało, Unni? - spytał Tony.  
Dziewczyna podniosła na niego wielkie, przerażone oczy.  
- Właśnie to przyśniło mi się dziś w nocy.  
- Tobie? - wykrzyknął Morten. - Oszukujesz!  
- Nie - powstrzymał go Tony. - Nie widzisz, jaka ona błada? Opowiadaj, Unni!  
Unni musiała dokładnie powtórzyć swój sen.  
- Identyczny jak mojej matki - stwierdził Tony ze zdumieniem, gdy skończyła mówić. - Z tą jedynie różnicą, że jej nie przyśnił się szkolny korytarz, tylko długi tunel. Takie podziemne przejście pod ulicą. Chodziła nim co dzień do pracy za życia mego ojca.  
- Jesteś szczęściarzem, że masz matkę - westchnął Morten. - Ja swoją ledwie pamiętam. Wiem jedynie, że była nieszczęśliwa. Ojciec znalazł sobie kochankę.

- Moja matka również wcześniej zmarła - odparł krótko Tony.  
- Mortenie, czy twojemu ojcu przyśnił się kiedykolwiek chór mnichów? - spytała Unni.  
- Nie - odparł chłopak zdecydowanie. - Owszem, słyszał o przekleństwie ciąży na rodzie matki, ale uważał to wszystko za wierutne bzdury.  
Przez chwilę siedzieli pogrążeni w myślach.  
W końcu Morten odezwał się dość żałosnym tonem:  
- Jak myślicie, czy tu chodzi o coś dobrego, czy o coś złego? O coś naprawdę złego?  
- Doprawdy, trudno to stwierdzić - przyznał Tony. - W każdym razie przyjemne nie jest.  
Unni postanowiła przedstawić swój pogląd na sprawę.  
- Moim zdaniem wygląda to trochę tak, a trochę tak. Tak jakby istniała zarówno dobra, jak i zła strona. Chodzi mi o to, Mortenie, że miałeś ten wypadek, jeszcze zanim dotarłeś do granicy dwudziestu pięciu lat. I to na cały rok wcześniej. Jak gdyby ktoś nie chciał dopuścić, żebyś dożył tej granicy.  
- Tak - przyznał Tony w zamyśleniu. - Myślę, że to może coś oznaczać, Unni. Ale, na miłość boską, o co w tym wszystkim chodzi?  
- Czy twój dziadek, ojciec twego ojca, żyje?  
- Nie. Nawet moja babcia nie wiedziała, kim był.  
- Wobec tego jedyną osobą, do której możemy się zwrócić, jest babcia Mortena. To jedyna osoba ze starszego pokolenia.  
- Racja. - Tony wstał. - Ale widzę, Mortenie, że zaczyna ci już brakować sił, a i ja muszę wracać do pracy. Zobaczymy się jutro o tej samej porze? Czy ty również przyjdiesz, Unni?  
Oboje młodszy kiwnęli głowami. Tony wyszedł tak

szybko, że Unni nie miała szans, żeby się do niego przyłączyć.

- O rany! - westchnął po pewnej chwili oszołomiony Morten. - Pomyśl tylko, że on jest z nami.

- Ty go znasz? - pytała Unni zdziwiona i bardzo, ale to bardzo zaciekawiona.

- Wiem, kim jest. Ale że przedstawia się jako Tony Eng, tego nie wiedziałem.

- A nie nazywa się tak?

- Owszem, ale to pewien skrót. Tak naprawdę nazywa się Antonio Vargas. Doktor, czy też prawie doktor Antonio Eng Vargas. Norweskie nazwisko „Eng” przyjął pewnie po matce.

Unni poczuła, że usta same otwierają jej się ze zdziwienia, i czym prędzej je zamknęła.

- Antonio Vargas?

Był więc w połowie Hiszpanem, a hiszpańskie akcenty w tej tajemniczej historii, dotyczącej życia i śmierci młodych ludzi, wydawały się bardzo mocne.

Po czyjej on właściwie stoi stronie?

## 9

O tej porze roku prędko się ściemniało. Tony, to znaczy Antonio, zapewne sądził, że Unni zdąży wrócić do domu przed zmrokiem, lecz ona jeszcze przez chwilę posiedziała u Mortena, by przetrwać nowinę o nazwisku studenta medycyny. Kiedy Tony był razem z nimi, tak przejęła się rozmową, że prawie całkiem zapomniała o swojej zranionej nodze. Teraz jednak Morten powiedział, że widzi, iż Unni kuleje, zrelacjonowała mu więc to, co przytrafiło się jej dzień wcześniej. Ogromnie zdziwiło to Mortena i zaczęli rozważać możliwość związku pomiędzy wypadkami, które ich spotkały, aż w końcu Unni przegapiła autobus i musiała czekać na następny.

W tym czasie ciemność spowiła miasto i okolice.

Unni wysiadła na swoim przystanku. Zobaczyła, jak znikają czerwone tylne światła autobusu, pozostawiając ją na pastwę ciemności. Mądra po szkodzie i bolesnym doświadczeniu, zamiast drogą ruszyła przez pole.

Obsiano je ozimną, więc po cienkiej warstwie śniegu nietrudno było iść. Raz po raz zerkała na drogę, sprawdzając, czy nie czai się na nią żaden samochód, choć nieliczne pojazdy, przejeżdżające główną drogą, bijały ją niewinnie. Ich kierowcy pewnie spieszyli się na obiad albo do miasta po gwiazdkowe prezenty.

Unni obrała kurs na swój dom, wabiący zapaloną na zewnątrz latarnią i rozjaśnionymi oknami.

Niespodziewanie dom zastąpił jej jakiś cień. Przekonała Unni całą drgnęła.



Wcześniej niczego nie słyszała, tymczasem nagle w krąg światła wdarł się jakiś jeździec na potężnym czarnym wierzchowcu. Wyrastał przed nią odwrócony bokiem. Unni instynktownie zrobiła kilka kroków w tył, a gwałtowne uderzenia serca wprost sprawiały jej ból.

Co to za wariat tak pędzi zimą po ciemku? Mógł przecież na nią wpaść!

Po zarysie postaci na tle bijącego od tyłu światła zorientowała się, że to mężczyzna.

Jak on się ubrał?! Miał na sobie coś w rodzaju czarnej mnisiej opończy, układającej się miękko na lędźwiach konia; głowę mężczyzny zakrywał kaptur.

Chociaż Unni była zarazem zła i wystraszona, nie zdobyła się na żaden protest. Przerażona wpatrywała się tylko w zjawę, tkwiącą nieruchomo tuż przed nią. Jedyne koń przebierał kopytami, niespokojnie, lecz bardzo cicho.

Jakiś samochód na drodze dotarł do zakrętu i snop światła rzucany przez reflektory prędko omiótł jeźdźca. Unni zdążyła przez moment dostrzec przerażające oblicze, zobaczyła uniesioną w drapieżnym uśmiechu górną wargę.

Światła reflektora prędko zgasły, lecz niemalże i tak ją oślepiły. Zasłoniła oczy rękami, kryjąc je zarówno przed blaskiem, jak i przed widokiem tej dzikiej, choć zarazem dziwnie szlachetnej twarzy, śmiertelnie bladej, obramowanej przetykaną siwizną brodą.

Gdy znów osmieliła się popatrzeć, i rycerz, i koń gdzieś zniknęli, choć znów nie usłyszała żadnego dźwięku. Później uświadomiła sobie, że pospiesznie odnalazła w pamięci kilka słów, które chciała przekazać jeźdźcowi. Pragnęła po hiszpańsku powiedzieć mu, że jest nastawiona przyjaźnie. Wymyśliła jednak tylko *Yo ser amistoso* i miała poważne podejrzenia, że to oznaczałoby „Ja być przyjazna”, co, doprawdy, mogło zabrzmieć dość niemądrze.

Po hiszpańsku? Dlaczego miałyby zwracać się do tego jeźdźca właśnie po hiszpańsku? Przecież nic o nim nie wiedziała!

Chyba Hiszpania padła jej na mózg.

Unni pobiegła do domu, błogosławiąc światło i ciepło, jakie czekało na nią za wejściowymi drzwiami, które starannie zamknęła za sobą na klucz.

Nie wspomniała o tym, co ją spotkało, rodzicom. Oni by tego nie zrozumieli, zadawaliby tylko wiele niepotrzebnych pytań.

Przez pewien czas siedziała u siebie w pokoju. Rozcierała bolącą nogę i zastanawiała się, czy nie powinna zadzwonić do Antonia i opowiedzieć mu o tajemniczym jeźdźca. Uf, nie, przecież nie miała numeru jego telefonu.

W pewnej chwili jej wzrok przyciągnęło własne odbicie w lustrze.

- Przecież od czegoś takiego można się tylko załamać - mruknęła kwaśno do siebie. - Dlaczego, na miłość boską, obcięłam włosy?

Widziała wielkie, ciemne oczy patrzące na nią gniewnie, twarz o dość zwyczajnych rysach. Gdyby była igłą w stogu siana, nikt by jej nie odnalazł. Figurę na razie miała niezłą, lecz jeśli nie przestanie objadać się ciastkami w nocy, to... Trzeba z tym skończyć. Natychmiast!

- Unni, jesteś zerem! - oświadczyła swemu własnemu odbiciu.

Ale takich rzeczy podobno nie można mówić! Żeby odzyskać wiarę w siebie i naprawdę wypięknąć, trzeba tylko stale powtarzać: „Jestem ładna, jestem ładna...”

Odwróciła się w oczekiwaniu na cud.

- Wierzę w to, wierzę, wierzę!

Potem znów zerknęła do lustra i teraz już całkiem si<sup>2</sup> poddała.

- No właśnie, czyż nie jest tak, jak myślałam?

Czy właściwie wypadek Mortena zgłoszono policji? I czy nie powinna powiadomić władz o tym, co jej się przytrafiło? Ale co właściwie mogła powiedzieć? Nie znała numeru rejestracyjnego tego samochodu, nie pamiętała nawet jego koloru, a opowiadać policjantowi o przebranych za mnicha jeźdźcu, który nagle pojawił się w ciemności...

Lęk towarzyszący tamtemu spotkaniu powrócił.

Rozległo się wołanie matki, obiad już czekał. Unni poczuła nagle, że solidnie zgłodniała. W ostatnich dwóch dniach posiłki zdecydowanie zeszyły na drugi plan.

Następnego dnia Antonio Vargas wysiadł ze swego samochodu akurat w momencie, gdy Unni skręciła na chodnik przy podjeździe do szpitala.

- Jesteśmy punktualni - stwierdził.

Wypowiadane przez niego słowa trudno było usłyszeć, w szpitalu bowiem trwał remont. Betoniarce zgrzytały i postukiwały, trzaskały deski, robotnicy coś do siebie wołali. Hałas panował iście piekielny.

Unni przyglądała się ukradkiem Antoniowi. Była w nim jakaś bezbronność, o jaką nigdy nie podejrzewałaby osoby obdarzonej takim autorytetem jak on. I... choć bardzo nie chciała się do tego przyznawać, to od czasu do czasu pojawiał się w nim pewien przeblysł uporu, jakby nienawiści, której nie potrafiła zrozumieć. Bardzo wyraźne stawało się to zwłaszcza wtedy, gdy rozmawiali o jego bracie. Jak gdyby Antonio chciał go bronić? Unni w każdym razie bardzo się to nie podobało.

Tak czy owak, to mimo wszystko bagatelka.

Antonio objął ją za ramiona.

- Śniło ci się coś dzisiejszej nocy?

- Nic.

- O wielu rzeczach nie zdążyłem wam wczoraj opowiedzieć.

- O czym na przykład?

- O tym pomówimy, kiedy już będziemy razem z Mortenem.

- Dobrze. Ale wiesz, przeżyłam wczoraj wieczorem coś okropnego.

- O tym bardzo chciałbym usłyszeć.

Nieoczekiwanie z góry rozległ się ostrzegawczy okrzyk. Antonio zadarł głowę i dosłownie rzucił Unni w stronę drzwi, a w tym samym momencie kilka ciężkich desek z górnej części rusztowania spadło na dół i uderzyło w ziemię z potwornym hukiem, zaś śnieg, lód i cement rozprysnęły się dookoła tuż przed głównym wejściem do szpitala.

Zapadła cisza. Unni, leżąca już w bezpiecznym miejscu, wstrzymała oddech.

Antonio wyszedł spod dachu i zawołał głośno:

- Co się stało? Czy ktoś jest ranny?

- Nie! - padła odpowiedź z góry. - A co z wami?

- Wszystko w porządku.

- To dobrze.

- Co się właściwie stało?

- Tego nie pojmuję - odparł głos. - Najwyższa część rusztowania po prostu się zawaliła. Nikogo z nas tam "a gorze nie było.

Antonio przez chwilę rozmawiał z brygadzystą, podczas gdy inni robotnicy sprząтали, a gapie nie przedstawiali się gapić. W końcu pokiwał głową i pociągnął Unni za sobą do środka.

Dziewczyna czuła, że dłoń spoczywająca na jej ramieniu drży. Pod nią też uginały się nogi, ledwie była w stanie mówić.

~ Jak to... to... się mogło stać? - wyjąkała. - I dla-

czego runęła tylko górna część rusztowania? Powinna przecież pociągnąć za sobą pozostałe, na niższych piętrach!

- Nad samym wejściem nie było akurat niższych rusztowań, ustawiono je jedynie na samej górze, a tam dzisiaj nikt nie pracował.

- Ale jak te deski mogły spaść?

- Wystarczyło właściwie lekko je pchnąć, sprawdzałem. Dało się to zrobić z okna na najwyższym piętrze. Jeden z robotników widział, że okno się zatrzasnęło.

- To on nas ostrzegł?

- Nie, i nikt nie wie, kto to mógł być.

Unni na moment zamilkła.

- A co się tam mieści?

- Magazyn, nic więcej. Nie mam odwagi jechać windą na górę, żeby sprawdzić, czy kogoś tam znajdzie. Teraz zresztą i tak już jest za późno.

- Tak w ogóle to bardzo ci dziękuję - mruknęła Unni. - Zdaje się, że uratowałeś mi życie.

- Drobiazg - uśmiechnął się. - No, no, tylko żartowałem. Chodź, idziemy do Mortena.

Ostatnie jego słowa zabrzmiały dość surowo, ale Unni odczuwała ulgę.

Dziękuję ci, Antonio Vargas. To oznacza, że mimo wszystko jesteś po naszej stronie, pomyślała. Uważam tak samo jak ty: Ktoś upatrzył sobie nas jako ofiary, dla kogoś jesteśmy niebezpieczni.

Ale dla kogo? I dlaczego właśnie ja? Przecież jestem osobą kompletnie nie związaną z tą sprawą.

- Czy mogę cię o coś spytać? - poprosiła nieśmiało.

- Oczywiście.

- Morten mówił mi, że nazywasz się Antonio Vargas. Dlaczego mam do ciebie mówić Tony Eng?

Antonio zatrzymał się, Unni także.

\_ Ponieważ tu, w Norwegii, tak jest najprościej. No i co trzeci Hiszpan ma na imię Antonio.

. Ja uważam, że to bardzo ładne imię.

- Dziękuję - odparł z uśmiechem. - Wobec tego możesz mnie tak nazywać.

Unni uśmiechnęła się zadowolona, jak gdyby jej dumę i poczucie własnej wartości solidnie podbudowano.

„Ci źli, gołogłowi, są tutaj!”

„Wysłali swoich śmiałków, żeby zaszkodzić bezbronnym”.

„Te kruche istoty tym razem zostały ocalone. Uratował ich najsilniejszy. Lecz naszych wrogów przepętnia nienawiść, chcą nas zniszczyć”.

„Odebrali nam nasze głosy, naszą cześć, nasz drogi skarb, nasze życie. Teraz chcą również zabrać naszą śmierć”.

„Czy nie wolno nam niczego zachować? Udało ci się porozmawiać z dziewczyną, przyjacielu?”

„Ach, jakże można mówić bez głosu? Obawiam się, że z naszego spotkania wyniosła jedynie strach. Pewien jednak nie jestem. Wydawało mi się, że wyczuwam prośbę o moją przyjaźń”.

„Musimy spróbować jeszcze raz! Możemy liczyć na pomoc zaledwie tych nielicznych”.

„A oni nic nie rozumieją. Nic też nie możemy im powiedzieć. Ruszajmy, przyjaciele! Ziemski czas ucieka!”

Nie powiedzieli Mortenowi o wypadku, to by go wzburzyło i wystraszyło.

Antonia przygnębiał fakt, że Morten tylko leży tak bardzo bezradny. Stwierdził, że coś trzeba z tym zrobić, i to szybko.

Najpierw jednak rozmawiali. Morten nie dopytywał się o hałas na zewnątrz, na skutek trwającego remontu i tak przez cały czas było głośno, jeden huk mniej czy więcej mało kogo więc dziwił.

Antonio wychylił się przez stół, żeby podać Mortenowi szklankę.

- Teraz dopiero widzę, że naprawdę jesteś Hiszpanem - roześmiała się Unni. - Poruszyłeś się zwinnie niczym tancerz flamenco!

- Naprawdę? Przykro mi, ale nie odziedziczyłem hiszpańskiego temperamentu. Pod tym względem jestem bardzo norweski. Trochę powolny, ale poczciwy i wierny.

Obdarzył Unni uśmiechem, który mógłby roztopić serce królowej śniegu.

Wierny, ale komu? zadała sobie w myślach pytanie. Jakiejś dziewczynie?

A, co tam, to jego sprawa!

Nie przeszkodziło jej to jednak stwierdzić w duchu,  
<sup>2c</sup> Antonio z całą pewnością potrafi być bardzo miły w miłości.

Co za pomysły przychodzą jej do głowy? Postanowiła skupić się na tym, co mówi Morten.

- Ale co takiego Unni może mieć do dodania? Zupełnie tego nie rozumiem.

- Wspominałaś, że wczoraj wieczorem przeżyłaś coś okropnego - przypomniał jej Antonio.

- O, tak! - ożywiła się Unni, bo o tej przygodzie bardzo chciała komuś opowiedzieć. - To było bardzo dramatyczne, naprawdę straszne i tajemnicze, wręcz nierzeczywiste! Nie chciałam, żeby jakiś samochód po raz kolejny na mnie najechał, postanowiłam więc wrócić do domu przez pole.

Opowiedziała wszystko o upiornym rycerzu w mnisiej oponczy, który pojawił się bezszelestnie, zasłaniając jej latarnię przed domem. O górnej wardze, która tak okropnie uniosła się w górę, jak gdyby chciał warknąć na nią ostrzegawczo, a także o tym, jak zniknął, równie nagle i bezgłośnie jak się zjawił, w chwili gdy oślepiły ją światła samochodowych reflektorów.

- O rany! - westchnął Morten. - Wygłupiasz się?

- Ani trochę - zapewniła lekko urażona Unni.

- Sądzę, że Unni mówi prawdę - wtrącił się Antonio. - To wszystko bardzo dobrze pasuje do wzoru.

- Do jakiego cholernego wzoru? - syknął Morten. - Wy mnie tylko straszycie!

- Wszyscy troje jesteśmy wmieszani w coś, co bardzo trudno wyjaśnić. Wbrew własnej woli potknęliśmy się o coś, co moim zdaniem sięga korzeniami daleko w przeszłość. Znaleźliśmy się w samym środku walki pomiędzy dobrymi i złymi siłami.

Unni nie całkiem się z nim zgadzała.

- Mnie się nie wydaje, że potknęliśmy się o coś mimowolnie. My... a dokładniej mówiąc, wy, zostaliście być może wybrani do czegoś już dawno temu.

- Może i tak. Ja również nie rozumiem, jaką rolę w tej historii odgrywa Unni - ciągnął Antonio. - Al

że jakąś rolę ma, to pewne. Widziała cienie przy co najmniej trzech różnych okazjach.

- Ha! - prychnął Morten. - Takie rzeczy łatwo powiedzieć. Gdzie to było?

- Na przykład w bibliotece - odparł Antonio spokojnie. - I wokół nas.

Nie chciał wdawać się w szczegóły i opowiadać o cieniach w pokoju Mortena w domu ani tu w szpitalu.

Unni przypomniała ostrożnie:

- Dostałam też kartkę od Mortena... której on najwyraźniej wcale nie wysłał. Napisane w niej było, że mam go odwiedzić.

- Masz jeszcze tę kartkę?

- Przykro mi, musiałam ją wyrzucić w ferworze świątecznych porządków.

Morten się nadał.

- A dlaczego ja niczego nie widziałem?

- Prawdopodobnie nie jesteś wrażliwy w takim stopniu jak Unni. Nie masz takiego samego „słuchu” jak ona.

- Ale ty, Antonio, również nigdy niczego nie widziałeś?

- Niestety, to prawda.

- To świetnie, wobec tego nie tylko ja jestem tak mało interesujący z powodu braku „słuchu”.

- A twój brat? - dopytywała się Unni.

Antonio odwrócił się w jej stronę.

- Jordi z pewnością sporo wyczuwał. On był bardzo niezwykły.

Twarcz Antonia przybierała zawsze taki ciepły, pełen smutku wyraz, gdy mówił o utraconym starszym bracie. Właśnie w tym zapewne tkwi przyczyna tego jego zagubienia, ta niepewność, pomyślała Unni. Jordi jego brat, musiał być dla niego opoką, której nagle zbrakło.

Musisz się z tego wyzwolić, Antonio! Mógłbyś stać się fantastycznym przywódcą, bylebyś tylko zdołał uwolnić się od kompleksu młodszego brata.

Czyżby ów bohater Jordi przekonał cię, że sam nie jesteś wart? Czy właśnie w tym tkwi błąd?

Nie bardzo jednak potrafiła uwierzyć w tę teorię.

A Morten się nie poddawał.

- Ale dlaczego Unni? Ona przecież nie jest niezwykła. Jest tak zwyczajna, że aż włos się od tego jeży na głowie. Tyle że ma w sobie więcej kobiecości niż my, ale to przecież naturalne.

- Kobieca? Ja? Z takimi krótkimi włosami?

Antonio po raz pierwszy przyjrzał się jej badawczo, lecz w kąciку oka nie przestawał czaić mu się uśmiech.

- Nie wszystkim do twarzy z tak krótkimi włosami. Ale do ciebie bardzo one pasują. Owszem, krótkie włosy potrafią być niekiedy bardzo kobiece, chociaż przyznaję, chciałbym także zobaczyć, jak wyglądasz w długich.

Unni zaczęła się błyskawicznie zastanawiać, czy ma jakieś zdjęcie, które mogłaby teraz wyciągnąć, doszła jednak do wniosku, że posunęłaby się za daleko w chęci ściągnięcia na siebie uwagi, mruknęła więc tylko *coś*, co miało wyrażać wdzięczność. Antonio zresztą skierował teraz swoją uwagę na Mortena. Młodzi mężczyźni prowadzili bardzo poważną rozmowę na tematy medyczne.

Unni pozostawiono samą sobie. Na tym froncie bowiem nie miała nic inteligentnego do powiedzenia.

Nagle przeniknął ją dreszcz.

Czuła, że ciarki biegną jej wzdłuż kręgosłupa, nie miała śmiałości się poruszyć.

Ach, nie, oby tylko nie to, pomyślała w panice.

W jednej chwili tak trudno było oddychać, powietrze zgęstniało i Unni zakręciło się w głowie. Pokój z»\*

czął Si? przechylać, łóżko Mortena nagle znalazło się na górze, a potem wszystko zaczęło wirować w koło.

Głosy zmieniły się w bezsensowny szum.

Nie patrz w stronę okna, nie patrz w stronę okna, jesteś Unni, zwyczajną, trzeźwo myślącą dziewczyną, która przynajmniej od czasu do czasu potrafi o siebie zadbać.

Wciągnęła głęboko powietrze w płuca i wirowanie nieco ustało. Morten znów znalazł się we właściwym miejscu i Unni prawie zaczęła rozumieć, o czym rozmawiają, choć mało z tego pojmowała.

Chyba nie chcę tu dłużej być, pomyślała oszołomiona.

## 11

- Co się dzieje? - spytał Antonio, najwyraźniej niezwykle wyczulony na jej nastroje.

Unni z wysiłkiem wydusiła z siebie:

- Nie, nic takiego, po prostu przypomniałam sobie o czymś, co się zdarzyło już bardzo dawno temu.

Zaśmiała się trochę nerwowo. W obecności Mortena nie chciała nic mówić o jego szpitalnym pokoju. Antonio jednak zauważył jej nerwowe spojrzenia, rzucone w stronę okna.

Te cienie znów się pojawiły, widziała je. Było ich wiele, znajdowały się na zewnątrz, a ich ukryte oczy bacznie obserwowały obecną w pokoju trójkę.

Unni z całych sił walczyła z utratą przytomności. W głowie jej huczało, czuła się chora.

Cienie były niczym mroczna mgła, wypełniająca wszystkie szyby. Nieforemne, groteskowe, nie przestały się w nią wpatrywać, chociaż nie potrafiła dostrzec ich oczu ani też żadnej twarzy, co zresztą było dość naturalne, skoro starała się nie patrzeć w ich stronę. Teraz wyczuwała tylko ich obecność, bo przecież siedziała odwrócona, ale pamiętała, pamiętała aż za dobrze tamten pierwszy przelotny rzut oka w stronę okna.

Nie mogła oddychać. Morten gadał coś bez przerwy, a Antonio odpowiadał mu, nie spuszczać z Unni wzroku, gotów w każdej chwili zareagować, gdyby miała zamiar zemdleć.

Na Boga, co się dzieje? pytała samą siebie w oszo-

lomieniu. Czy Morten nie widzi, że zrobiło się całkiem ciemno? Cała płaszczyzna okna jest zasłonięta, mrok rozprzestrzenia się na pokój, otacza go niczym macki. Czy one chcą dosięgnąć jego, czy też mnie?

A może Antonia? Albo wszystkich nas trojga? Zostaliśmy schwytni w pułapkę, nie wydostaniemy się z niej. Ta szaroczarna mgła nas zadusi. Ratunku, nie mam już sił!

Wysiłkiem woli zdołała zapanować nad ogarniającą ją histerią. Ręce zaciskały się na poręczy krzesła tak mocno, że aż kostki jej pobielały. Zmusiła się, by znów skierować wzrok na okno i podjąć walkę.

Ze strachu wciąż mąciło jej się w głowie, ale ku swemu zdumieniu doszła do wniosku, że się pomyliła. Te złe, wpatrujące się w nią stworzenia na zewnątrz rzeczywiście usiłowały wdrzeć się do pokoju, lecz cienie, które wyrosły w środku, były czymś innym, pojawiły się później. Nie było ich też tak wiele, lecz wyglądało na to, że próbują odegnać zło i że to im się udaje.

Unni usiłowała oddychać normalnie. Antonio siedział ze zmarszczonym czołem, wyglądał na bardzo zaniepokojonego. Morten niczego nie wyczuwał, <sup>w</sup> ogóle na nią nie patrzył.

Spokojnie, oddychaj spokojnie, nie przestrasz Mortena!

Wreszcie napięcie trochę zmalało. Mgła na zewnątrz się rozwiała, cienie odsunęły się i zniknęły.

- *Gracias* - szepnęła Unni. - Dziękuję.

Pokój również opustoszał.

- Co powiedziałaś? - zainteresował się Morten.

- Nic, ćwiczę tylko hiszpański - odparła beztrosko. - <sup>^</sup>ie chcę, żeby zarzewiał.

Posłała Antoniowi uspokajające spojrzenie i poro-  
<sup>u</sup>miewawczy uśmiech. Wyraźnie było widać, jak bar-  
<sup>zo</sup> jest ciekaw, co się właściwie wydarzyło.

Chłopcy kontynuowali rozmowę. ¶!

Co to może być? myślała Unni wciąż ze strachem. Muszę opowiedzieć Antonioniowi o wszystkim, kiedy ZQ. staniemy sami.

Nie przypuszczałam, że jestem obdarzona paranormalnymi zdolnościami. A zresztą, kiedy się cofnę myślami w przeszłość, sporo było drobiazgów... Nie, nie mogę teraz o tym myśleć, to za wiele. Ale prawdę mówiąc, dużo się tego nazbierało!

Czy chodzi o to, żebym je zobaczyła? Ci nieliczni, którzy byli tutaj w środku, i ten rycerz, którego spotkałam wczoraj wieczorem, czego ode mnie chcą?

Usiłują mi coś przekazać? Tak, chyba właśnie tak. Ale co to może być? Życzenie? Ostrzeżenie? Czy też po prostu regularna groźba?

Ta gromada za oknem była bardzo niebezpieczna. A ci drudzy?

Tego określić nie umiała. Nie potrafiła stwierdzić, co jest co, kto jest przyjacielem, a kto wrogiem. I czy przypadkiem wrogami nie są wszyscy.

Postanowiła posłuchać, o czym rozmawiają chłopcy.

- Teraz, Mortenie - mówił Antonio - najważniejsze jest odnalezienie papierów twojej matki. Czy wiesz, o co może w nich chodzić?

- Nie mam pojęcia. To może być cokolwiek. W dodatku bez związku z tą dziwną historią.

- I jesteś pewien, że nie ma ich w domu?

- W domu - powtórzył Morten z goryczą. - To znaczy w pokoju u mojej ciotki i wuja.

- A wasz dawny dom?

- Sprzedany. I przysięgam, przejrzałem wszystko, zanim przeniosłem się tu od babci. Wszystko! Również po śmierci ojca. Adwokat zajął się jego sprawami

finansowymi i pozostałymi. Ja starannie przeszukałem wszystkie biurka, nic tam nie było.

Antonio zamyślił się. Unni, pragnąc jakoś się przyśłużyć, a nie tylko obserwować ich z boku, spytała:

- A co odziedziczyłeś po matce?

- W każdym razie nie papiery, a już z całą pewnością nie pieniądze.

- Przecież nie rozmawiamy o pieniądzach - wtrącił się Antonio. - Masz coś, co należało do twojej matki?

Morten zapatrzył się w sufit, jakby tam spodziewał się znaleźć odpowiedź.

- Dostałem kartonowe pudło pełne drobiazgów. Nic ciekawego tam nie było.

- Bardzo chciałbym obejrzeć ten karton - upierał się Antonio. - Trzymasz go w swoim pokoju?

- Nie, po sprzedaży domu ojca wszystko złożono w magazynie.

- Wobec tego musimy się tam wybrać - zdecydował Antonio i wstał. - I, Mortenie... Jeśli nazywasz Unni zwyczajną, to znaczy, że wcale, ale to wcale nie znasz się na ludziach. Unni brakuje pewności siebie i to jej jedyna wada.

- Ale przecież ona wygląda tak zwyczajnie!

- A, daj że spokój! - machnął ręką Antonio.

Unni gotowa była rzucić mu się na szyję.

Antonio załatwił samochód odpowiedni do transportu niepełnosprawnych. Zapakował do środka wózek inwalidzki Mortena - i Unni, która musiała siedzieć za wózkiem. Rozważała, czy nie usadowić się w nim, uznała jednak, że nie powinna raczej wyzywać osu, i znalazła sobie miejsce na podłodze.

Morten zaś pełną piersią napawał się faktem, że siedzi w samochodzie i znów może oglądać świat. Już sa-



ma jego radość równoważyła niewygodę, jaką bez wątpienia było bujanie się na zakurzonej podłodze.

Gdy wreszcie znaleźli się na terenie magazynów, Unni poczuła się bardzo nieswojo. To dopiero! Cały dom Mortena wciśnięty do kontenera! Całe życie, być może wielu pokoleń. Zwyczajne i bardziej eleganckie meble upokorzone w taki sposób. Co innego jednak można zrobić, gdy jakiś dom przestaje istnieć?

- Nie chcę sprzedawać tych rzeczy - oświadczył Morten i przełknął ślinę. - Może pewnego dnia wszystko to mi się przyda, a może nie...

- Na pewno tak - oświadczyła z mocą Unni, chociaż czuła, jak mocno ściska ją w piersi.

Morten mógł jedynie siedzieć w wózku i dyrygować, podczas gdy Antonio i Unni, żeby uzyskać dostęp do tego, na czym im zależało, wspinali się i przedstawiali, dźwigali i przenosili.

- Jak zdołamy wcisnąć z powrotem to, co stąd wyciągamy? - westchnęła Unni zatroskana. - Czy nam się do wszystko pomieści? Obawiam się, że będzie tak jak z tym zegarmistrzem, który oddał zreperowany zegarek z krótkim liścikiem: „Niestety, te dwa małe kółeczka mi się nie zmieściły”.

Chłopcy wybuchnęli śmiechem.

Wreszcie znaleźli zniszczony kanon i Morten zawołał:

- To ten!

Wstawili go do samochodu i zaczęli wpychać wszystko z powrotem.

Dali sobie jednak radę i żadne dwa kółeczka im m\* zostały. W końcu mogli opuścić magazynowe hale.

Pojechali do małego mieszkanka Antonia, bo taffi najbardziej mogli liczyć na to, że nikt nie będzie W<sup>l</sup> przeszkadzał. Tam też Morten był najbezpieczniejszy!

;k Antonio szepnął do ucha Unni. To zresztą dotyczyło również ich.

Na krótką chwilę zostali sami. Zatrzymali się przy samochodzie, a Morten sam pchał swój wózek do wejściowych drzwi. Unni prędko opowiedziała Antonio-  
wi o cieniach, tłoczących się za oknem i w pokoju.

Chłopak usiłował zanalizować jej wizję. Przyznał, że prawdopodobnie miała rację: owa tak zwana dobra strona chroniła ich przed złą, która usiłowała wedrzeć się do środka.

Unni pokiwała głową.

- Co się stanie, jeśli Morten umrze bezpotomnie? - spytała prędko.

Antonio popatrzył na nią swymi jasnymi szarymi oczyma.

- Wówczas to potworne dziedzictwo przejdzie na mojego pierworodnego. Właśnie dlatego nie chcę mieć dzieci.

- To znaczy, że przekleństwo pójdzie do grobu wraz z Mortenem i tobą?

- Tak. Jak już mówiłem, bardzo niewielu z naszego rodu zostało na świecie. To nic trudnego umrzeć bezpotomnie w wieku dwudziestu pięciu lat, dobrze wiesz.

- Ale powiedziałaś też, że rodowi nie wolno "ymrzeć, co miałeś przez to na myśli?

-Ród powinien przestać istnieć już dawno temu. tymczasem tak się stało.

- Nie macie żadnych innych krewnych?

- Przynajmniej nic mi o nich nie wiadomo.

Unni zamyśliła się. W każdym razie miała nadzieję, °  
minę, jaką przybrała, można uznać za oznakę zasylenia, nie zaś baraniej głupoty.

To by chyba oznaczało, że to ta dobra strona wysy-  
<sup>ws</sup>zystkie ostrzeżenia i uprzedza, że trzeba się spieszyć!

- Owszem, możliwe. Ale może to również czynić ta zła, która chce, żeby coś zostało zrobione. Tyle że nie mamy na razie pojęcia, o co chodzi. Ach, to tylko spekulacje! Przecież nic nie wiemy na pewno!

- Dlatego takie ważne jest, żebyśmy odnaleźli rzeczy, które matka pozostawiła Mortenowi. Jeśli okażą się jedynie nic nie znaczącymi drobiazgami, to sądzę, że powinniśmy uznać, iż po prostu zanadto się przejęliśmy całą tą historią.

- Zostanie nam jeszcze jedna możliwość: babcia Mortena w Vestlandet.

- No tak. Ale jechać tam bez niego... A czy nie wystarczyłaby rozmowa telefoniczna? Może Morten mógłby do niej zadzwonić?

- Nie, tak się nie da. To by było za łatwe i zbyt powierzchowne.

- Masz rację - przyznała. - Przepraszam.

- Nie przepraszaj za życzliwe propozycje.

Antonio zaczął iść. Unni obserwowała go od tyłu. Był niezwykle atrakcyjny, ale nie zamierzała popełnić najpowszechniejszego na świecie błędu.

Kiedyś zobaczyła na lotnisku pewnego człowieka. Spotkanie z nim wywołało w niej szok, był to najbardziej fascynujący i pociągający mężczyzna, jakiego kiedykolwiek widziała, oczywiście według jej zdania i ideału męskiej urody, a jej zdanie nie zawsze zgadzało się z opinią innych kobiet. Przez kilka minut dane jej było przebywać w pobliżu tego człowieka, widzieć, jak się do niej uśmiecha, otrzymać od niego pomoc w chwili pozbawionej słów bezpośredniej bliskości, jakiej nigdy potem już nie zaznała. Odniosła wtedy wrażenie, jakby cała stanęła w płomieniach, jak gdyby o<sup>l\*</sup> oczekiwanie odnalazła sens życia... Tymczasem to tak nagle się skończyło. Była wprost chora z tęsknoty, <sup>ta</sup>K

bardzo pragnęła zobaczyć go jeszcze raz, lecz to oczywiście nigdy się nie stało, chociaż przez wiele lat szukała go blisko i daleko. Wypatrywała jego twarzy w tłumie ludzi, śniła o nim...

Antonio był do niego podobny. Przypominał bladą kopię tamtego człowieka. A nigdy nie należy zakochiwać się w kimś, kto jest zaledwie podobny lub przypomina wytęsknionego bohatera czy też wielką miłość. Takie uczucie z góry skazane jest na śmierć. Człowiek bowiem nieprzerwanie porównuje.

Gdyby Unni nie spotkała tamtego mężczyzny na lotnisku, być może inaczej patrzyłaby na Antonia. On przecież był niezwykle interesujący, lecz Unni za nic nie chciała wiązać się z nim uczuciowo. Nigdy przecież nie miała pewności, czy stało się to ze względu na niego samego, czy też po prostu dlatego, że był tak bardzo podobny do tamtego.

Ogromnie to zawiłe. Prawdą jednak było, że między nimi zabrakło owej szczególnej iskierki. Byli po prostu przyjaciółmi różnej płci. Tego rodzaju przyjaźń jest zjawiskiem niezmiernie rzadkim, ponieważ na ogół w pewnym momencie zaczyna w niej brakować równowagi, bo uczucia jednej strony stają się silniejsze od uczuć tej drugiej. Unni miała nadzieję, że między nimi nigdy do tego nie dojdzie, bardzo bowiem chciała mieć w Antoniu przyjaciela.

Co za niemądre myśli! Owszem, teraz połączyła ich <sup>e</sup> <sup>o</sup> <sup>o</sup> <sup>b</sup> <sup>a</sup> ta tajemnica. Później ich drogi się rozejdą. On <sup>P</sup> <sup>^</sup> <sup>e</sup> <sup>c</sup> <sup>i</sup> <sup>e</sup> <sup>z</sup> <sup>ca</sup> <sup>łą</sup> <sup>ca</sup> <sup>pe</sup> <sup>w</sup> <sup>no</sup> <sup>ś</sup> <sup>ci</sup> <sup>ą</sup> <sup>nie</sup> <sup>z</sup> <sup>ost</sup> <sup>anie</sup> <sup>tu</sup> <sup>d</sup> <sup>ł</sup> <sup>u</sup> <sup>g</sup> <sup>o</sup>. Wkrót- <sup>e</sup> <sup>w</sup> <sup>s</sup> <sup>z</sup> <sup>ak</sup> <sup>b</sup> <sup>ę</sup> <sup>d</sup> <sup>z</sup> <sup>i</sup> <sup>e</sup> <sup>ju</sup> <sup>ż</sup> <sup>w</sup> <sup>pe</sup> <sup>ł</sup> <sup>ni</sup> <sup>w</sup> <sup>yk</sup> <sup>s</sup> <sup>z</sup> <sup>ta</sup> <sup>ł</sup> <sup>o</sup> <sup>n</sup> <sup>y</sup> <sup>m</sup> <sup>l</sup> <sup>e</sup> <sup>k</sup> <sup>a</sup> <sup>r</sup> <sup>z</sup> <sup>e</sup> <sup>m</sup>.

Uoszlili do domu i pomogli Mortenowi wejść do <sup>o</sup> <sup>d</sup> <sup>k</sup> <sup>a</sup>. Antonio mieszkał w bloku dla personelu szpitalnego.

Kiedy toczyli wózek korytarzem, w którym wszel-

kie odgłosy niosły się echem, Unni spontanicznie obróciła się do przyjaciół.

- Tak ogromnie się cieszę, że was spotkałam. Wiem że brak pracy spychał mnie na niebezpieczną ścieżkę. Całymi dniami przesiadywałam w domu, myśląc bez przerwy, że nikt mnie nie chce, nikt mnie nie lubi, nikt nie chce ze mną nawet porozmawiać. W końcu zaczęłam stronić od ludzi, sama nie chciałam z nikim się spotykać. To mogło się źle skończyć, gdyby nie...

Mało brakowało, a znów by się wygadała o poczwórce i uraziła Mortena.

- Gdyby mama nie poprosiła mnie o to, żebym wreszcie urzeczywistniła to, o czym stale gadałam, i odwiedziła ciebie, Mortenie - skłamała gładko, a na koniec poratowała się stwierdzeniem: - Ta kartka, którą niby mi przysłałeś, sprawiła, że wreszcie ruszyłam się z domu.

- Dziękuję, że to zrobiłeś - odparł Morten. - Przyznaję, że byłem na ciebie zły, Unni, bo tyie plotkaś o jakichś cieniach. Antonio patrzy na wszystko o wiele trzeźwiej. Ale teraz zaczyna mi się wydawać, że w tych bzdurach, które wygadywałaś, mogło być sporo racji.

- Dziękuję, dziękuję, kochanie - odparła Unni cierpko. - Właściwie ani trochę nie interesują mnie tak bardzo ostatnio modne zjawiska paranormalne, ale prawdę mówiąc, zaczynam się trochę wahać.

- Ja także. I cieszę się, że mówisz do mnie „kochanie”. Samotna dusza potrzebuje czułych słów.

Unni uścisnęła go za rękę, krótko, bez sentymentów. Prawdopodobnie tak, jakby Morten tego chciał.

Przecież była tylko „zwyczajną Unni”.

Morten, jakby czytając w jej myślach, powiedział z żalem:

- Cofam swoje niedojrzałe słowa o twoim wyglądzie. Masz naprawdę ładny koloryt. Taki ciemny i ciepły-

Unni nie zdążyła mu podziękować, bo byli już Antonia. Dyskretnie rozejrzała się po pokoju. Wyglądało na to, że o umeblowanie zatroszczył się szpital. Niewiele tu było osobistych rzeczy, a i te nieliczne wyglądały na niezwykle praktyczne i nie mówiły nic o jego prywatnym życiu.

Nigdy nie będzie miał dziecka?

Jaka szkoda! Przecież to taki fajny chłopak! Powinien robić to, co chce, lecz aby to było możliwe, muszą jak najprędzej rozwiązać dręczącą ich zagadkę.

Zrobią to razem. Ona, Unni, jest również członkiem tej drużyny. To właśnie jest najprzyjemniejsze.

Mało brakowało, a w oczach zakręciłyby jej się łzy. Jakież to wszystko baśniowo cudowne!

No, teraz udowodniłam chyba, że Antonio nie interesuje mnie pod względem męsko-damskim, pomyślała zdziwiona. A może wykazałam się naprawdę kompletnym brakiem egoizmu? Chciałabym, żeby został ojcem i żebym ja nie miała z tym nic wspólnego?

Oj, Unni, Unni, doprawdy potrafisz zaskoczyć! Przechodzisz samą siebie.

Ale było to bardzo przyjemne uczucie.

I bardzo, bardzo delikatne.

„Wyczuwają niebezpieczeństwo?”

„Obawiam się, że nie wyczuwają tego niebezpieczeństwa, które istnieje, lecz widzą to, którego nie ma”.

„Są mądrzy, wielu groźbom już udało im się zapobiec”.

„Lecz wiele także nadzieje”.

„Czy będziemy zmuszeni znów posłużyć się najsilniejszym?”

„Najsilniejszy wie, kiedy należy działać. Dają sobie radę”.

„Ale czas, czas! Odpoczywają już zbyt długo!”

„Cierpliwości! Coś wkrótce się wydarzy”.

Otworzyli kartonowe pudło. Pozwolili Mortenowi jako pierwszemu przejrzeć jego zawartość. Wyjmował z niego jedną rzecz po drugiej i układał na stole.

Nie było tu żadnych sensacji. Ot, zwykłe osobiste drobiazgi, jakie młoda kobieta zgromadziła przez parę lat. Torebka pełna kolorowych kosmetyków i kalendarzyk, pudełko z szyciem i bibeloty, które nic im nie mówiły.

- Sami widzicie - powiedział Morten. - Nie ma tu żadnych notatek. Kalendarz już przeglądałem, nic w nim nie znalazłem.

- Zaczekaj chwilę - poprosiła Unni. - Jestem kobietą i bardzo mnie interesuje to pudełko z przyborami do szycia. Jest stare, prawdopodobnie odziedziczone w spadku, i bardzo piękne. Powinieneś wystawić je na wierzch, a nie upychać w kontenerze. Mogę otworzyć?

- Bardzo cię proszę. Przeglądałem je już wielokrotnie.

Unni podniosła górny pojemniczek zawierający poduszkę do igieł, szpulki nici i różne inne drobiazgi. Pod spodem było sporo miejsca na wzory haftów, jedwabne wstążki, grzybek do cerowania i inne rzeczy najwyraźniej pochodzące jeszcze z dziewiętnastego wieku.

- Nic ciekawego - westchnął Morten.

Chciał już zamknąć skrzynkę, ale Unni odsunęła jej rękę. Morten trochę się zirytował i Antonio musiał &o uspokajać.

- Pozwól, żeby Unni obejrzała to dokładniej. Wy-

daje mi się, że ona widzi więcej niż większość ludzi.  
Nie teraz, pomyślała.

Dostrzegła jednak małą pętelkę przy brzegu wykładanego czerwonym materiałem dna. Pociągnęła za nią

Dno się podniosło. Chłopcy czym prędzej usunęli wszystko, co na nim leżało.

Ukazały się dwa nieduże płaskie kluczyki.

- O rany! - westchnął Morten.

- Są połączone - zauważył Antonio. - To kluczyki do skrytki bankowej.

- Co takiego? - zdziwił się Morten niemądrze.

- Gotowy jestem przysiąc. Widziałem już podobne ząbki.

- Z dziewiętnastego wieku?

- Ależ nie! Schowała je tu twoja matka.

- Ojej!

- Pytanie tylko, dlaczego żaden bank nie dał ci znać. Nie można przecież zachować skrytki bankowej przez czas nieograniczony.

- Tego to ja nie wiem.

Unni siedziała jak widz. Nie miała nic do dodania. Ale to przecież ona znalazła kluczyki, a już samo to było zupełnie niezłym osiągnięciem.

Antonio przyglądał się kluczykom, obracał je na wszystkie strony.

- Na pewno nie są z mojego banku. Stawiałbym raczej na...

Po chwili wahania wymienił nazwę banku o krajowym zasięgu.

- Jedziemy tam - postanowił.

Gdy razem z Unni usadowili Mortena z powrotem w samochodzie, poszli zabrać skrzynkę i zamknąć drzwi na klucz.

- Ja ją wezmę, Antonio - zaproponowała Unni.

- Miło, że nazywasz mnie Antonio - powiedział miękko. - Podoba mi się to. Chociaż przyzwyczailem się już do tego, że wszyscy tutaj mówią do mnie Tony.

Unni poczuła się, jakby obdarzono ją wielkim przywilejem.

- Że też tak prędko udało nam się znaleźć te kluczyki! - powiedziała zakłopotana.

- Ależ, droga Unni, leżały ukryte przez ponad dwadzieścia lat! Uważasz to za szybko?

- No, rzeczywiście, jak się spojrzy na to z takiej perspektywy...

- Wygodnie ci, Morten?

- Siedzę jak król.

Mam nadzieję, że tak jest, bo ja czuję się jak żaba, odpowiedziała mu w myślach Unni.

- Męczy cię siedzenie w pozycji wyprostowanej? - spytała zatroskana z tylnej części samochodu.

- Po tylu miesiącach leżenia naprawdę czuję się jak w niebie. Poza wszystkim wydało mi się, że przez moment poczułem dzisiaj leciuteńki skurecz w łydce. Ale on oczywiście powstał wyłącznie w mojej wyobraźni.

Unni zobaczyła, że kostki dłoni Antonia zaciśnięte na kierownicy pobielały.

- Dużo ćwiczysz? - spytał z pozoru obojętnie.

- Więcej niż przedtem. Kiedy Unni powiedziała, że koniecznie muszę jechać z wami do Vestlandet, podziało to na mnie jak solidny kopniak. A co ty o tym myślisz, Antonio?

Antonio zwlekał z odpowiedzią. Wyraźnie nie chciał odbierać Mortenowi nadziei ani też zbyt go zwodzić.

- Uważam, że powinienes dalej ćwiczyć.

- Będę. Ale nie bardzo spodobało mi się twoje twierdzenie o tym, że Unni tyle wnosi. Ten wieczorny ryce<sup>c</sup>rz i cień w bibliotece to doprawdy niewiele. A samo-

chód zawsze może wpaść na człowieka i to wcale nie znaczy, że kryje się za tym coś paskudnego.

Wyminęli jadący drogą traktor.

- Moim zdaniem to całkiem sporo - stwierdził Antonio. - Ale ty mów, Unni.

- Ojej! - zdziwiła się zaskoczona. - A czy mam jeszcze coś do powiedzenia? No owszem, ten sen o chorze, który mnie prześladował w szkolnym korytarzu, ale przecież o tym już wam mówiłam. Nic więcej chyba mnie nie spotkało.

- Ależ tak! - uśmiechnął się Antonio. - Przecież Morten nie słyszał jeszcze o wszystkich twoich cieniach. I co więcej...

Zrelacjonował wydarzenie z deskami, które tak nagle spadły na dół. Morten bardzo się przejął.

Teraz z kolei Unni musiała opowiedzieć o cieniu w bibliotece, o tej postaci w szerokiej opończy, która biegła na górze po galerii.

- W opończy?

- Tak mi się właśnie skojarzyło.

- Ach, tak.

- Jeszcze jakieś cienie?

Unni wahała się. Antonio kiwnięciem głowy zachęcił ją do mówienia.

Unni nie bardzo miała ochotę opowiadać, czuła się trochę nieswojo. Jakiś samochód przemknął obok i Antonio mruknął coś o piracie drogowym.

- Wszyscy, którzy mnie wyprzedzają, to piraci drogowi, a wszyscy ci, których ja wyprzedzam, to ofermy - mruknął ironicznie. - No, Unni, mówże! Najlepiej będzie, jak Morten dowie się o wszystkim. Niech ma świadomość, z czym musimy walczyć.

- Dobrze, tylko nie wiń mnie o nic. Mortenie, czy u ciebie w pokoju jest jakiś ciemny ką?

- Ciemny ką? Co masz na myśli?

Nie powinna była nigdy o tym wspominać.

- Chodzi mi o to miejsce, w którym stoi szafa i krzesło.

Morten odwrócił się do tyłu i popatrzył na nią zdziwiony.

- Dlaczego tam miałyby być ciemno? Właśnie tam widziałas te cienie?

Antonio powiedział cicho:

- Musimy chyba założyć, że Unni jest bardziej wrażliwa od nas.

- Raczej ma bogatszą wyobraźnię - zaprotestował Morten, któremu ani trochę nie podobał się ten temat.

- W moim pokoju nie ma żadnych cieni! Ona tylko to sobie wmawia, wariatka!

- Ja tak nie uważam - odparł Antonio równie łagodnym tonem jak poprzednio. - Nazwijmy to może zdolnością odbierania. Przez to Unni może być niebezpieczna. Niebezpieczna dla nich.

- Dla jakich nich? - mruknął Morten, ale tak naprawdę nie życzył sobie żadnej odpowiedzi na swoje pytanie i żadnej też nie otrzymał. O cieniach w jego pokoju w szpitalu nie było już mowy.

Dojechali do centrum i Antonio skierował się w stronę banku. Unni z przyjemnością patrzyła, jak sprawnie prowadzi samochód. Miło było mieć przyjaciela, który tak świetnie sobie radzi ze wszystkim i któremu mogła ufać. Wiedziała, że Morten myśli tak samo. Młody chłopak siedział bezpieczny i pełną piersią chłonał wrażenia. Wyrwał się wreszcie ze swojej dręczącej izolacji, Uciekł od, jak Unni z czasem zrozumiała, zmieniania Pieluch i upokarzającej zależności od innych.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił Antonio i zahamował.

## 13

Był to wolny dzień Vesli, chyba w niczym nie lepszy od wszystkich dni roboczych.

Przydałoby jej się trochę odpoczynku, lecz matka w wolne dni zawsze wymyślała coś, co trzeba koniecznie zrobić, i to od razu. Czy Vesla mogłaby do niej przyjść?

Taki był koniec również tego spokojnego poranka.

Oczywiście nic nie wymagało pośpiechu. Należało jedynie wynieść śmieci. Vesla, taka duża i silna, mogłaby chyba...

- Przecież to sam papier i plastik, mam! Nawet tego nie czuć.

- Owszem, ale tak nieporządnie wygląda, jak tu stoi.

- W pralni? Przecież poza tobą i mną nikt tu nie zagląda.

- Veslo, czy nie mogłabyś się przeprowadzić z powrotem do domu? To bez sensu, żebyś mieszkała sama. Razem mogłoby nam być tak przyjemnie.

- Rozmawialiśmy o tym już tysiąc razy - odparła Vesla łagodnie. - Ale moje życie jest moim życiem, a twoje twoim.

- Nie rozumiem, skąd u ciebie takie serce z kamienia, w dodatku po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłam-

Dostrzegłszy świadczący o sceptycyzmie wyraz twarzy córki, dodała pospiesznie:

- A skoro już tu jesteś, to poszłabyś zrobić mi zakupy? Niewiele potrzebuję, tylko mleko i cytrynę. Nie proszę cię chyba o wiele?

Vesla zaprzestała zbierania śmieci. W głosie jej dało się słyszeć pewne zmęczenie, chociaż wciąż mówiła życzliwie.

- Mamo, masz sześćdziesiąt osiem lat, a nie osiemdziesiąt pięć. Dlaczego sama nie załatwisz takich spraw? To by ci pod każdym względem dobrze zrobiło.

Matka uciekła wzrokiem, nie wiedziała, gdzie podziać ręce.

- Ja nie mam czasu, tyle jest roboty.

- Na przykład jakiej?

- Muszę uporządkować te listy...

- Powtarzasz to za każdym razem. Czy ty nigdy tego nie zrobisz? Mamo, dlaczego nie wybierzesz się na kilka tygodni na południe?

- Oszalałaś! Jestem już na to za stara!

- Przecież ponad osiemdziesięcioletni emeryci przenoszą się na południe Europy i spędzają tam zimowe miesiące. Ty w porównaniu z nimi jesteś jak miodka.

- Nie mogę jechać sama, to niemoralne. I nie mogę też zostawić cię samej na święta, to niemożliwe.

- Ja nie mam czasu na wakacje, muszę chodzić do pracy. Ale czy nie masz przyjaciółki, z którą mogłabyś pojechać? Na przykład z ciotką?

- Ojej! Z tą wiedźmą? Ona ciągle tylko narzeka.

- O, doprawdy?

Matka nie wychwyciła ironii.

- I nie ma żadnego zrozumienia dla tego, jak strasznie się namęczyłam z Agem, moim mężem, a jej bratem. Ona śmie twierdzić, że stale nie było mnie w domu! Słyszałaś coś równie niegodziwego?

~ Nie - mruknęła Vesla i wyszła z workiem do śmietnika.

Iumiony gniew spalał ją od środka. Kto musiał zająć się Agem po wylewie? Owszem, jego córka,

i to wtedy, gdy chodziła do szkoły i z takim trudem zdobywała zawód pielęgniarki. „Bo przecież absolutnie nie oddamy ojca do żadnego szpitala. To by było z naszej strony bez serca, prawda, Veslo?”

Ojciec był miłym, lecz bardzo trudnym pacjentem. Dotknięty silnym paraliżem nie był w stanie mówić, ślinił się i trzeba było zmieniać mu pieluchy. Bardzo źle to wpływało na jego poczucie własnej wartości, ale Vesla chętnie mu pomagała, a oczy ojca wyrażały wielką wdzięczność i czułość dla niej. Gdyby tylko mogła liczyć na odrobinę pomocy! Matka z początku szukała wszelkich możliwych wymówek, byle tylko nie zajmować się mężem, potem uznała wkład pracy Vesli za oczywisty.

Dziewczynie przykro było wracać do domu po męczącym dniu w szkole, gdzie jej głowa przez cały czas musiała działać na najwyższych obrotach, i zastawać w domu ojca, którym przez cały dzień nikt się nie zajął. Matka nie chciała go nawet karmić. „On tak strasznie brudzi, to takie obrzydliwe”. Jediną czynnością, przy jakiej Vesla żądała pomocy, była zmiana pościeli. Ojciec był za ciężki, żeby mogła go przenosić sama.

W tajemnicy zwróciła się o pomoc na przychodnię, na godzinę dziennie, lecz któregoś dnia usłyszała, jak matka przez telefon mówi: „Nie, nie, wszystko jest w porządku, nie musimy obciążać gminy, potrafię sama się zająć moim biednym mężem”.

Tym samym i ta możliwość pewnego odciążenia przepadła.

Mimo wszystko zajmowanie się ojcem nie było ze strony Vesli żadną ofiarą. Chętnie to robiła, choć <sup>a</sup> opieka wyczerpywała niemal wszystkie jej siły. Gorzej było z tamtymi dwojgiem, rodzicami matki.

To była groza jej dzieciństwa.

Nie powinno bowiem być tak, aby dziecko, pranie

samo, musiało opiekować się parą bardzo wymagających pacjentów.

Vesla nie zauważyła, kiedy zaczął w niej narastać ów potężny gniew. Gdyby matka o nim wiedziała, z pewnością czym prędzej zmieniłaby postępowanie. Ona jednak tego nie rozumiała. Vesla zawsze miała takie dobre serce, była takim życzliwym i dobrodusznym dzieckiem. Ale nawet ona nie była z gumy.

Pierwsze oznaki już stawały się widoczne. Vesla zaczęła się buntować. W zawsze życzliwy ton dziewczynny wkradł się sarkazm.

Matka powinna go usłyszeć.

Młoda kasjerka odesłała ich do innej pracownicy banku, która z kolei musiała spytać jeszcze wyższego rangą urzędnika. W końcu pozwolono im wejść do jego eleganckiego biura. Mortena na wózkach udało się przeciągnąć przez wysokie progi i urzędnik spytał, czym może im służyć.

To tylko słowa, pomyślała Unni. On nigdy nie czuje, że służy komuś. To my służymy jemu. Na takiego wygląda.

Zdecydowali się, że to Morten będzie wyjaśniał, wszak to była jego sprawa. Bankier dostał już kluczyki i teraz obracał je w palcach. Przed nim leżały jakieś dokumenty, do których stale zaglądał.

W końcu oświadczył:

- Te klucze należą do skrzynki, którą już opróżniliśmy i zmieniliśmy w niej zamki. Nikt bowiem nie zgłosił się jako jej właściciel.

- Opróżniliście ją? - Mortenowi twarz się wydłużyła.  
<sup>a</sup> - ~ Wyrzuciliście wszystko?

Mężczyzna podniósł rękę w geście uspokojenia.

"Jak już mówiłem, nie odnaleźliśmy właściciela, lerdzisz, że twoja matka nazywała się Sigrid Ander-



sen, natomiast ta skrytka została wynajęta przez panią o nazwisku Sigrid Hansen.

- Ależ to panieńskie nazwisko mojej matki! - zdumiał się Morten. - Czyżby miała ją od tak dawna?

- Według naszych rejestrów wносиła opłatę zaledwie przez pięć lat, ale to było już dawno.

- Moja matka zmarła, kiedy miałem trzy lata. A co z zawartością skrytki?

- Znajdziemy ją.

Zadzwoił do podwładnego urzędnika, któremu wydał polecenie. W oczekiwaniu na niego Morten musiał odpowiadać na pytania i podpisać kilka dokumentów.

Po dłuższej chwili urzędnik wrócił i przyniósł dwa grube pliki papierów, zapakowanych w oddzielne koperty. Jedna z nich była podarta i pociemniała ze starości. Znajdowała się tam też książeczka oszczędnościowa.

To było wszystko, lecz jak się okazało, więcej niż dość

Gdy znaleźli się z powrotem na ulicy i pchali wózek w stronę samochodu, Antonio z rozbijającym uśmiechem powiedział:

- Ponieważ ja jako jedyny z nas trojga pracuję, to wam, leniwcom, pozostawię przejrzanie tych dokumentów. Sam muszę wracać do szpitala.

Oboje zaprotestowali. Przecież on musi we wszystkim uczestniczyć, inaczej nic z tego nie wyjdzie!

Te słowa wyraźnie go ucieszyły.

Zdaniem Unni Morten jako pierwszy powinien przejrzeć papiery, on jednak natychmiast się temu sprzeciwił-

- Mogę zaczekać na was - oznajmił. - W tę sprawę jesteśmy zaangażowani wszyscy troje. Ale czy mogę zajrzeć do tej książeczki oszczędnościowej?

- Oczywiście - odpowiedzieli.

- Tylko nie spodziewaj się zbyt wiele - uprzedził g°

Antonio. - Przed dwudziestu laty wartość korony była znacznie wyższa niż dzisiaj.

- Wiem o tym. Matka zapewne wpłacała tu dwucyfrowe kwoty. Nie przypuszczam, żeby moi rodzice byli jakoś szczególnie zamożni. Ojciec zresztą wydał wszystko na swoją włoską kochankę, która została moją macochą.

- Ale ona była dobrą macochą?

- O, tak, oczywiście, była w porządku.

- Czego nie mogę powiedzieć o swoim ojczymie - powiedział Antonio, a w jego oczach zapalił się mroczny, pełen nienawiści blask. - To był prawdziwy diabeł w ludzkiej skórze. Na szczęście udało nam się od niego uciec.

- Miałeś więc ojczyma? Nie wspominałeś o tym.

- Nie lubię o nim mówić - przyznał Antonio, nieznacznie drżąc - Mój ojciec zmarł, kiedy byłem bardzo mały, bo przecież dzieci dwudziestopięcioletków nigdy nie są zbyt duże, i matka prawie natychmiast powtórnie wyszła za mąż. Właściwie wręcz podejrzenie szybko, można by się zastanawiać, czy oni dobrze się nie znali jeszcze przed śmiercią mego ojca. Ale z moim ojczymem Leonem nie dało się mieszkać pod jednym dachem. On nienawidził Jordiego i prawdopodobnie zabiłby mego brata, gdyby matce w końcu nie udało się od niego wyrwać. Pamiętam go tylko jako wysokiego mężczyznę w rozpiętej koszuli, jakby po to, by wszyscy zobaczyli, jaki z niego macho. Jordi twierdził, że cuchnęło od niego capem. Leon zawsze chciał o wszystkim zdecydować, wrzeszczał i bił, i nie mógł znieść tego, że Jordi stara się ochronić zarówno matkę, jak i mnie.

- Czy Jordi pisał dziennik? - spytała nagle Unni.

- Nigdy o tym nie słyszałem - odpowiedział Antonio. - No, ale teraz naprawdę muszę wracać do pracy. Obejrzyj 'i' książeczkę, Mortenie, sam jestem ciekaw, co w niej jest.

- Oczywiście, całkiem o tym zapomniałem. Moja krótkoterminowa pamięć chyba już zaczyna się pogarszać.

Pomyślcie tylko, jak mogłem zapomnieć o pieniądzach?

Suma, jaką matka Mortena pozostawiła mu w spadku, nie była może imponująca, lecz, jak zauważył Antonio przez ponad dwadzieścia lat powinna się powiększyć o całkiem niezłe odsetki. A bank nie ośmielił się chyba uznać za przedawnioną książeczki oszczędnościowej, która przez cały ten czas spoczywała w ich własnej skrytce.

-Ale co to takiego? - zdziwił się Antonio, gdy już mieli wsiadać do samochodu. - Jakaś kartka za wycieraczką? Przecież zaparkowałem prawidłowo. Ale to wcale nie mandat, tylko jakaś mapa!

Rzeczywiście, była to mapa miasta. Ulica, którą mieli jechać, została przekreślona dwiema grubymi czerwonymi kreskami.

Wszyscy popatrzyli w tę stronę. Ulica prowadziła w dół stromego zbocza, prosto na nabrzeże i do wody.

- Hamulce! - powiedzieli Antonio i Morten zgodnym chórem.

Unni, kompletnie nie znająca się na technice, nie mogła pojąć, skąd przyszedł im do głowy taki pomysł, ale gdy po pewnym czasie jakoś to przetrwała, a Antonio już leżał pod samochodem, jej także coś zaświtało.

- Wężyk doprowadzający płyn hamulcowy jest przecięty - oznajmił Antonio z pozorami beznamiętności. - Gdybyśmy zjechali w dół...

Unni pomyślała o wózku inwalidzkim, sparaliżowanym Mortenie i oblał ją zimny pot.

- No, widać więc bardzo wyraźnie - powiedział Morten drżącym głosem. - Mamy do czynienia ze stroną dobrą i stroną złą. Ktoś nas ocalił. Ale nie wmawiajcie mi, że ta zbrodnia, a następnie cudowne ocalenie od niechybnej śmierci, to dzieło jakichś cieni z przeszłości. W to nigdy nie uwierzę.

Ale co do tego nie musiał ich przekonywać.

## *Jednocześnie*

Stali na ulicy tuż w pobliżu, ale nikt ich nie widział. Spieszący dokądś ludzie przechodzili przez nich na wskroś, lecz żadna ze stron tego nie zauważała.

Pozbawieni słów widzieli jedynie trójkę stojącą przy samochodzie. Myśli przecinały powietrze.

„A więc jeszcze raz daj sobie radę”.

„Owszem, z pomocą najsilniejszego”.

„Te ataki stają się coraz częstsze. Nasi wrogowie mają wielu lokajów”.

„Może wcale nie tak wielu, lecz wielkie jest ich zło. Potrafili znaleźć odpowiednich ludzi do wykonania swoich nikczemnych, brudnych poleceń”.

„Gdybyśmy tylko mogli dotrzeć do tej trójki. Ostrzec ich”.

„Spróbujemy, gdy nadarzy się odpowiednia okazja”.

W następnym mgnieniu oka zniknęli z ulicy.

Tej nocy wszystkich dręczyły sny.

Sen Mortena był niezwykle rzeczywisty, bo wszystko, o czym śnił, naprawdę mogło się zdarzyć.

Śniło mu się, że leży w domu, we własnym łóżku. Otoczenie wyglądało dokładnie tak jak zawsze, usłyszał nawet głos ciotki: „Pora wstawać, Mortenie, bo inaczej spóźnisz się do szkoły”.

Wydawało mu się, że otworzył oczy i zapalił lampkę, ale w pokoju było bardzo ciemno i lampka się nie świeciła, chociaż kilkakrotnie naciskał wyłącznik. W kącie panowała całkowita ciemność. Słyszał, że ktoś tam oddycha. Morten był pewien, że nie śpi, nie miał co do tego żadnych wątpliwości, ale zdołał wydusić z siebie zaledwie kilka niewyraźnych dźwięków, których nawet on nie rozumiał. Bał się, cienie w kącie stały się większe, poruszyły się i zaczęły się zbliżać...

Morten uderzył w krzyk i usiłował przegnać je kopniakami, chciał usiąść w łóżku, ale ciało odmówiło mu posłuszeństwa. I nagle się przebudził i pojął, że wpatruje się w sufit szpitalnego pokoju. Zaraz też zjawiała się pielęgniarka z pytaniem, co się stało.

- One przyszły, przyszły po mnie! - wyjąkał. Nogi miał oczywiście jak zawsze sparaliżowane.

Pielęgniarka uśmiechnęła się.

- Nikt tu po ciebie nie przyjdzie i nie zabierze cię stąd. Pan Vargas prosił strażnika, żeby bardzo na ciebie uważał i nigdy nie wpuszczał tu nikogo

w nocy, bo podobno miała miejsce jakaś kradzież.

Morten rozluźnił się. Dziękuję, Antonio, pomyślał. Kradzież? Wcale nie tego obawiało się trio.

Wszystko przez tę okropną Unni, która mówiła o cieniu przyczajonym w kącie w domu. Całe szczęście, że przynajmniej tutaj nic takiego nie widziała!

Sen Antonia był inny. Napastowała go młoda dziewczyna, którą widywał w mieście i która bardzo wyraźnie okazywała mu swoje zainteresowanie. Była zresztą bardzo ładna, szczerze mówiąc, lubił przyglądać jej się ukradkiem. Teraz, we śnie, stała się bardzo natrętna, wsunęła się na niego i masowała go, a wokół nich krążyły mroczne podniecone istoty, które wznosiły zachęcające okrzyki. Antonio usiłował wyrwać się ze snu, lecz to się nie udawało. Dziewczyna, jego zdaniem, była odpychająca, lecz skupiona wokół nich gromada zachęcała ją do działania. „Weź go, weź”, syczały i wzdychały istoty.

Przesycone złem stwory z minionych czasów budziły grozę. Stały nieruchomo tuż przy nim i dziewczynie, przypominały mnichów żyjących w celibacie tak długo, że już sam widok młodej pary, która robi to, czego im zakazano, przynosił im upragnioną pociechę.

Jeszcze gorsze zaś były słowa skierowane do dziewczyny, wypowiedane ochrypłym, przesyconym żądzą szeptem:

»weź go, przynieś mu zapomnienie! Odciągnij go od naszej sprawy, on stanowi niebezpieczeństwo! Weź go teraz i już na zawsze!»

Antonio ogromnym wysiłkiem woli zdołał się wreszcie wyrwać z tego snu, powierzchnia koszmaru bowiem y<sup>fa</sup> tak krucha, że w końcu udało mu się ją przebić.

zniknęła dziewczyna, zniknęli straszni zakonnicy.

<sup>lrr</sup>>o to nie mógł pozbyć się wrażenia, że w pokoju

pozostał jakiś mroczny, duszny zapach czegoś obcego. Wciągnął głęboko oddech i przetarł oczy. Potem wziął prysznic, ale choć znowu poczuł się czysty i swobodny, wciąż nie mógł zapomnieć o śnie.

Najbardziej - poza faktem, że wszystko znów kręciło się wokół mnichów - dręczyły go dwa momenty: to, co powiedzieli o „naszej sprawie” i „niebezpieczeństwie”, a także sama dziewczyna. Wyglądała inaczej niż zwykle. Owszem, z początku była taka jak zawsze, wiedział, że to ona, rozpoznał ją, ale potem się zmieniła, jej oczy zrobiły się wielkie i wygłodniałe, a usta o wiele większe. Wyglądała jak potwór żeńskiego rodzaju, który pragnie go pochłonać.

A on nie miał wcale na nią ochoty. Czuł się zbrukany.

Unni nawiedził poranny sen, a właśnie takie bywają najsilniejsze, najwięcej się w nich dzieje.

Wędrowała powoli w górę wrzosowiska na pustkowiu w rozległym, wspaniałym górskim krajobrazie. Cienka pokrywa śniegu nie wszędzie się tu utrzymała, białe plamy widać było jedynie w zacienionych miejscach.

Przez pierzaste chmury z trudem usiłowało przeźrzeć się słońce.

Obok niej ktoś szedł, lecz Unni nie widziała, kto to. Dostrzegała jedynie skrawek długiej, mrocznej opończy czy też szaty, pojawiający się od czasu do czasu w polu widzenia.

Nie rozmawiali ze sobą, lecz łączył ich wspólny cel, przynajmniej tyle rozumiała.

Serce jej waliło, była śmiertelnie przerażona. I nagle to usłyszała, tę pieśń wydobywającą się z wielu gardł • Teraz śpiewały nie tylko przepastnie głębokie basy, si/” szła też tenory o jaśniejszej barwie, które żarliwie fi o coś prosiły, wychwytywała także kobiece głosy, °

downie czyste, lecz pełne żalostnej skargi: „Pomóż nam, pomóż, uwolnij nas!”

Nie wiedziała, w jakim języku śpiewają, lecz i tak wszystko rozumiała. Duszą.

Unni zatrzymała się zasapana. Podniosła wzrok i w odali, wysoko na górskim grzebieniu, ujrzała niewysoki zamek lub, co bardziej prawdopodobne, klasztor.

- Czy tam idziemy? - spytała swego towarzysza.

- Tak, właśnie tam - odparł jej męski głos. - I trzeba się spieszyć.

- Co będziemy tam robić?

- Tam umrzemy.

Teraz sen naprawdę zaczął dręczyć Unni, poruszyła się, uderzyła się o nocny stolik i przebudziła, nie bez ulgi.

Antonio i Unni musieli czekać przez dobrą chwilę, bo Morten był na badaniach. Siedzieli w pustym pokoju odwiedzin i rozmawiali. Unni czuła się wspaniale.

Po ataku na samochód, który miał miejsce dnia poprzedniego, Antonio wyekspediował wszystkich do domu taksówkami. Powinien był zgłosić sprawę na policji, lecz tego nie zrobił. Obawiał się, że dziennikarze zwęszą historię, a nic tak nie potrafi pomieszać szyków w śledztwie, jak zanadto wścibscy reporterzy.

Tego przedpołudnia Unni przyjechała autobusem do samego szpitala. Musiała przyznać, że z ogromną podejrzliwością przyglądała się paniom w średnim wieku, iszczącym wypchane plastikowe torby, zmęczonym <sup>ewc</sup> zynom i mężczyznom, którzy próbowali udawać, tak naprawdę są właścicielami luksusowych samochodów, oddanych na rutynowy przegląd do warsztatu i <sup>odr</sup> po-  
<sup>dr</sup> oz autobusem jest po prostu zwykłym przypadkiem. <sup>ec</sup> znalazła wśród pasażerów żadnych podejrzanych <sup>^</sup> typków.

Antonio urwał zwiędły listek z rosnącej w doniczce rośliny i nagle spowaźniał.

- Unni... zauważyłem, że pod tą twoją ironią kryje się sporo wstydu i nieśmiałości. W pewnych sytuacjach przy niektórych słowach wycofujesz się, dlaczego?

- Ojej! - przeraziła się. - Czy to naprawdę widać?

-To się nie rzuca w oczy, ale ja zwróciłem na to uwagę.

Wyraźnie oczekiwał na jej wyjaśnienia.

Unni mocno i głęboko wciągnęła oddech.

- Żeby wyeliminować to, co zazwyczaj się podejrzewa, powiem, że miałam wspaniałe dzieciństwo, byłam bardzo kochana, żadnych napaści, żadnego wyśmiewania się w szkole, żadnego sadystycznego ojca. Czułam się bezpieczna i szczęśliwa.

- Świetnie, przynajmniej tyle wiemy. Rzeczywiście bardzo męczące są wszystkie te neurotyczne kobiety, które koniecznie chcą zwierzać się z męczeństwa, jakiego zaznały w dzieciństwie, przez cały czas na tym grać i wszystko tym tłumaczyć. One nie rozumieją, że w wielu przypadkach człowiek po prostu musi stworzyć sobie nowe życie jako dorosły, powinien próbować zacząć wszystko od nowa. Przyznam ci się, że mam wrażenie, iż ja przyciągam takie histeryczne typy.

- Doskonale potrafię to sobie wyobrazić! - zaśmiała się Unni z goryczą.

Antonio także się uśmiechnął.

- Mów dalej! - poprosił.

- No cóż, miałam ostatnio trochę przykrości, ale nie chciałabym cię nimi obciążać, bo to by było niewiele lepsze od zwalania wszystkiego na przeżycia w dzieciństwie.

Antonio nic nie powiedział, patrzył tylko na nią zyczliwie. Unni skrzywiła się.

- Uf, to takie niepoważne.

- Pozwól, że ja o tym zdecyduję.

Unni westchnęła ze złością.

- Przede wszystkim chodzi o to, że nie mogę znaleźć żadnej pracy. Uwierz mi, to strasznie działa na poczucie własnej wartości.

- Ani przez chwilę w to nie wątpię, to zupełnie rozumiałe.

- To takie wrażenie, jakby człowiek po każdej kolejnej odmowie stawał się coraz mniejszy i mniejszy. Skończyłam szkołę z dobrymi ocenami, wzywają mnie na rozmowy, a potem więcej się nie odzywają. Czasami nawet nie chce im się mnie zawiadomić i dopiero później dowiaduję się, że ktoś inny dostał pracę, o którą się starałam.

- To musi się wydawać niesprawiedliwe.

- Owszem, zwłaszcza że w czasie oczekiwania na decyzję nie szukam innego zajęcia.

- Ale masz to swoje niezwykle poczucie humoru, nie zapominaj o tym.

- Czasami humor nie wystarcza.

- Wiem, wiem.

Cudownie było siedzieć i rozmawiać z Antoniem w sposób tak intymny. Unni miała wrażenie, że są sobie bardzo bliscy. Czuła więź łączącą ją z drugą osobą, a właśnie tego brakowało jej od dawna.

- Ale jest jeszcze co innego, co ci doskwiera.

- No, oczywiście, to, że mieszkam w domu... Mam już prawie dwadzieścia jeden lat i ciągle mieszkam z rodzicami. Właściwie nie jest to żaden problem, bo mama i ojciec są bardzo wyrozumiali i naprawdę się cieszą, że jestem z nimi, ale widzę, że przeżywają moje niepowodzenia, a to już nie jest zabawne. Posiadanie własnego gniazdka zawsze jest wielkim marzeniem 'w moim wieku jak najbardziej naturalnym, ale dopóki nie mam pracy...

Wzruszyła ramionami, zniechęcona i przygnębiona.

- Coś jeszcze?

- Może i tak, ale to akurat jest bardzo dziecinne. Tworzyliśmy przez ostatnie kilka lat zwartą grupę przyjaciół, było nas sześcioro. Morten, Vesla, ja i pewna cudowna, kochana dziewczyna Hege, którą wszyscy bardzo lubimy, chociaż z całą pewnością nigdy nie wymyśli prochu. I jeszcze dwóch chłopaków, Jem i Marius. Wszystko układało się między nami bardzo dobrze, chociaż ja wśród nich zawsze byłam brzydkim kaczątkiem, z którego wyrosła kaczka.

- No, no - ostrzegł ją Antonio. - Kaczki to śliczne stworzonka.

Unni nie wiedziała, czy ma mu dziękować za te słowa, czy raczej się obrazić.

- A potem, pół roku temu, do naszej grupy dołączyła nowa dziewczyna, a przyprowadził ją śmiertelnie zakochany Jern. Pierwszą rzeczą, jaką zrobiła, było rzucenie j0rna dla Mariusa, i j0rn przez dość długi czas był naprawdę w dołka Ta dziewczyna, ma na imię Emma, usłyszała, że staram się o bardzo atrakcyjną pracę w tutejszej stacji radiowej i telewizyjnej, to była jakby moja ostatnia szansa i już prawie mi tę posadę obiecano. Emma też się zaczęła o nią starać, chociaż miała dobrą pracę, i oczywiście ją przyjęli. Ona ma naprawdę świetną prezencję- Morten, kiedy jeszcze był w naszej grupie, okropnie się wahał i nie mógł się zdecydować pomiędzy nią a Hege.

- Emma? - spytał z namysłem Antonio. - Taka szczupła blondynka o wielkich, szarych migdałowych oczach.

- Znasz ją?

- Znam dziewczynę o imieniu Emma, która przesiaduje w modnych knajpach, gdzie się przychodzi na podryw i strzela oczami za facetami. Przyznaję, że rzeczywiście jest bardzo ładna, a zmysł estetyczny zmusza człowieka<sup>3</sup> do patrzenia na to, co wydaje mu się ładne. Ze mną<sup>1ez</sup>

próbowała. Ale ja nie daję się złapać na taką przynętę.

Nie wspomniał o tym, że w jego erotycznym koszmarze pojawiła się właśnie Emma.

- Ty też się włączysz po modnych knajpach dla podrywaczy?

Pytanie Unni padło bez zastanowienia, zaraz pożałowała, że je zadała.

Ale Antonio odparł swobodnie:

- Od czasu do czasu wychodzę z kolegami. Na piwo. Nigdy nie chodzę sam, bo tego nie lubię. Czuję się wtedy taki... odkryty.

To Unni nietrudno było pojąć. Wprawdzie Antonio nie zaliczał się do nadzwyczajnych przystojniaków, to jednak był dobrze zbudowany i na swój sposób atrakcyjny. Mężczyźni tacy jak on byli niezwykle popularni, dziewczyny lubiły zwłaszcza przyprowadzać ich na imprezy albo pokazywać się z nimi i przechwalać.

O, Unni dobrze знаła swoje siostry. Wiek również nie stanowił żadnej przeszkody. Samotny kawaler zawsze cieszył się wzięciem.

Pociągnęła się za swoje krótkie włosy, jakby chciała je zmusić, żeby szybciej rosły.

- Co sądzisz o przyszłości Mortena, Antonio? Pod względem fizycznym? On przecież ćwiczy.

- Musi ćwiczyć - odparł Antonio z mocą. - Nie wolno mu się poddawać, musi mieć nadzieję, ale... nie wiem, Unni. Jestem jeszcze zbyt świeży w zawodzie, <sup>ze</sup>by mieć śmiałość zdecydowanie się wypowiadać.

- To zabrzmiało dość beznadziejnie. No i musimy pamiętać też o tej granicy dwudziestu pięciu lat. Czy niamy w nią wierzyć? Bo jeśli to prawda, to po co Morten ma walczyć?

W tej chwili otrzymali wiadomość, że Morten "Przyjmuje", i poszli do jego pokoju.

## 15

Po drodze przez korytarze natknęli się na kilka pielęgniarek i lekarek. Wiele z nich witało Antonia szczególnym uśmiechem albo nagłym rumieńcem i pochyleniem głowy.

On naprawdę ma powodzenie, pomyślała Unni zaskoczona. Sądziłam, że podoba się tylko mnie. Ale to ja się z nim przyjaźnię!

Była niezmiernie dumna, że może kroczyć u jego boku.

Och, doprawdy, wpadła w tę samą pułapkę co wszystkie inne!

Morten leżał w łóżku i sprawiał wrażenie wyczerpanego. Unni trochę się wystraszyła.

- Co tam? - spytała. - Twardo się z tobą obeszli?

- Nie, tylko zapomnieli mnie nakarmić, bo rano miałem mieć badanie, ale musiałem czekać, i to przez kilka godzin. Może macie jakiegoś cukierka? Albo konia z kopytami?

Antonio czym prędzej odszukał pielęgniarkę, która zaraz przyniosła biedakowi jedzenie.

Gdy się posilał, rozmawiali o swoich snach.

Po opowieści Unni Morten popatrzył na nią z przynajmniej z ironią w głosie. - Walką w wiatrakami? Albo jeszcze go-

- Szłaś w górę po przysypanych śniegiem wrzosowiskach ku widniejącemu w oddali klasztorowi? I było was dwoje? Na Boga, dziewczyno, przecież to początek filmu „Imię róży” z Seanem Connerym i Christianem Slaterem-

Unni popatrzyła na niego urażona.

- Myślisz, że ja... Ależ oczywiście, to prawda! Rzeczywiście oglądałam ten film i zapewne akurat ta scena utkwiała mi w głowie! Jaka ja jestem głupia! Tak samo było wtedy, gdy moja podświadomość uczepliła się chóralnej pieśni z filmu „1492” o Kolumbie i nazwała ją „Sanctus”. Czy moja podświadomość nie może się okazać choć trochę bardziej twórcza?

Antonio o swoim śnie mówił najmniej jak się da, półsłówkami. Wspomniał tylko, że złe istoty otoczyły go i zaklinały kogoś, by odciągnął go od całej tej sprawy, gdyż stanowi niebezpieczeństwo. Nie, nie wiedział, kto ma go odciągnąć. Nie chciał też mówić, że był to bardzo erotyczny sen, w którym ważną rolę odgrywała pewna dziewczyna. Emma, jak zrozumiał, nie zdobyła sobie uznania w oczach Unni.

Morten oskarżał również Unni o to, że zmieniła jego pokój w domu ciotki i wuja w gabinet strachów. Twierdził, że nigdy już nie ośmieli się tam zasnąć ani nawet nigdy tam nie wejść.

- Nie sądzę, żeby twoja pedantyczna ciotka tolerowała złe istoty w kątach - uznała Unni. - Na pewno wyciągnie je odkurzaczem.

Chłopcy, słysząc to, szeroko się uśmiechnęli.

Unni w myślach nazywała ich swoimi chłopcami<sup>1</sup> az cieplej robiło jej się na sercu, gdy sobie uświadamiała, że istnieją.

~ Czym my się właściwie zajmujemy? - spytał Antonio<sup>2</sup> ironią w głosie. - Walką w wiatrakami? Albo jeszcze go-<sup>3</sup> boksowaniem z cieniami? Co mamy na pewno? Mgli-<sup>4</sup> ny i jeszcze bardziej niewyraźne wizje, jakieś pozba-<sup>5</sup> one konturów upiory. Nic z tego nie jest namacalne.

~ Io ty mówisz - odezwał się Morten. - Ja wczoraj<sup>6</sup> ałem list, który dzisiaj rano już zniknął.

- Co?! - wybuchnęła Unni.

- Znów zniknięcie - westchnął Antonio. - Nic namacalnego, co można by komuś pokazać. No trudno, ale co było w tym liście?

- Wyobraźcie sobie, że jeszcze to pamiętam - odparł Morten z dumą. - Było tam kilka słów: „EL TIEMPO SE HUYE. TRABAJA!” Ale nie wiem, co mogą znaczyć.

- To ja wam powiem - odparł Antonio. - „CZAS PŁYNIE, PRACUJCIĘ!”

- Ja przetłumaczyłabym to raczej: „róbcie coś” - stwierdziła Unni. - Bo chyba właśnie tego oni chcą, prawda?

- Gdyby tylko byli łaskawi ujawnić, czego oczekują z naszej strony - powiedział Antonio przygnębiony.

- Musimy porozmawiać z twoją babcią, Mortenie, ona jest jedyną osobą, która być może wie coś więcej - oznajmiła Unni.

Morten nie krył pesymizmu.

- Starsza pani, która przez całe swoje życie mieszkała nad zatoką na zapadłej prowincji Norwegii? Zresztą to określenie działa na mnie jak płachta na byka. Nie ma większych prowincjuszy od mieszkańców Oslo, w ogóle od ludzi z miasta. Poza ich egoistycznym małym światkiem nic dla nich nie istnieje, a przecież pępek świata może być wszędzie. Tam, gdzie twój dom. Wszystko jedno, czy jest nim maleńka wioska gdzieś na północy, grota w skalnej ścianie w Hiszpanii czy namiot na pustyni.

- Wiem, o co ci chodzi, Mortenie - zapewnił Antonio z powagą. - Ale czy nie oddaliliśmy się zanadto od tematu?

- Sprawilo mi to wielką przyjemność - oświadczył Morten.

Nagle wszyscy troje popatrzyli na siebie. Zza okna dobiegło ich gniewne krakanie wron.

- Co to jest? - spytała Unni, podchodząc do okna.

Antonio ruszył za nią.

Zobaczyli, że wielkie ptaki ścigają dwa gile, wspaniałego czerwonego samczyka i bardziej szarą samiczkę.

- Ależ czarne są te wrony! - zdumiała się Unni. - I jest ich cały tuzin!

- To gawrony - wyjaśnił Antonio. - Ale ciekawe, co tu robią?

Unni poczuła się nieswojo. Mówi się przecież, że ptaki to posłańcy z innego świata. Akurat w tej chwili bardzo nie spodobała jej się ta myśl.

Gile z wielką prędkością kierowały się ku fasadzie szpitala. Unni i Antonio dokładnie w tej samej chwili otworzyli każde swoją połówkę okna, małe ptaszki wleciały do środka, a kilka gawronów mocno uderzyło w zamknięte czym prędzej szyby.

Gile przysiadły na brzegu łóżka Mortena, na krótszym boku, w nogach, tam gdzie umieszczona była karta choroby. Małe czarne oczka mrugały ze strachem, widać było, jak ptaszkom wała serca.

Nikt się nie poruszył, nikt nic nie powiedział, nie chcieli straszyć gili. Patrzyli tylko na siebie ze zdziwieniem.

Gdy usłyszeli, że stado wielkich gawronów znika w oddali, Antonio znów otworzył okno, a dwa ptaszki natychmiast odnalazły drogę na zewnątrz.

- Co to miało znaczyć? - spytała Unni, wypuszczając powietrze z płuc.

- Nie musi to oznaczać nic więcej niż to, że większe ptaki ścigały mniejsze - odpowiedział Antonio. - Ale...

- Gawrony? Sądziłem, że one żywią się nasionami - przypomniał Morten.

- Masz rację. Nie wiem, czy to drapieżniki. Ich krewniacy nimi są, ale jak jest z nimi... W dodatku gawrony tak daleko na północy, i to w środku zimy? Naprawdę tego nie rozumiem.



- W każdym razie spełniliśmy dobry uczynek - rozpromieniła się Unni. - To zawsze jest przyjemne uczucie.

- Owszem - powiedział Antonio zamyślony.

Wszyscy myśleli o tym, czego nie wyraził na głos. Czy ten epizod to jakiś znak? Czyżby oczekiwano od nich więcej dobrych uczynków? Tylko innego rodzaju?

Unni wyszła na korytarz po wazon na przysłane właśnie kwiaty. Gerbery, jedne z jej ulubionych. Wiedziała, że wazon stojący w łatwo dostępnej szafce, tak by pielęgniarki nie musiały tracić cennego czasu na tego rodzaju usługi.

Z ręką w szafie nagle zeszywniała. Dostrzegła coś przypominającego cień...

Znów tu były.

Sztywnym ruchem wyciągnęła prosty szpitalny wazon (wazon nigdy nie powinny zagłuszać wspaniałości kwiatów, tej dobrej zasady nauczyła ją matka).

Odwróciła się tak samo sztywna.

Były tutaj. Na drugim końcu korytarza. Szara mgła niczym mrok, wśród której mogła się jedynie domyślać ciała i twarzy.

Ponurych, surowych twarzy.

Gdy z bijącym sercem dostojnie szła z powrotem do szpitalnego pokoju, miała wrażenie, że ich spojrzenia wbijają jej się w plecy. Były tak wyczuwalne jak ostrza włóczy.

Czego od nas chcecie? pomyślała. Nie możecie powiedzieć tego wyraźniej? Gry w zgadywanki są takie nudne i bawią się przy nich tylko ci, którzy ułożyli zagadki.

Wiedziała jednak dobrze, że nie chodzi wcale o żadną wesołą grę w zgadywanki.

Z westchnieniem ulgi zamknęła drzwi za sobą.

Antonio z jej spojrzenia natychmiast wyczytał, że coś się stało, lecz Morten nie dowiedział się o niczym.

## *Jednocześnie*

„Ona widzi!”

„Tak, tak było przez cały czas. Jest silna!”

„Zalicza się do właściwych”.

„Tak, przyda się”.

„Owszem, nas widzi, ale czy widzi również tamtych?”

„Obawiam się, że tak”.

„Ale czy potrafi odróżnić ich od nas?”

„To nie jest pewne. Jeśli się pomyli... Może to mieć straszne dla niej konsekwencje”.

„Dla nas także. Pamiętajcie, oni mogą do niej mówić, my natomiast nie możemy”.

„Są podstępni, potrafią przemawiać miękким głosem i fałszywym językiem. Ona, nie chcąc tego, może nas zdradzić”.

„Mogą liczyć na pomoc najsilniejszego”.

„Owszem, ale na własną rękę też sobie dobrze radzą. Pięknie postąpili przed chwilą. Ocalili naszych ukochanych z taką troską”.

„Ale sami widzieliście, oni ścigają naszych najdroższych”.

„Wiem, ruszajmy! Opuśćmy to miejsce, nasza obecność potrzebna jest gdzie indziej”.

Drzwi szpitala rozsunęły się automatycznie. Dyżurny w recepcji popatrzył na nie ze zdumieniem. W po-

bliżu nie było przecież nikogo, kto mógłby uruchomić elektroniczny mechanizm.

Zadzwoił po dozorcę.

Niestety, elektroniczne urządzenia otwierające drzwi nie odróżniają żywych istot od gości z innego świata. One reagują jedynie na zbliżające się energie.

## 16

Antonio miał tego dnia dłużej wolne, mogli więc poświęcić czas na przyjrzenie się zapiskom, które Mortenowi zostawiła jego matka.

Morten popatrzył na Unni.

- Posłuchaj, to sprawa moja i Antonia. Jesteś osobą ani trochę z tym nie związaną, uważam, że powinnaś się wycofać z tej zadziwiającej afery dla swego własnego dobra.

- To prawda - kiwnął głową Antonio. - Cała ta sprawa zaczyna się dla ciebie robić niebezpieczna.

Unni spuściła głowę. Z całych sił starała się ukrywać rozpaczliwe rozczarowanie, które sprawiało, że w piersiach dławił ją płacz. Czuła, że usta wyginają jej się w podkówkę, i z trudem starała się unieść ich kąciaki w nieszczególnie przekonującym uśmiechu. Znów ją odrzucono.

Chyba nie myślą tak naprawdę? Przecież do tej pory stanowili trio, zespół, który współpracuje. Wydawało jej się, że dobrze się sprawuje, nie chichotała ani też nie flirtowała z żadnym z nich. Chciała powiedzieć, że przecież już została nieodwołalnie wciągnięta w całą tę sprawę, przecież widziała cienie. Wpadł na nią samochód i mało brakowało, a przejechałby ją tajemniczy jeździec na koniu. Czy to nie wystarczy? Nie śmiała jednak odezwać się ani słowem, wiedziała bowiem, że głos jej się wtedy załamię, a nie chciała pokazywać, że jest słaba. Przecież im nie potrzeba rozmazanej beksy, tylko silnego i odważnego sprzymierzeńca. Gdyby się

rozpłakała, na pewno nie chcieliby jej już znać.

Ale zachowanie chłopców sprawiło jej wielki ból, nie była w stanie nawet się poruszyć.

A oni milczeli. W pokoju panowała cisza.

- Boimy się o ciebie. Rozumiesz? - spytał w końcu miękko Antonio.

Unni zdołała wreszcie wykrztusić ochryple:

- A myślicie, że ja się o was nie boję?

- Ale ty stoisz z boku.

Unni mocno potrząsnęła głową. Łzy trysnęły jej z oczu, nie była w stanie dłużej ich powstrzymać.

- Tak długo nie mogłam znaleźć żadnego punktu oparcia, teraz nastąpił mój złoty wiek. Sprawiało mi to tyle radości. Przez krótką chwilę czułam, że naprawdę istnieję. Czułam, że jestem komuś potrzebna.

- Przeżyłaś przykre rzeczy - powiedział Morten.

- Myślicie, że cienie zostawią mnie w spokoju, nawet jeśli teraz się wycofam? Na pewno nie.

- Chyba masz rację - stwierdził Antonio, wstając. - Razem z nami jesteś przynajmniej chroniona. Przynajmniej o tyle, że wiemy, o co chodzi. Chociaż to, doprawdy, marna ochrona, bo stawia cię w punkcie zapalnym.

- Czy wy naprawdę wiecie, o co w tym wszystkim chodzi? - spytała Unni niemal gniewnie.

Chłopcy popatrzyli na siebie.

- Nie - przyznał Antonio. - Wiemy równie mało jak ty.

- Ale chcecie się mnie pozbyć, czy tak?

- Nie. Wprost przeciwnie, źle nas zrozumielaś.

- Wobec tego - rzekła Unni - wobec tego uważam, że możemy działać dalej. Chyba że traktujecie mnie jako uciążliwą doczepkę.

Czym prędzej zapewnili, że wcale tak nie jest. Wprost przeciwnie, wiele im pomogła i bardzo się przydała, tylko że tak bardzo się o nią bo...

Unni przełknęła urazę i machnięciem ręki zbyła dalsze wyjaśnienia.

Morten zajrzał w papiery.

- Zobacz, wypadł z nich jakiś list! - powiedział Antonio, podnosząc go z podłogi. - To do ciebie, Mortenie!

- Od mojej matki - powiedział Morten bez tchu. - Której wcale nie pamiętam. Czy mam przeczytać go na głos?

- Przeczytaj to, co twoim zdaniem powinniśmy wiedzieć - zaproponowała Unni, a zdaniem chłopców była to rozsądna propozycja.

Antonio z z troskaniem zerkał na Unni, która bezbronnym gestem ocierała z policzków ostatnie ślady łez. Zgodził się na propozycję Mortena, żeby Unni wycofała się ze sprawy, bo doprawdy, afera, w którą zostali wplątani, nie była dziecinną igraszką. Teraz jednak przyznał, że był to błąd. Zniknął gdzieś zapał i radość dziewczyny, owo miłe poczucie więzi popsuło się, rozpadło na kawałki. Unni znów myślała, że nikt jej nie chce.

Będzie musiał spróbować to naprawić, ale później.

Morten zaczął czytać:

„Kochany synku! Jesteś taki maleńki i bezbranny, i nie zrozumiałbyś nic, gdybym teraz Ci o rym opowiedziała. Twój ojciec poinformuje Cię o tych papierach w dniu Twoich osiemnastych urodzin. On wie, gdzie masz szukać kluczyków”.

- Ach Boże - szepnęła Morten. - To o tym mi mówił wtedy, gdy go nie służyłem. A potem wyjechał.

„Trudno mi było o tym pisać, ale musiałam to zrobić dla Ciebie. Padłam ofiarą czegoś niezrozumiałego i mam nadzieję, że będzie mi dane patrzeć, jak dorastasz, lecz widoki na przyszłość nie są dobre, najdroższy synku. Gdyby coś mi się przydarzyło, mam nadzieję, że Twój ojciec dobrze się Tobą zajmie.”

- Tak się, niestety, nie stało - mruknął Morten. - Już lepiej radziła sobie z tym moja macocha.

Unni spytała:

- A więc ona pisała o swoim życiu? Prowadziła dziennik, tak jak prosiła, żebyś ty to robił?

- Na to wygląda. Ma ładny, wyraźny charakter pisma, jak widzę, i zapiski nie są chyba zbyt długie, skoro poczyniła je odręcznie. Będziemy czytać na przemian?

- Oczywiście - zgodził się Antonio.

- Świetnie, wobec tego ja zacznę. Zobaczymy, jak daleko dziś zajdziemy.

Morten czytał:

„Mieszkałam razem z moją matką w Selje w rejonie Sunnmøre. Dobrze nam się żyło, choć nie byliśmy zamożne. Lubiłyśmy jednak życie wśród jasnych, pełnych mleczy łąk i kwitnących jabłoni wiosną, pięknych nadbrzeżnych ostów, dzwonek i margerytek latem i nawet wśród wichrów, zawadających wokół starego domu zimą, bo wtedy naprawdę się czuło, że cudownie być pod dachem. Był to dla mnie miły czas”.

- Ona pisze dosyć poetycznie - pochwaliła Unni, a Antonio również się z nią zgodził.

„Ojca pamiętam jedynie jako parę dobrotliwie patrzących oczu, które rozjaśniały się takim ciepłem, kiedy podnosił mnie do góry. Tak wcześnie odszedł. Matka twierdziła, że zginął na morzu, ale to chyba nie jest prawda, bo zachowałam w pamięci straszne wspomnienie czarnych mężczyzn, którzy wdarli się do domu, i przeraźliwego krzyku matki. Ja sama schowałam się wtedy w szafie. Gdy w końcu ośmieliłam się z niej wyjrzeć, ojciec leżał martwy na łóżku, a w jego otwartych oczach wciąż widać było grozę. Matka płakała.

To było moje pierwsze spotkanie z n i m i.

Matka powiedziała, że nigdy nie wolno mi o nich mówić”.

Morten podniósł głowę znad zapisków.

- „Matka” to znaczy moja babcia, która wciąż mieszka w Selje.

- Koniecznie musimy z nią porozmawiać - stwierdził Antonio. - To przecież pierwszy bezpośredni opis nagłej śmierci dwudziestopięcioletka.

- To było straszne - stwierdziła Unni, wyraźnie pobladła.

Morten sprawiał wrażenie, jakby jeszcze raz chciał jej zaproponować, żeby się wycofała, Antonio więc powiedział prędko:

- Czytaj dalej!

Morten przejrzał następne strony.

- Tu nie ma nic interesującego dla nas...

- Czytaj wszystko po kolei!

Morten posłuchał, lecz było tak jak powiedział. Następne strony nie wspominały o niczym szczególnym. Wreszcie jednak coś znaleźli.

„Jestem chyba zupełnie zwyczajną nastolatką, tak mi się wydaje, z tą tylko różnicą, że wisi nade mną coś straszego. Bardzo trudno określić, co to jest. Czasami jednak naprawdę budzi grozę. Tak jak wczoraj, kiedy razem z kolegami z klasy wybraliśmy się do klasztoru Selje. Bawiliśmy się w chowanego, a ja ukryłam się w ruinach...”

- Zaczekaj chwilę - przerwał Mortenowi Antonio. - Kiedy to było?

Morten spojrział na datę.

- W czerwcu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego szóstego. Matka musiała mieć skończone trzynaście lat. Może była już trochę za duża na zabawę w chowanego, ale pewnie tam, nad morzem, nie miała zbyt wielu innych rozrywek.

- Jeśli w zabawie uczestniczą chłopcy, to może być bardzo emocjonująca - uśmiechnęła się Unni.

- Przemawia przez ciebie doświadczenie? - spytał Antonio odrobinę cierpko.

- Nie mam jeszcze takiej sklerozy, żeby nie pamiętać dzieciństwa - odparła Unni. - No dobrze, ale co się zdarzyło w klasztorze Selje, Mortenie? Co mówi twoja matka?

„Leżałam skulona i nie śmiałam nawet wyrzeć, aż nagle ujrzałam tuż przy mnie dolny brzeg czarnej szaty czy też płaszcza. Podniosłam oczy i zobaczyłam przerażającego mężczyznę, który patrzył na mnie surowo. Tak się wystraszyłam, że poderwałam się z krzykiem i uciekłam. Koledzy pytali, dlaczego tak krzyczę, oglądałam się za siebie, ale jego już nie było.

»Zobaczyłaś ducha? - śmiał się Andreas. - Może zakonnicę?« »Nie, mnicha«, chciałam odpowiedzieć, ale przypomniało mi się, jak matka mówiła, że nie wolno rozmawiać o tych ludziach. Ale czy to był mnich? Być może. Był niczym cień z niedobrej przeszłości i przywiódł mi na myśl hiszpańską inkwizycję”.

- Znów! - zawołała Unni i widziała, że przyjaciele dzielają jej pogląd. - Kiedy to właściwie było? - spytała bardziej nieśmiało. - W siedemnastym wieku?

- Wcześniej - poprawił ją Antonio. - W piętnastym, szesnastym. Ale oni utrzymywali się długo, zarówno wcześniej, jak i później. Od dwunastego wieku do osiemnastego, w całej Europie.

Unni już miała powiedzieć swoje zwykłe „przepraszam”, ale zadowolona się kiwnięciem głową. To jej zdaniem wyglądało przynajmniej bardziej inteligentnie.

Antonio głośno się zastanawiał:

- Jeśli to są mnisi, w dodatku ubierają się na czarno, to mamy kilka możliwości. Benedyktyni nosili

czarne szaty, lecz to dominikanie odegrali główną rolę w inkwizycji. Oni jednak pod czarną opończą nosili białą wełnianą szatę. Szarzy bracia, to znaczy franciszkanie, nie byli aż tak surowi, raczej łagodni i ascetyczni. Cystersi, bernardyni i trapiści ubierali się na biało. Jezuiti...? Za mało o nich wiem, nie mam też pojęcia, jakie nosili szaty. Postawimy na dominikanów albo benedyktynów i ewentualnie jezuitów? Ale nie, nie śmiem niczego twierdzić na pewno, za mało o tym wiem.

- Moim zdaniem wiesz o zakonach ogromnie dużo. - Unni aż zakręciło się w głowie od wszystkich tych informacji.

- Bardzo ci dziękuję. Czytaj dalej, Mortenie.

„Ale ja widziałam wiele razy ich czarne sylwetki na tle złocistoczerwonego wieczornego nieba, proste, strzeliste, jak wysokie jałowce, które tam rosną. Stali w długich opończach, zwróceni w stronę naszego domu niczym groźba, mieli gołe głowy”.

- Ilu ich było? - spytał Antonio.

- Skąd mogę wiedzieć! - prychnął Morten. - Przecież czytam tylko to, co napisała moja matka. Nie, nie tu nie ma o ich liczbie.

- Czy możemy przeczytać tę opowieść bez zbędnych przerw? - spytała Unni nieśmiało.

Morten spróbował nagle usiąść i drgnął przy tym gwałtownie. Trochę to było za dużo dla jego sparaliżowanej dolnej połowy ciała. Antonio i Unni ocalili go od upokorzenia, jakim byłoby osunięcie się z powrotem na łóżko. Podparli go poduszkami.

- Ach, jak ja nienawidzę tej bezradności! - szepnęła z złością.

- To zupełnie zrozumiałe. A czy masz jakąś kontrolę nad pęcherzem i w ogóle? - spytała Unni, uznała bo-

wiem, że dostatecznie już się zaprzyjaźnili, by wolno jej było o to pytać.

- Ależ skąd! I to chyba właśnie jest najgorsze. Jestem jak niemowlak.

- A czy nie jest teraz trochę lepiej? - Antonio zadał pytanie tonem tak obojętnym, że Unni domyśliła się jedynie, z jakim napięciem musi czekać na odpowiedź

- Lepiej? - Głos Mortena miał smak piołunu. Nic więcej nie powiedział.

- Co masz na myśli? - spytał po chwili Antonio.

- Nic, tylko... nie, to raczej przywidzenie.

- Takie samo jak to lekkie drżenie w łydce?

- Właśnie. Zastanawiałem się, czy przypadkiem nie jestem w stanie wstrzymać się odrobinę. Mówimy oczywiście o setnych częściach sekundy. A dlaczego pytasz?

- Z powodu wyników ostatniego badania. Pojawiła się pewna nieznaczna zmiana w obrazie całości. Nie, nie, nie możemy sobie pozwolić na zbyt ni optymizm, ale pamiętaj, nie zrzucaj ćwiczeń, to jedyne, co możesz robić.

- Zgadnij, czy będę nadal ćwiczył?

- Ale dlaczego próbowałeś tak gwałtownie usiąść? - dopytywała się Unni.

- Ach, całkiem zapomniałem o swoim położeniu! Ogarnął mnie za duży zapach. Antonio, mówiłeś, że wspinałeś się po drzewach genealogicznych. Wspominałeś również o moim.

- Oczywiście, jutro przyniosę tablicę. Ale teraz wydaje mi się, że masz już dosyć na dzisiaj, Mortenie- Bruzdy na twarzy cię zdradzają.

Morten kiwnął głową bez żadnych protestów. Unni i Antonio czym prędzej podnieśli się do wyjścia.

Unni powiedziała ze smutkiem:

- Bardzo mnie wzruszyła opowieść twojej matki>

Mortenie. Chodzi mi o to, że nas jest tutaj troje i to nam daje siłę. Teraz mieliśmy okazję przyjrzeć się życiu osamotnionej dziewczynki, wokół której mają miejsce niewyjaśnione zdarzenia. Mieszkała zbyt daleko od kogoś, z kim mogłaby się podzielić przeżyciami.

- Myślałem o tym samym - powiedział Antonio cicho.

Popatrzyli na siebie. Świadomość, że życie młodej Sigrid nie miało szczęśliwego zakończenia, sprawiała ból. Zmarła w wieku zaledwie dwudziestu pięciu lat. Widziała śmierć swego ojca, a co teraz czekało jej syna?

Jakaż straszna niesprawiedliwość!

*Na zewnątrz*

„Pozbawieni słów ich opuścili. Nie mają już żadnej ochrony”.

„Są teraz łatwą zdobyczą”.

„Polowanie się zaczyna. Teraz nic już ich nie ocali!”

**CZEŚĆ DRUGA**

**ŻARTY SIĘ SKOŃCZYŁY**

Najwyraźniej spędzili u Mortena bardzo dużo czasu, kiedy bowiem wyszli ze szpitala, było już ciemno. Gdzieś na odległej ulicy z głośników wydobywał się ryk kolęd, mający umilić życie zdenerwowanym ludziom kręcącym się w kółko i nie mogącym znaleźć odpowiednich gwiazdkowych prezentów.

Święta jakby straciły sens, pomyślała Unni. Radość zmieniała się w stres.

Antonio postanowił odwiedzić ją do domu, ponieważ i tak zierali w tym samym kierunku.

- To niezwykle praktyczne rozwiązanie, że mieszkamy koło siebie - westchnęła zadowolona.

- Jutro przyjrzymy się twojej ranie. Boli?

- Nie, mam spokój. Widać przestraszyła się skuteczności twojego działania i boi się choćby pisnąć.

Otoczył ją ramieniem, po koleżeńsku, spokojnie. Za każdym razem, gdy to robił, Unni stawała przed oczami inna twarz. Ta z lotniska. Twarz, której nigdy więcej już nie zobaczy, lecz której nie potrafiła zapomnieć.

Antonio wyjaśnił, jak się miała rzecz z propozycją)ego i Mortena, by wycofała się ze współpracy z nimi.

"łowił, że Mortena nękały wyrzuty sumienia, bo ciągnął Unni w tak niebezpieczną sprawę, i chłopak

"Znal, że powinni dać jej szansę wycofania się. Anto-

"o natomiast się wahał i twierdził, że nie mogą pozwo-

"sobie na utratę Unni, lecz Morten, chociaż przyzna-

"\* mu rację, cały czas zadawał sobie pytanie, czy



słusznie postępują, narażając ją na niebezpieczeństwo. W końcu Antonio zgodził się, by jej o tym powiedzieć.

Unni pochyliła głowę.

- Sądzisz, że Morten ma mnie dość?

- Wprost przeciwnie! Żywi wobec ciebie wiele sympatii i jest wściekły na siebie za każdym razem, kiedy zrobi ci jakąś przykrość. Potem tak strasznie tego żałuje. Przypuszcza, że to za sprawą silnych leków traci od czasu do czasu równowagę. Doznał przecież poważnych obrażeń wewnętrznych, chyba o tym wiesz. I to takich, które trudno wyleczyć.

Unni pokiwała głową.

- Dziękuję, że mi to wyjaśniłeś. Moje ciężko pokrzywdzone ego chłonie w siebie każde dobre słowo i znów zaczyna bezwstydnie rosnać w siłę.

- W to ani trochę nie wierzę - roześmiał się.

Weszli w ciemną boczną uliczkę, w której Antonio zaparkował samochód.

- Antonio, ktoś za nami idzie! - mruknęła Unni.

- Rzeczywiście, na to wygląda.

- Daleko mamy do samochodu?

- Kawałek. Idź prędzej, ale nie biegnij.

- Pomyśl, a jeśli oni podłożyli w samochodzie bombę?

- No, no, nie przeceniajmy naszego znaczenia! Nie jesteśmy politykami u szczytu władzy.

- Ani też Jamesami Bondami.

- To na pewno tylko jacyś narkomani, którzy szukają forsy.

- U mnie niewiele się pożywią.

Za ich plecami słuchać było ostrożnie stawiane przez kilka par stóp kroki. Ktoś wyraźnie szedł za nimi ciasną uliczką, którą rozjaśniało jedynie łagodne niczym blask księżycy światło pojedynczej latarni. Unni czuła potrzebę złapania Antonia za rękę, lecz się opa-

nowała, bo nagle z cieni przed nimi oderwały się dwie kompletnie czarne sylwetki. Czerń przerywały jedynie szparki oczu. Unni zdążyła jeszcze zerknąć do tyłu i zobaczyła tam trzy inne postaci.

- Posłuchajcie! - powiedziała głośno i gniewnie. - Nie zachowujcie się jak dzieci! Naoglądaliście się za dużo japońskich filmów ninja. Przestańcie się wygłupiać!

Sprawa jednak była poważna, bo w następnej chwili napastnicy rzucili się na Antonia.

- Biegnij do samochodu, Unni! - zawołał, próbując odpędzić jednego z nich kopniakiem.

Unni jednak była samotną młodą dziewczyną, przyzwyczajoną do samodzielnego chodzenia po mieście, i wiedziała, co przede wszystkim musi zrobić. Błyskawicznie wyciągnęła z kieszeni gwizdek i zaczęła w niego z całych sił dmuchać, jednocześnie kierując pojemnik z drobnutko mielonym hiszpańskim pieprzem prosto w oczy wyższego z dwóch napastników, próbujących obalić jej przyjaciela. Wielkolud wrzasnął z bólu i puścił Antonia, ktoś jednak wyciągnął Unni gwizdek z ust tak mocnym szarpnięciem, że aż ją zabołało, a ktoś inny wyrwał z ręki pieprzniczkę. Przekonawszy się, że Antonio jakoś radzi sobie z dwoma napastnikami, nie miała innego wyjścia, jak usłuchać powtórzonego przez niego polecenia, i pobiegła do samochodu.

Niestety, drogę zagrozdziła jej pozostali napastnicy. Przez setną część sekundy stała niezdecydowana, stwierdziła, że nie jest w stanie ani z nimi walczyć, ani leż dotrzeć do samochodu. Puściła się więc biegiem \* drugą stronę, do wyjścia z zaułka, w kierunku nieużywanego nasypu kolejowego.

Przeciwnicy deptali jej po piętach. Tu nie docierała już ani odrobina światła ulicznej latarni, panowały 'ście grobowe ciemności, a ziemia pełna była zdradli-

wych dziur i kłujących szczątków uschniętych roślin.

Unni ze strachu popiskiwała jak szczeniak. Potknęła się o pozostawiony zwój kolczastego drutu, lecz pobiegła dalej, za to najbliższemu prześladowcy stopa utknęła w nim na dobre. Rozległy się siarczyste przekleństwa.

Drugi jednak złapał ją za kurtkę na plecach i podniósł do góry. No, to koniec już ze mną, pomyślała Unni, ale niemal w tym samym momencie napastnik puścił ją z urywanym krzykiem i upadł na ziemię.

Unni odwróciła się i dostrzegła jakąś postać, która skierowała się do szybszego ze ścigających ją mężczyzn, tego z uwięzioną nogą. Usłyszała, że ktoś wymierza mu mocny cios w szczękę. W rękę leżącego już na ziemi prześladowcy coś błysnęło. Czyżby nóż? A więc naprawdę nie było żartów!

- Uciekaj! - syknął jej wybawiciel.

Unni posłuchała.

- Biegnij z powrotem do zaułka!

Co z Antoniem?

Usłyszała jego głos.

- Unni?

- Jestem tutaj! - zawołała zdyszana. - Wszystko w porządku.

Antonio szybko ją uściskał, a potem ujął za rękę i razem pobiegli do samochodu.

- Co z tobą? - spytała.

- Trochę mi porachowali kości, ale dzięki tobie najsilniejszy z nich musiał się poddać. Drugiemu spuściłem niezłe lanie, a trzeci zaczął krzyczeć o gwizdku i policji i zaraz potem wszyscy trzej uciekli.

Unni rozejrzała się w koło w poszukiwaniu swego wybawiciela, uliczka jednak była kompletnie pusta.

- Idziesz z nami? - zawołała, ale nikt jej nie odpowiedział.

Antonio popatrzył na nią pytająco.

- Ktoś mnie ocalił - oświadczyła krótko. - Ale już sobie poszedł.

Zawołała jeszcze w powietrze „dziękuję” i wsiedli do samochodu. Antonio natychmiast ruszył z miejsca.

- Dzięki Bogu, że nam się udało - westchnął. - Bardziej się niepokoiłem o ciebie. Co się właściwie stało?

Unni zrelacjonowała wydarzenia w krótkich słowach, a Antonio zdezorientowany kręcił głową.

- To już nie pierwszy raz - mruknął. - Ale doskonale sobie poradziłaś z tym pieprzem i gwizdkiem, chociaż mało brakowało, a popękałyby mi bębenki. Jaki spokój zapanował, kiedy przestałaś gwizdać! Choć czy na pewno można to nazwać spokojem? No, ale policja się nie zjawiła.

Unni zaśmiała się zażenowana.

- Nareszcie przydało nam się coś hiszpańskiego. Antonio... Oni chcieli dopaść ciebie, prawda?

Antonio trochę zwolnił.

- Rzeczywiście, z początku tak - powiedział cicho i z namysłem. - Zastanawiam się, dlaczego. W tym, co się nam przytrafia, nie ma żadnej logiki. Atakują nas Wszystkich troje. Czy oni nas nienawidzą? Czy też może się nas boją?

- Istotnie, można się nad tym zastanawiać. Posłuchaj, zauważyłeś to samo co ja?

- Wiem, o czym myślisz. Wśród napastników była kobieta. - Antonio roześmiał się. - To niepojęte! Wymierzyłem młodej kobiecie solidny sierpowy, a przecież uważam się za takiego dżentelmena!

- To nie byli wojownicy ninja.

- O, nie, z całą pewnością. Za wysocy jak na Japończyków. Ale masz rację, Unni. Chcieli sprawić wrażenie, że zostali wyjęci z filmu akcji, chociaż w naj-

mniejszym stopniu nie opanowali sztuki walki. Spróbuj mi opisać swego wybawcę.

- Nie potrafię. Wyczułam go tylko jakby coś w rodzaju obecności niezwykle silnej energii.

- Energii? Cóż to za dziwne określenie! No, jesteś już w domu Uważaj teraz na siebie i nie wychodź po ciemku!

Unni siedziała przy dużym balkonowym oknie i oglądała zachód słońca. Było to następnego dnia po ich ostatniej przygodzie. Nie mogli niestety odwiedzić Mortena, bo czuł się nie najlepiej.

Uświadomiła sobie, jak wielkie znaczenie ma dla niej współpraca z chłopcami i jak bardzo już się za nimi tęskniła. Cały dzień sama!

Słońce zachodziło wśród płomiennej czerwieni, rozrywanej poziomymi pasami jasnego lazuruowego błękitu. Wyżej chmury były ciemniejsze, przypominały dziwnej barwy wodorosty w rozmarzeniu pływające w akwarium. W pobliżu niewidocznego już słońca chmury miały opałowe brzegi, purpurowe cumulusy mieszały się ze złocistożółtymi chmurami nakrapianymi złotem niczym brzuch makreli, jak gdyby niebo postanowiło urządzić przedstawienie wyłącznie dla Unni.

Siedziała, patrząc, jak barwy z wolna bledną, a cienie miękkim płaszczem otulają zimowy pejzaż.

Myśli Unni błędziły swymi własnymi drogami, wciąż jednak powracała nieustająca tęsknota samotnej osoby za kimś, kogo mogłaby pokochać. Unni miała swoją tajemnicę. Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, zaczęła cicho szeptać do siebie:

- Ach, ukochany, jakże bardzo chciałabym być przy tobie i wyznać ci wszystko, co przepełnia moje serce. Nigdy nie miałam nikogo, komu mogłabym ofiarować swoją miłość, i dlatego nie potrafię o tobie zapomnieć-

Ach, tylu ludzi nigdy nie zdołało odnaleźć drugiego człowieka, którego mogliby obdarzyć miłością! Tyle jest skrywanych uczuć, tyle radości życia i cudownego wyczekiwania, które po prostu zwiędło i uschło. Ludzie sprawiają sobie psy albo koty, obdarzają je uczuciem i troską, tym zwierzętom tak cudownie się żyje. To także miłość najszlachetniejszego rodzaju. Jeszcze inni zajmują się dobroczynnością. Ale gdyby tym ludziom udało się znaleźć towarzysza życia, którego mogliby obsypać swą nie gasnącą, bezgraniczną miłością, dopiero wtedy byłiby naprawdę szczęśliwi.

AMOR ILIMITADO SOLAMENTE...

Ale tych ludzi, którzy wszystko poświęcają zwierzętom, po prostu się nie zauważa. Nikt nie dostrzega ich niezwykłej wartości, nie zawsze od pierwszej chwili wydają się innym atrakcyjni, piękni. Nie zawsze potrafią ładnie mówić. Trzeba ich najpierw dobrze poznać, by ocenić ich wartość, a tyle przecież mają do ofiarowania.

Ach, Boże, tyle mają do dania! Boże, daj im szansę!

AMOR ILIMITADO SOLAMENTE. Tylko bezgraniczna miłość.

Jaki jest sens tych słów? W jaki sposób łączą się z tą makabryczną zagadką, związaną z Mortenem? To jasne, że są istotne, ale co one dokładnie znaczą?

Myśli Unni szybowały dalej niczym płatki śniegu gnane wiatrem po drodze.

Antonio to człowiek, jaki zdarza się raz na dziesięć tysięcy. Sympatyczny, miły, umiejący skutecznie działać, wszystko potrafi załatwić, można mu w pełni ufać. Unni bardzo pragnęła zachować jego przyjaźń, o niczym więcej nie myślała.

On również wydawał się ją w pełni akceptować, chociaż rzadko chwalił. Wyczuwała jednak, że tak jest.

Bardzo ją to cieszyło.

Dzień później Morten znów był w formie i mogli go odwiedzić. Antonio wstał po Unni. Powiedział jej, że wydał polecenie, aby drzwi do szpitalnego pokoju Mortena były zawsze zamknięte na klucz, do którego dostęp będzie mieć jedynie pielęgniarka, pracująca na dzienną i na nocną zmianę.

- Świetnie! - z uznaniem pochwaliła Unni. Siedziała właśnie w eleganckim samochodzie Antonia, którym jechali do szpitala. - A tak przy okazji, jak to robisz, że stać cię na taki samochód?

Na twarzy Antonia odmalował się wyraz smutku.

- To dzięki mojemu bratu. Jordi ciężko pracował, żeby mi go podarować. Zresztą samochód nie jest wcale taki nowy, na jaki wygląda. Ściślej mówiąc, ma już cztery lata,

- Nigdy bym nie przypuszczała.

Śnieg smagał szyby samochodu. Wycieraczki pracowały na najwyższych obrotach.

- Akurat w tej chwili nie miałabym nic przeciwko wyjazdowi do Hiszpanii - wyznała Unni.

- Ja także - uśmiechnął się Antonio. - Wybierzemy się tam kiedyś?

Rzucił to oczywiście żartem, ale pomysł wydał się bardzo kuszący. Dlatego też w tonie Unni pojawiła się gorycz, kiedy odpowiedziała:

- Być może znajdziemy się tam prędzej, niż nam się wydaje.

- Istnieje groźba, że, rzeczywiście tak się stanie, ale ta myśl nie jest mi wcale niemiła.

- Ty też sądzisz, że cała ta historia ma związek z Hiszpanią?

- Owszem, tak mi się wydaje.

- Co właściwie wiesz o Hiszpanii?

- Całkiem sporo. Mieszkałem tam jako dziecko. To wspomniały kraj.

- Nigdy nie tęsknisz za powrotem?

- Oczywiście! Ale musiałem zostać tutaj. Jordi opłacił moje studia medyczne, a mnie samemu wydawało się, że mogę jakoś go ochronić. Niestety, nie zdołałem. To raczej on chronił mnie, aż do czasu gdy... dopadło go przekleństwo.

Unni poprawiła się na siedzeniu.

- Chyba już najwyższy czas, żebyś opowiedział o swoim życiu. Do tej pory byłeś bardzo powściągliwy, jeśli o nie chodzi.

- Dobrze, ale zaczekajmy z tym, aż dojedziemy do Mortena. Nie będę musiał mówić dwa razy. Jak twoja noga? Jakoś nie udało mi się jej obejrzeć.

- Miło, że pytasz. Dziękuję, dobrze. Dzielnie cierpię w samotności. Ale teraz już nie tak bardzo, bo jaki sens ma dzielne znoszenie cierpienia, kiedy cały świat o tym nie wie? A poważnie mówiąc, z nogą wszystko w porządku. Naprawdę szybko się goi.

Antonio uśmiechnął się w odpowiedzi. Unni uznała, że bardzo mu z tym uśmiechem do twarzy, i pożałowała, że nie jest bardziej atrakcyjna. Tak jak Vesla czy Hege albo Emma.

Nie wypadaj ze swojej roli, Unni, złażała się w duchu. Masz zakaz snucia takich mrzonek!

Tego dnia grupie przyjaciół Unni i Mortena najwi-  
doczniej dokuczyły wyrzuty sumienia, gdy bowiem  
Antonio i Unni weszli do pokoju chorego, zastali tam  
wszystkich: Jerna, Mariusa, Vesłę, Hege - i Emmę.

Unni uznała, że jest tu o jedną osobę za dużo. Ni-  
gdy nie zaakceptowała Emmy jako członka ich grupy,  
podobnie zresztą jak pozostałe dziewczęta.

- Cześć, Unni! - powitali ją przyjaciele.

- Cześć, Tony! - zagruchała Emma. - Ty tutaj?

A więc ona nazywa go Tonym? Może nie zna jego  
pełnego imienia? Unni nic nie mogła poradzić na to,  
że złośliwy diabełek w jej głowie zachichotał z uciechą.

- Ach, tak? A więc i ty tu jesteś? - zwrócił się do  
Unni Jern. - A my chcieliśmy udawać miłosiernych sa-  
marytan. Tobie też przyszedł do głowy taki pomysł?  
Cóż za idealne zgranie!

Dumny Morten wyręczył ją w odpowiedzi.

- Unni i Ant... Tony przychodzą codziennie. Poje-  
dziemy razem do Vestlandet, jak tylko zrobi się bar-  
dziej wiosennie.

Emma wbiła w Antonia wielkie, zaciekawione oczy-  
- Wybieracie się do Vestlandet? Ja też bym bardzo  
chciała pojechać. Można się do was przyczepić?

- Oczywiście - oznajmił zachwycony Morten, a Un-  
ni gotowa była go udusić. - Możesz jechać jako moja  
pielęgniarka, Emmo.

Emma z trudem oderwała spojrzenie od Antonia  
i przeniosła je na Mortena.

- Mam trochę wykształcenia i doświadczenia w tej  
dziedzinie.

- Jakiego doświadczenia? - ostro włączyła się Vesla. -  
Pilnowałaś dzieci w przedszkolu?

- Dzieci? - obraziła się Emma. - No wiesz, coś ta-  
kiego nigdy nie przysłoby mi do głowy! Pracowałam  
w recepcji w klinice stomatologicznej.

Wykonywała tę pracę, zanim sprzątnęła Unni  
sprzed nosa posadę w stacji radiowo-telewizyjnej.

Unni przerwała teraz dyskusję, żeby przedstawić  
ich swemu nowemu przyjacielowi.

- To jest Marius, który w głowie zamiast mózgu ma  
piłkę nożną, ale udaje mu się jako tako funkcjonować  
w społeczeństwie. A to Vesla, która otrzymała sporo  
propozycji pracy jako modelka, z czego piętnaście by-  
ło podejrzanych, a trzy poważne.

- Świetnie to rozumiem - powiedział Antonio, kom-  
pletnie ignorując mamrotanie Emmy o tym, że propo-  
zycje pracy modelki w tym gronie miała nie tylko Vesla.

- A to Hege, która myśli sercem.

- A w każdym razie nie myśli niczym innym - wtrą-  
ciła Emma.

- A to właśnie Emma - powiedziała Unni cierpko.

- Ciebie widuję wszędzie - dodał Antonio, a jego  
słowa można było odebrać jak bardzo dwuznaczny  
komplement.

- Miło, że ktoś zwrócił na mnie uwagę - odparła  
Emma ostro.

- No, na koniec Jern, nasz supermózg. Świetnie zna  
<sup>si</sup>? na komputerach i w ogóle.

- Pracujesz z komputerami, Jern? - pytał Antonio  
<sup>z</sup> Zainteresowaniem.

- Komputery to moje hobby. Znalazłem dobrą i niewiarygodnie nudną pracę w urzędzie podatkowym. Przyjmuję wszystkie skargi.

- Ci, którzy skarżą się na podatki, w ogóle nie powinni ich płacić - urażonym tonem oznajmiła Hege.

Przyjaciele wybuchnęli śmiechem, tylko Emma się skrzywiła.

- Czy nie powinniśmy usunąć tego kurzego mózdzku z naszej grupy? - szepnęła do Mariusa. - Przecież ona kompletnie nic nie rozumie!

- Hege jest u nas jak instytucja - wyjaśnił Marius. - Miałabyś serce, żeby skazywać ją na samotność? Co by się z nią wtedy stało?

- Z tego, co sama mówi, to spała ze wszystkimi wami trzema po kolei!

- I jak widzisz, nikomu to nie zaszkodziło.

- Ale mnie przeszkadza. Jeśli mam wam przewodzić, to nie chcę...

- Nam nie potrzebny przywódca. Nie mieliśmy żadnego i wszystko układało się jak najlepiej.

- Ale teraz go macie - oznajmiła Emma i odwróciła się do niego plecami. Popatrzyła swymi pięknymi oczyma na Antonia, który jednym uchem przysłuchiwał się ich szeptom, podczas gdy pozostali rozmawiali z Mortenem.

- No właśnie - ożywiła się Emma. - Jeśli chodzi o Vestlandet i moją rolę pielęgniarki, to...

Hege jej przerwała:

- Vesla potrafi znacznie więcej. Przecież ona pracuje w domu opieki, sadza starców na nocniki i karmi ich.

- Czy w takiej kolejności? - uśmiechnął się Antonio. Naiwny ton dziewczyny bardzo go zdumiał. Słyszał już wprawdzie od Unni, że Hege nigdy nie wyśli prochu, nie spodziewał się jednak, że jest z nt

aż tak niedobrze. Poczuł, że ta drobna, śliczna jak laleczka dziewczyna go rozczuła.

Tymczasem Unni ze zdumieniem obserwowała Vesłę. Kiedy rozmawiali o tym, że Mortenowi będzie potrzebna pielęgniarka na czas wyprawy do Vestlandet, zauważyła błagalny wyraz jej oczu. Vesla miała o coś błagać? Ona, ta wspaniała, pewna siebie i obdarzona takim spokojem amazonka? Vesla, która ma wszystko? Urodę i pracę?

W jej myśli wdarł się głos Antonia:

- Od dawna już tu jesteście?

- Właśnie mieliśmy wychodzić - odparła Emma, która najwyraźniej postanowiła nie rezygnować z przewodzenia w grupie. - Lecz jeśli chcesz, żebyśmy zostali, to...

Antonio pokręcił głową.

- My przyszliśmy po Mortena.

- Co? Przecież jemu nie wolno wychodzić!

- A co ty możesz o tym wiedzieć? - odparł Antonio spokojnie, wyraźnie przypominając, że to przecież jej pierwsze odwiedziny u pacjenta od dawna złożonego niemocą.

Inni pomogli Mortenowi przygotować się do wyjścia. Potem pomachali na pożegnanie, lecz Emma zadała jeszcze pytanie, dokąd się wybierają.

- To tajemnica - odpowiedział Antonio, zatraskując drzwiczki samochodu, nim zdążyła spytać, czy może jechać z nimi.

Po drodze Unni spytała:

- Nad czym tak rozmyślasz, Antonio?

~ Zastanawiam się, czy nie moglibyśmy wykorzystać do czegoś twoich przyjaciół? Ekspert od komputerów mógłby się nam bardzo przydać. Nic nam za to P° ranie futbolu, natomiast ta dziewczyna, która zaj-

muje się starcami, zapewne zna się choć trochę na ogólnym pielęgniarstwie.

- To prawda - zamyśliła się Unni. - Vesla na pewno zechce nam pomóc.

- Tak sądzisz? A tę śliczną dziewczynkę o kurzym mózdzku powinniśmy starać się ochronić przed złośliwościami Emmy.

- Koniecznie! Co tak w ogóle sądzisz o Emmie?

Pytanie zadała beztróskim tonem, choć bardzo bała się odpowiedzi...

- Nie mogę się na niej wyrozumieć - przyznał Antonio. - Widywałem ją w rozmaitych miejscach na mieście, ale... wydaje się gruboskórna jak nosorożec. Drobne złośliwostki nawet jej nie ukłują. Albo jest tak samolubna, że uważa wszystkich za niegodnych siebie, albo też odgrywa jakąś rolę. Trudno mi uwierzyć, żeby pod tą skorupą miała w sobie jakieś miękkie jądro, ale z tym nigdy nic nie wiadomo.

- Ja wiem jedynie, że odkąd się pojawiła, w naszej gromadce wszystko się popsło - powiedziała Unni z niechęcią.

Kiedy wszyscy troje zebrali się w wynajętym mieszkanku Antonia i Morten został wygodnie usadowiony, gospodarz nalał im po kieliszku wina. Można było odnieść wrażenie, że przygotowuje ich na silne przeżycia, i tak też w istocie było.

Najpierw jednak Morten chciał usłyszeć sprawozdanie o tym, co działo się ostatnio, opowiedzieli więc o napadzie sprzed dwóch dni. Pobladły Morten dziękował Antoniowi za to, że zatroszczył się o jego bezpieczeństwo w szpitalnym pokoju.

- Okej, okej - odezwała się Unni z nutką zniecierpliwienia w głosie. - My widzimy cienie, jakieś upiof-

ne postaci, matka Mortena widywała wysokich, ponurych mężczyzn z czasów inkwizycji, pojawiają się prastare zwoje pergaminu, które potem znikają... Ale przecież, do diabła, upiory z przeszłości nie mogą skakać w koło, przebrane w stroje wojowników ninja, z nożami sprężynowymi w rękach, ani też potraćać Mortena czy mnie supernowoczesnymi samochodami! w" dodatku prowadzili jak cyborgi!

- Rozumiemy, co masz na myśli - spokojnie powiedział Antonio. - Jednym słowem, coś tu zgrzyta.

- Ci mnisi... czy możemy założyć, że to jak najbardziej żywi łysole, którzy udają upiory? - spytał Morten.

- Uważam, że tak - kiwnął głową Antonio.

- No dobrze, ale po co?

- Tego właśnie musimy się dowiedzieć ->odparł Antonio.

Unni miała więcej wątpliwości.

- Żadnych łysych nie było przy tym, gdy pojawiały się i znikwały pergaminy Mortena.

- Racja. To jest pewien problem.

Przez jakiś czas siedzieli w milczeniu. Nikt nie miał nic mądrego do dorzucenia.

- Drzewo genealogiczne, Antonio! - przypomniał Morten. - Bardzo chciałbym je zobaczyć.

- Ja także - przyłączyła się Unni. - Ale teraz chcę usłyszeć autobiografię Antonia. Poprosimy o historię t^ego życia!

Antonio zajmował miejsce w drugim z kolei pod Względem wygody fotelu w mieszkaniu. Najlepsze miejsce przypadło Unni. Morten siedział w swoim WÓZKU, bo, jak twierdził, w nim czuł się najbezpieczniej.

»Na razie - zwykł dodawać. - Jeszcze kiedyś z niego Wstanę!"

Przyjaciele podtrzymywali go w tym przekonaniu.

Optymizm jeszcze nigdy nie zaszkodził choremu.

Unni przez cały czas rozglądała się po pokoju w poszukiwaniu cieni.

W tym domu jednak ich nie było. Mimo to nie opuszczało jej złowieszcze przeczucie.

Czyżby była to cisza przed burzą?

Popijali wino i czuli, jak się rozluźniają. Po wydarzeniach ostatnich dni potrzebowali trochę odprężenia.

Nie trwało to jednak długo, bo wkrótce rozpoczęła się tragiczna opowieść o Jordim.

- Mój brat Jordi i ja byliśmy niemal równoletkami - zaczął Antonio i zaraz zatonął we wspomnieniach.

- Jeśli będę miała kiedyś syna, nazwę go Jordi - powiedziała Unni rozmarzonym tonem.

- Ja też - uśmiechnął się Antonio.

Zapanował miły nastrój, lecz Morten musiał oczywiście wszystko popsuć.

- Cha, cha, pomyślcie tylko, a jeśli to będzie to samo dziecko?

- Jak nie masz nic mądrego do powiedzenia, to lepiej trzymaj gębę na kłódkę! - ostro zganiła go Unni, a Morten się obraził.

- Przecież ja tylko żartowałem, chyba rozumiesz. Opowiadaj dalej, Antonio. Mówiłeś zresztą, że nie masz zamiaru mieć dzieci.

Słowa Mortena trochę zbiły Antonia z tropu i upłynęło kilka sekund, zanim znów podjął opowieść. Unni doskonale rozumiała, jak trudny to dla niego temat.

- Miałem zaledwie trzy lata, kiedy zmarł nasz ojciec. Jordi miał pięć. Ale już wtedy pewien znajomy trochę za często pokazywał się w naszym domu. Mówiło się, że to jeden z przyjaciół ojca, mnie jednak trudno w to uwierzyć. Miał na imię Leon i został naszym ojczymem.

Unni nie umknęło, że Antonio, wymawiając imię mężczyzny, mimowolnie się skrzywił.

- Przepraszam, że ci przerywam - powiedziała. - Ale czy wtedy nie mieszkaliście w Hiszpanii?

Antonio się wyprostował.

- Ależ tak, oczywiście, zapomniałem o tym powie-dzieć. Mój praprzodek nosił nazwisko Navarro i prawdopodobnie pochodził właśnie z Navarry, ale my mieszkaliśmy dalej na południu, w San Miguel de Salinas. - Antonio urwał na moment. - Ojciec zdążył opowiedzieć trochę Jordiemu o przekleństwie... nazwijmy je przekleństwem dwudziestego piątego roku życia. Mówił jednak, że on ma zamiar przeżyć i Jordiego na pewno też nic złego nie spotka. Wręcz mu to obiecywał. Nie przeżył jednak żaden z nich.

Wspomnienia były dla Antonia do tego stopnia przykre, że musiał wyjść do kącika kuchennego po jakąś zupełnie zbędną rzecz. Morten i Unni siedzieli, nie odzywając się ani słowem. Wreszcie Antonio wrócił.

Po długiej chwili Morten ośmielił się spytać:

- W jaki sposób zginął twój ojciec?

W oczach Antonia pojawił się gniew.

- Sądzę, że to Leon go zamordował. Tłumaczył to co prawda przekleństwem i rzeczywiście widziałem wtedy w domu wiele tajemniczych, czarno ubranych postaci. Podobno obecność tych mężczyzn była potrzebna, mówiono, że przyszli z zakładu pogrzebowego. Mimo wszystko uważam jednak, że ojca zabił Leon. Chciał zdobyć matkę, bardzo piękną i szlachetną. Przez pierwszy rok był chodzącą dobrocią i życzliwością, potem jednak zaczęło brać górę jego prawdziwe ja.

~ Psychopata? - podsunął Morten.

~ To łagodnie powiedziane! Tak, na pewno był psychopata, oni zachowują się właśnie w ten sposób. Naj-



pierw zdobywają miłość i zaufanie jakiegoś człowieka, często potrafią być naprawdę czarujący, a potem zaczynają niszczyć partnera i jego najbliższych. Jordi okazywał matce i mnie wielką troskę, a Leon tego nienawidził. Całą swoją nienawiść skierował właśnie na niego. Matka łatwo dawała się pognebić, całkowicie zburzył jej pewność siebie. Mną się nie przejmował, byłem mały i nic nie znaczyłem. Szturchnął mnie tylko, kiedy nikt inny nie widział, i groził, że połamie memu bratu wszystkie kości, jeśli komukolwiek o tym doniosę. Za to Jordiego otwarcie nienawidził.

W oczach Antonia zapłonął ten sam blask, który Unni widziała już wcześniej. Prawdę mówiąc, trochę się nawet wystraszyła. Nagle pojęła, że za tym spojrzeniem może kryć się nienawiść i żądza zemsty.

To jednak chyba powinno być zrozumiałe.

Antonio zduszonym głosem ciągnął:

- Raz znalazłem Jordiego powieszzonego za nogi w szopie. Widziałem na jego rękach znaki po przypalaniu papierosami, słyszałem, jak płakał pod kołdrą, ale wobec mnie i mamy zawsze był wesoły i starał się nas pocieszać.

- Dlaczego Leon tak nienawidził Jordiego? - spytała Unni cicho. Od tej opowieści zaczynało jej się robić niedobrze. Słuchanie historii o małym nieszczęśliwym chłopcu, któremu i tak nie było dane żyć długo, sprawiało jej ogromny ból.

- Ponieważ zorientował się, iż mój brat nie pozwoli się złamać. Wielokrotnie Leon krzyczał do niego: „Nie wywiniesz się! Jak my cię nie złapiemy, to i tak umrzesz, kiedy będziesz miał dwadzieścia pięć lat!”

- My? - zdziwiła się czujna Unni. - Naprawdę mówił „my” ?

- Od czasu do czasu. Na ogół jednak wyrażał się „ja” •

- A kogo miał na myśli, mówiąc „my”?

Antonio wzruszył ramionami.

- Na to pytanie nie ma żadnej odpowiedzi.

- Czy on pil?

- A jak myślisz? Właśnie po pijanemu robił się najgorszy.

- Był może jakoś spokrewniony z którymś z twoich rodziców?

- Nie, moja matka była zresztą Norweżką.

- No, tak, oczywiście, zapomniałam o tym. Miała na nazwisko Eng, prawda?

- Tak, Kristine Eng.

- Jak poznała twojego ojca? Bardzo ciekawią mnie takie rzeczy, zawsze uważałam, że to niezwykle interesujące wiedzieć, jak ludzie się poznają.

Antonio uśmiechnął się przelotnie, ze smutkiem.

- Wiem, o czym myślisz. Matka wybrała się w podróż Interraiem, w tamtych czasach był to bardzo popularny sposób zwiedzania świata, i ojciec pomógł jej, kiedy stała na jakiejś hiszpańskiej stacyjce i nie potrafiła wytłumaczyć obsłudze dworca, że zgubiła gdzieś towarzyszy podróży. Musiała czekać na pociąg i w tym czasie zdążyli się zaprzyjaźnić. Potem rozwinęło się uczucie. Byli wtedy bardzo młodzi. Zadowolona jesteś z takiej odpowiedzi?

Unni kiwnęła głową. Wcześniej przez moment pomysłała, że matka obu chłopców może miała słabość do Leona jeszcze przed śmiercią ich ojca. Teraz zawstydziła się tej myśli.

- Co się stało później? - dopytywał się Morten. - Jak długo ten Leon się nad wami znęcał?

- Ojczym w miarę upływu czasu stawał się coraz gorszy. Jordi miał zacząć chodzić do szkoły, był bardzo zdolny. Lubił malować i rysować kredkami. Przez

wiele dni potrafił pracować nad jednym motywem wkładał w to całą duszę. W moich oczach był naprawdę zdolny, ale przecież miał zaledwie sześć lat. Kiedy jego piękne obrazki zobaczył Leon, rwał je na maleńkie kawałeczki.

- Och, nie, nie! - zaprotestowała przez łyzy Unni. - Jak można w ten sposób traktować dziecko! Zadusiłabym tego potwora!

- Mnie samemu często ta myśl przychodziła do głowy - odparł Antonio z goryczą. - Pewnej nocy, kiedy tak zbił matkę i Jordiego, że cali byli posiniaczeni, uciekliśmy we trójkę. Wykorzystaliśmy moment, kiedy pijany Leon usnął. Niewiele udało nam się zabrać z domu, ale złapaliśmy nocny autobus do Alicante, a stamtąd samolotem przedostaliśmy się do Norwegii. Matka wcześniej odłożyła trochę pieniędzy, właśnie z myślą o ucieczce.

- Nie ścigał was?

- Ależ oczywiście! Zresztą nas znalazł, u rodziców mojej matki w Hadeland, ale dziadkowie, ludzie o silnych charakterach, zgłosili wszystko na policji. Moja matka jednak bardzo mocno przeżyła tę sprawę, Leon zapewne był miłością jej życia. Zanim przybyła policja, żeby zabrać go z wynajętego pokoju, poszła do niego, żeby się z nim pogodzić.

- To bardzo niemądre z jej strony! - wykrzyknęła z przejęciem Unni.

- Właśnie, przecież tak ją krzywdził. Tym razem także strasznie ją zbił. Na szczęście zjawili się policjanci i na własne oczy zobaczyli, jak się zachowywał. Został postawiony przed sądem. Matka próbowała wycofać oskarżenie, lecz akurat leżała w szpitalu i na całe szczęście nikt nie chciał jej słuchać. To był bardzo trudny proces. Przesłuchiowano także Jordiego i mnie. Miałem

wtedy zaledwie siedem lat, Jordi zdążył skończyć dziewięć. Opowiedziałem o wszystkich niegodziwościach Leona. Został skazany na trzy lata więzienia. Wyrok odsiedział w Hiszpanii, ponieważ tam również go poszukiwano. Ale matka nigdy już nie doszła do siebie, zmarła rok później, w wyniku tamtego pobicia.

- Jakie to okropne! - jęknęła Unni.

Antonio ciężko westchnął.

- Jordi i ja wychowywaliśmy się u rodziców matki, którzy zmienili miejsce zamieszkania. Leon nie znał tego adresu. Już nigdy później go nie widziałem.

- A co było dalej? Zacząłeś studiować medycynę?

- Tak. Babcia i dziadek zmarli niestety wcześniej. Zostaliśmy więc z bratem sami. Odziedziczyliśmy jednak trochę pieniędzy i Jordi upierał się, żebym zrealizował swoje życiowe plany i został lekarzem. Sam przyjmował proste, ale dobrze płatne prace, czasami nawet trzy naraz, żebym tylko mógł skończyć studia. Trochę tak, jakby wiedział, że jego życie nie potrwa długo. Jordi był naprawdę fantastycznym człowiekiem. Troskliwym i opiekuńczym, zawsze gotowym do pomocy. Uczynił dla mnie tak wiele, że wiedziałem, iż nigdy nie zdołam mu się odwdziżyć.

Antonio umilkł. Unni pomyślała, że właśnie to przeświadczenie musi być przyczyną jego niepewności. Powiedziała cicho:

- To rzeczywiście bardzo trudna sytuacja. Czy jest możliwe, by tyle uczynić dla drugiego człowieka i jednocześnie nie dopuścić, by ów obdarowany człowiek nieustannie odczuwał wobec nas dług wdzięczności?

- Cóż, to nie jest łatwe, ale Jordi w swym postępowaniu kierował się wyłącznie sercem. To nie on powinien był umrzeć, tylko ja.

~ No, no - wtrącił się Morten. - Rozumiemy twój

zał, ale ty także masz swoje dobre strony. A mówiąc poważnie, jesteś naprawdę wartościowym człowiekiem. Tak myślimy oboje.

Antonio rozjaśnił się nieco.

- Dziękuję ci.

Unni zaczęła odczuwać działanie wina. Nigdy nie piła dużo.

- Ale Jordi umarł. W dwudzieste piąte urodziny?

- Właśnie tak. I tu jest właśnie coś, czego nigdy sobie nie daruję. Nie byłem wtedy przy nim. Jordiego bardzo interesowały nasze hiszpańskie korzenie. To zresztą on sporządził tę tablicę genealogiczną. Był w Hiszpanii dwu- albo trzykrotnie, ostatni raz na krótko przed swymi dwudziestymi piątymi urodzinami. Prosiłem, żeby wrócił do domu przed tym dniem, chociaż tak naprawdę nigdy nie wierzyłem w istnienie przekleństwa. Jordi ze śmiechem obiecał mi, że wróci. Tymczasem, będąc na południu, rozchorował się i właśnie wtedy popełniłem swój niewybaczalny błąd. Byłem akurat w samym środku sesji egzaminacyjnej i nie mogłem wyjechać. A powinienem. Powinienem być wtedy przy nim, przypilnować go. Zamiast tego jednak otrzymałem jedynie oficjalne powiadomienie od władz hiszpańskich o tym, że mój brat Jordi Vargas zmarł i że odbyła się kremacja. Zapytano mnie tylko, co chciałbym zrobić z urną.

Unni i Morten byli zbyt zasmuceni, by powiedzieć cokolwiek.

- Sprowadziłem urnę do Norwegii, ale gdy miałem sprzątać w mieszkaniu Jordiego, ujrzałem na ścianie ponad jego drzwiami wyryty znak.

- Ojej! - wstrząsnęła się Unni. - T e n znak?

- Tak, uproszczony. Ale był to ten sam symbol. Nie zapamiętałem niczego podobnego z czasów śmierci

niego ojca. Pamiętam jedynie, że matka stała na stołku i z całej siły szorowała ścianę nad drzwiami. Ale równie dobrze mogło to zdarzyć się kiedy indziej.

- A jak było przy okazji śmierci twojej matki, Mortenie? Czy też pojawił się jakiś znak?

- Nic mi o tym nie wiadomo, miałem wówczas zaledwie trzy lata. Musimy spytać babcię. Teraz jednak chciałbym wreszcie zobaczyć to drzewo genealogiczne!

- Zaraz, zaraz - uspokajał go Antonio, wstając. - A przy okazji, Unni, od kilku dni nie wspominałaś o cieniach? Czyżby nas zdradziły?

Unni zastanowiła się, nieco zaskoczona.

- Rzeczywiście, nie widziałam ich. Ale czy nas zdradziły? Chcesz powiedzieć chyba, że zostały w spokoju?

- Sam już nie wiem - mruknął Antonio i wszedł do małej sypialni.

Zły znak, zły znak, wirowało w głowie Unni.

Ale przed czym miałyby ostrzegać? Dookoła wszak panowała cisza i spokój. Właściwie przyjemniej być nie mogło.

Mimo to poczuła nagle śmiertelne przerażenie.

Spójrzcie, tu jest napisane „Santiago”. Zapomniałeś już o swoim śnie, Mortenie? O tej przerażającej postaci, która mówiła: *Ven a Santiago?*

## 19

Antonio wrócił, niosąc kartkę w plastikowej teczce.

- Mam na niej wielu przodków? - spytał Morten z nadzieją w głosie.

- Nie tak znów wielu. Mniej więcej tyle samo co ja, ale w dwóch różnych gałęziach, wywodzących się od naszego wspólnego hiszpańskiego prapradziada.

- Co ty mówisz? To znaczy, że jestem Hiszpanem? Jednym z Vargasów?

- Nie, z Navarrów. Ale to dawne dzieje.

- Hiszpan? Tego po mnie nie widać, prawda, Unni?

Dziewczyna popatrzyła na pełne zapału typowo norweskie błękitne oczy pod jasną jak len grzywką i odparła jak najpoważniej:

- To przecież oczywiste dla każdego, że jesteś Hiszpanem!

Antonio wyjął arkusz z teczki i położył go na stole, a potem przyciągnął wózek inwalidzki Mortena bliżej, tak by wszyscy razem mogli patrzeć na kartkę. Obiecał jeszcze Mortenowi, że przygotowuje dla niego kopię.

- Jak to wszystko ładnie zestawione - powiedziała z podziwem Unni. - Ale ojej, można się tu domyślać rozmaitych tragedii!

- Masz rację - odparł ściszym głosem Antonio. - Historia naszego rodu to jedna wielka tragedia, ale dwie były naprawdę duże.

- Tak, ale popatrzcie tylko! - ożywiła się Unni. -

Santiago Navarro  
1864-1889 OT-

Enrico Navarro  
1865-1950

Anna Navarro  
i Hansen U1888-1913 q n

Margarita  
Navarro \*y~-  
1888-1913 T

Jorge  
Yargas

Eli.

Annę Hansen  
1908-1933 q~  
(niezam.  
zmarła w połogu)

Esteban Vargas  
1911-1936 -Y"

Emilia  
1920-1982

Jonas Hansen  
11933-1958 T

Gudrun Vik  
1935-

Theresa Vargas  
1936-1961 ^ p

grid Hansen  
11955- -v-s

Knut  
Andersen  
1950-2000

Flavia  
(macocha)  
1956-

Nicolas  
Vargas Op\*  
1952- ""\*"  
1977

Kristine  
Eng f-j(ojczym)|  
1953-1982

Leon  
1940-

Morten  
Andersen  
1977-

Jordi Vargas  
1972- n r  
1997 ""

Antonio  
Vargas  
1974-

- Oczywiście, że pamiętam, ale czy można się tak nazywać? Sądziłem, że to słowo występuje tylko w nazwach miast. Na przykład Santiago de Chile i tak dalej.

- Santiago w Hiszpanii występuje jako imię. Zna czy to tyle, co święty Jakub, opiekuńczy święty Hiszpanii - wyjaśnił Antonio. - I, jak widzicie, tu na samym dole Jordi sporządził niewielki przypis.

Unni przeczytała na głos:

- „To Santiago posiadał całą wiedzę. Przepadła ona wraz z nim. Jego ojciec, którego imienia nie potrafię odnaleźć, nosił nazwisko nie »Navarro«, lecz »de Navarra«”.

- Ojej! - powiedziała znów Unni. Wiele miała tych „ojejów” na swoim koncie.

- Skoro on nazywał się de Navarra, to wydaje mi się, że możemy zacząć zerkać w almanach szlachecki.

- Ściągnijcie mnie z powrotem na dół - poprosił Morten. - Unoszę się na arystokratycznych chmurach.

- Owszem, ale one są dość rozwiane - uśmiechnął się Antonio. - I to mniej więcej tak jak wtedy, gdy ktoś twierdzi, że pochodzi od króla Haralda Pięknołosego, a niewiele trzeba, by tak było. Król Harald miał dwadzieścioro sześcioro prawowitych dzieci i osiemdziesiąt jedno pozamałżeńskie, o których wiedział. Co do reszty, stracił już rozeznanie.

- Kiedy on miał czas zjednoczyć Norwegię i rzędzie krajem? - zastanawiał się Morten. - No dobrze, ale kim ja jestem? Hrabią w jednej sto dwudziestej ósmej części?

- O, nie, jest o wiele lepiej! Jeśli uznamy, że Ana i Margarita były szlachciankami, to zarówno ty, j<sup>3</sup>\* i ja mamy w sobie jedną szesnastą szlachectwa. ^z/ jesteśmy hrabiami, czyli condes, jak to się nazywa p

hiszpańsku, na ten temat pozwolę sobie się nie wyowiadać.

- Ojej! - westchnęła Unni. - Czy mam się ukłonić?

- Tak uważam.

Obaj chłopcy wybuchnęli śmiechem.

- Ale tak naprawdę to chyba nie jesteśmy ani trochę szlachcicami - powiedział Morten.

- Ani trochę - uśmiechnął się Antonio.

- Nic nie szkodzi. Tej kropli szlacheckiej krwi ludzie mogliby i tak nam zazdrościć. Spróbuję sobie o tym przypominać, jak będę w dołku.

Plebejka Unni nie odrywała oczu od drzewa genealogicznego.

- Te znaczki, które Jordi postawił przy niektórych osobach... To przecież jest nasz znak, chociaż bardzo stylizowany. Gdy człowiek przyjrzy mu się dokładnie, to widać, że wszyscy ci ludzie zmarli w wieku dwudziestu pięciu lat.

- Owszem - odparł Antonio. - Oczywiście przy Jordim to ja narysowałem ten znak. Wszyscy oni byli pierworodnymi. Jeśli popatrzyacie na tego słynnego już Santiago, to umarł on bezpotomnie, dlatego śmiertelne piętno odziedziczyły dzieci jego brata Enrico. To były bliźniaczki, Ana i Margarita. W tym miejscu ród się podzielił. Ponieważ Enrico nie byłznaczony przekleństwem, mógł mieć później więcej dzieci, lecz one nas nie interesują. Mój los jest podobny do losu Enrica.

- Widzę, że Ana poślubiła Norwega?

- Owszem, marynarza, który snuł się po świecie. Zabrał ją ze sobą do Norwegii. Tyle udało nam się wyszyć.

~ A z twojej strony Norweżką była matka - zauważył Morten. - Czy to oznacza, że to my, ty i ja, ściąg-

nęliśmy tu te czarne upiory? Czy też raczej moi przodkowie i twoi rodzice?

- Pewnie raczej tak.

- Ciekaw jestem, co one myślą o zimnej Norwegii?. powiedziała Unni żartobliwie.

- One raczej nie marzną - odparł Antonio.

Unni wciąż nie mogła oderwać się od tablicy.

- Mówiliśmy o tragediach, widzę tu dwie oczywiste. Annę Hansen i Teresy Vargas.

- Ach, tak, Teresa! - westchnął Antonio. - Moja kochana babcia ze strony ojca. Tak, tak, znam jej los. Została zgwałcona jako piętnastolatka i zmarła, gdy ojciec miał dziewięć lat. Jej matka Emilia przeżyła ją o wiele lat, ale córce nie umiała okazać litości. Jej mąż Esteban umarł w tym samym roku, kiedy Teresa przyszła na świat, i mówiło się, że Emilia otruła go, ponieważ chciała odzyskać wolność, by móc poślubić bogatego człowieka. Esteban miał jednak dwadzieścia pięć lat, więc...

- Mimo wszystko okropna baba - skomentowała Unni. - Dalej mamy Annę Hansen, która w wieku dwudziestu pięciu lat niezamężna zmarła w połogu.

- Nic mi o niej nie wiadomo - przyznał Morten. - Trzeba będzie spytać babcie.

- Oczywiście - zawtórował mu Antonio. - Ale coś mnie w tym zastanawia. Wszyscy pierwородni żyli do chwili ukończenia dwudziestego piątego roku życia. Najwyraźniej nie usiłowano ich zamordować wcześniej tak jak nas. Ta nasza sprawa musi być świeższa. Ale teraz, Mortenie, uważam, że powinniśmy wrócić do pamiętnika twojej matki. Szkoda, że w mojej rodzinie nikt nic podobnego nie prowadził. W każdym razie Jordi nic takiego nie miał.

- To znaczy, że pisanie pamiętników dziedziczone

Uyjo jedynie przez moje odgałęzienie rodu. Ciekawe, od jak dawna? - zastanawiał się Morten.

- Warto byłoby się tego dowiedzieć. To mogłoby być bardzo interesujące - przyznał Antonio. - No, ale zabierajmy się do czytania.

- Dobrze, już dobrze, marudo. Ach, ale co to znowu?

Nagle bowiem zgasło światło i dookoła zapanowała nieprzenikniona ciemność. Przez okno widać jednak było, że w innych domach pali się światło.

- Poszukam nowego bezpiecznika - stwierdził Antonio.

Nikt niestety nie miał przy sobie zapalniczki ani zapałek. Na pomoc sąsiadów też nie można było liczyć - Antonio przypuszczała, że pozostali mieszkańcy domu wyjechali na świąteczne wakacje w rodzinne strony.

- Spróbuję po omacku zejść do piwnicy, do szafki z bezpiecznikami - oświadczył.

Otworzył drzwi na klatkę schodową. Unni i Morten usłyszeli, że ktoś szarpie je od drugiej strony, Antonio krzyknął, potem nastąpił cios i Antonio zatoczył się pod ścianę.

Unni działała raczej sercem niż rozumem, lecz jak się okazało, dość skutecznie. Czym prędzej wprowadziła Mortena na wózek do łazienki, zamknęła drzwi na klucz i wsunęła go do kieszeni. Sama została na zewnątrz, nie miała zamiaru zostawiać Antonia w tak trudnej sytuacji.

- Zapal latarkę! - rozległ się gruby głos. - Oni są tu, w środku!

Unni podbiegła w stronę wołającego. Latarka zdążyła ledwie błysnąć, a ona już wytrąciła ją z ręki mężczyzny. Lekka poświata wpadająca z zewnątrz pozwalała Unni domyślać się, gdzie stoją napastnicy. Wbiegła po-

między nich i przemknęła przez drzwi. Jeden z nich chwycił ją za rękaw, rozległ się trzask materiału, ale Unni była już na zewnątrz.

W wyjściowych drzwiach stała jednak jakaś postać. Unni kątem oka dostrzegła, że Antonio próbuje wstać lecz nie zatrzymała się przy nim. Dla niej istniała tylko jedna droga: na górę po schodach.

Kiedy biegła, słyszała dochodzący z dołu odgłos biatyki, lecz słyszała również pędzące za nią kroki. Rozległ się ryk, który na pewno nie był głosem Antonia, potem gwałtowny rumor. Z tego, co Unni pamiętała, dom, w którym mieszkał Antonio, miał trzy poziomy. Trzeci z nich był, zdaje się, strychem. Musiała się tam dostać, jeśli w pozostałych dwóch mieszkaniach nikogo nie było.

Mocno uchwyciła się poręczy, która była jej jedyną gwiazdą przewodnią w tej ciemności. Gdy jednak dotarła na piętro, coś się stało.

Jakaś zimna dłoń ujęła ją za ramię, a ona wcale się tego nie wystraszyła. W tym uścisku był jakiś bezpieczny spokój. Została poprowadzona w tył, a jej prześladowca otrzymał cios, po którym stoczył się ze schodów.

Boże, on się teraz zabije! pomyślała przerażona. Tak się jednak najwidoczniej nie stało, bo złoczyńca zaraz się podniósł i zawołał do swoich kompanów:

- Do pioruna, uciekajcie! Ten diabeł znów tu jest!

I wszyscy trzej, mniej lub bardziej poturbowani, zniknęli z domu.

Unni chciała podziękować swemu wybawcy.

Nikogo jednak już nie było.

Vesla zacisnęła mocno ręce na kierownicy.

- Boże, dopomóż mi! Na ogół się do Ciebie nie modłę, bo w Ciebie nie wierzę i zwracam się do Ciebie je-

dynie wtedy, gdy jestem zrozpaczona. Bardzo tego potrzebuję. Niech nie zabrają Emmy w tę podróż do Vestlandet! Unni jest taka szczęśliwa, przeżywają razem coś wspaniałego, wszyscy troje. Tak bardzo bym chciała się do nich przyłączyć. Rzeczywiście od pewnego czasu się nie widywaliśmy, przez matkę, tę pijawkę, zaniedbałam przyjaźń Unni. Przepraszam, o własnej matce tak się mówić nie powinno. Nie, nie, Boże, nie mogę w Ciebie uwierzyć, bo Ty przecież tylko śpisz. Czy nie mam anioła stróża albo ducha opiekuńczego, który mógłby mi pomóc? Nie potrafię zajmować się staruszkami tak jak powinnam. Muszę się z tego wyrwać, i to natychmiast, nim stanie się ze mną coś złego!

Po chaotycznej relacji z przebiegu wydarzeń, wymianie bezpieczników i doprowadzeniu wreszcie światła do domu, a następnie wypuszczeniu więźnia z łazienki, oklejeniu plastrem zadrapań i otarć oraz wielkiej dawce zdumienia Morten mógł wreszcie zacząć czytać.

- Moja mama Sigrid pisze: „Dorastałam wśród pięknymi zachodów słońca nad morzem, czułam, że stanowią jedność z krzykiem mew i rybitw o poranku, z wesołym dzwonieniem kościelnych dzwonów w niedziele i ich ciężkim biciem podczas pogrzebów.

A potem stało się to, co prędzej czy później musiało się stać. Zakochałam się”.

Morten prychnął.

- O rany, czy teraz będziemy czytać o moim początku i w ogóle? Jeśli tak, to odmawiam dalszej lektury.

- Ja cię zastąpię - zaproponowała Unni. - Tak, żebyś mógł przy bardziej delikatnych momentach zatkać sobie uszy.

Morten tylko się skrzywił.

Ale Unni zaczęła czytać i jakoś rzeczywiście przez dłuższy czas obyło się bez przerw. Wciąż jednak drżały jej ręce po tym, co niedawno ich spotkało. Musiała nawet dla uspokojenia nerwów wypić łyk wina.

„Znałam go przez całe swoje życie. Chodziliśmy razem do szkoły, wprawdzie nie do tej samej klasy, bo był ode mnie o rok starszy, ale prawie zawsze rano szliśmy razem. My i jeszcze kilkoro innych. Często się

wtedy ze sobą kłóciliśmy, drażniliśmy się i nie bardzo się we wszystkim zgadzaliśmy.

Nagle jednak jakbym zobaczyła go po raz pierwszy. To było w zeszłym tygodniu. Ujrzałam go w zupełnie nowy sposób. On ma na imię Knut i do tej pory uważałam, że to głupie imię, ale teraz wydaje mi się najładniejsze na świecie. KNUT.

Co mam zrobić, by zrozumiał, że moje nastawienie do niego tak się zmieniło? Jak mam go sobą zainteresować we właściwy sposób?”

- Ojej, nie bardzo widzę już litery! Antonio! Prze stań mi dolewać wina. Gdzie to było? „Jak mam go sobą zainteresować we właściwy sposób?”

- To się chyba nigdy nie zmieni - stwierdził Antonio cierpko. - Ludzie od tysięcy lat odczuwają podobnie. Jak mam sobą zainteresować jego albo ją? A dawniej było chyba znacznie trudniej.

Morten oznajmił z zadowoleniem:

- Knut to mój ojciec.

Chciał chyba przez to powiedzieć, że jego matka nie była lekkomyślną, płożą dziewczyną.

- Teraz w dzienniku następuje skok - oznajmiła Unni. - Twoja matka najwyraźniej była zajęta innymi sprawami. Może bardziej romantycznymi? Ale zaczyna się nowa era. Ojej, to nie wygląda najlepiej. Słuchajcie!

„Sny stają się coraz wyraźniejsze, zresztą nie tylko one. Za dnia na jawie również przeżywam różne niewyjaśnialne rzeczy. Mamy przeprowadzić się do Oslo, bo Knut dostał tam pracę i zamierzamy się pobrać. Czy nigdy nie będę mogła być szczęśliwa? Czy te istoty muszą niszczyć moje szczęście?”

Wczoraj znów je widziałam. Przysięgam, że nie zasnęłam, bo odwiedziłam Marit i wracałam do domu przez wrzosowisko, tamtędy idzie się znacznie prę-



dziej. W powietrzu dawało się wyczuć burzę. Trochę się więc bałam, niedobrze iść w burzę po otwartej przestrzeni. Wkrótce jednak całkiem o tym zapomniałam, bo na tle ołowianego horyzontu za ciągiem wzgórz porośniętych wysokimi jałowcami zobaczyłam sylwetki pędzących konno jeźdźców.

Z początku myślałam, że to dziewczęta ze szkółki jeździeckiej - teraz na koniach jeżdżą chyba tylko nastolatki - ale to nie były dziewczyny. To byli wysocy, dorośli mężczyźni na szlachetnych wierzchowcach. Płaszcz powiewały za nimi, jechali w tym samym kierunku co ja, byli jednak tak oddaleni, że nie widziałam ich twarzy. Kaptury mieli naciągnięte na głowy, nie mogłam więc zobaczyć, czy są łysi, czy nie. Teraz nie było ich tak wielu. Jechali bezszelestnie i zniknęli za wzgórzami".

Unni przeczytała ostatni fragment prawie bez zacerpnienia oddechu i podniosła głowę.

- Jeźdźcy w mnisich opończach! A więc miałam rację, przecież widziałam jednego z nich!

Antonio kiwnął głową, a Morten przyznał, że teraz rzeczywiście już uwierzył w jej opowieść.

- Im bardziej się w to zagłębiaamy, tym bardziej się to staje okropne!

Dalej przedzierali się przez zapisany delikatnym charakterem pisma dziennik Sigrid.

„Czym prędzej wróciłam do domu i wieczorem przeżyłam coś niezwykłego. Knut pojechał do Oslo, a ja byłam u matki. Siedziałam w kuchni i czytałam jakiś tygodnik. Nagle usłyszałam, że ktoś na zewnątrz szeptem wypowiada moje imię, a raczej woła mnie bardzo cicho. »Sigrid - usłyszałam - wyjdź z domu!« Sądziłam, że to może Knut wrócił i chciał mi zrobić niespodziankę, był to bowiem dzień moich uro-

dzin. Otworzyłam więc kuchenne drzwi i wymknęłam się na dwór.

Wtedy stało się coś dziwnego. Kompletnie tego nie rozumiem, nie wiem, o co chodzi. Usłyszałam krótki przeraźliwy krzyk strachu, potem rozległ się jakiś stukot, a później znów ich zobaczyłam. Była ich zaledwie garstka, ledwie widoczna w ciemności. Siedzieli na koniach.

Na progu przed domem coś leżało. Przyciągnęło to na moment moją uwagę, pochyliłam się w tamtą stronę, a kiedy znów podniosłam głowę, przerażający jeźdźcy zniknęli. Podniosłam tę rzecz leżącą na progu, a potem biegiem wróciłam do domu i starannie zamknęłam za sobą drzwi. Spuściłam nawet rolety, bo nie chciałam, żeby ktokolwiek się na mnie gapił.

To coś, co podniosłam, okazało się niewielkim zwojem pergaminu. Wyglądał na bardzo stary. Coś było na nim napisane w cudzoziemskim języku i nie mogłam tego przeczytać. Zobaczyłam tam również jakiś znak, niemal całkiem zatarty ze starości. Wszystko było niewyraźne i nie udało mi się z tego pojąć ani odrobiny. Nie wiem, co zrobiłam z tym pergaminem, musiałam go gdzieś zapodziać, bo nawet teraz nie mogę go odnaleźć. Nie mam zresztą pojęcia, w jaki sposób znalazł się na naszym podwórzu.

Ale jeszcze dziwniejsze moim zdaniem były te odgłosy uderzenia i ostry krzyk. Dziś nie odkryłam tam ani śladu po tym, co mogło rozegrać się wczoraj. Wiem tylko jedno, to nie ci budzący grozę mężczyźni wołali: »Sigrid, wyjdź!«, bo tamten głos wydawał się stosunkowo jasny, zresztą wydaje mi się, że tamci jeźdźcy nie mówili po norwesku".

Unni zrobiła krótką przerwę dla złapania oddechu.

- To był ten pierwszy pergamin - skonstatowała Morten. - Ten prawdziwy.

- Owszem - powiedział Antonio. - Sigrid musiała mieć wtedy dwadzieścia jeden lat. To by się zgadzało z twoją historią.

- No tak - mruknął Morten. - Ciekawe, czy dostała więcej pergaminów?

- Zaraz się przekonamy - oświadczyła Unni, wracając do czytania. - „A więc jesteśmy w Oslo. Nie wydaje mi się, żebym się dobrze czuła w tym mieście, ale przecież Knut tu jest, a to najważniejsze. Z jego pracą łączą się wyjazdy do Włoch, mam nadzieję, że kiedyś zabierze mnie ze sobą”

Kolejny skok:

„I pomyśleć tylko, że nawet tutaj nie można zaznać spokoju. Dostałam dzisiaj taki dziwny list. Napisany na grubym staromodnym papierze. *Haz lo que se debe*. Ciekawe, co to może znaczyć. Na pewno »idź do diabła« albo coś podobnego”.

- O, nie! - wtrącił się Morten. - Co to znaczyło? „Zrób to, co do ciebie należy”, czy nie tak?

- Owszem - odparł Antonio. - To po hiszpańsku.

Unni ukradkiem przeczytała dalej.

- Poczekajcie, to jeszcze nie koniec! Najpierw jest mowa o tym, że na liście nie było żadnego znaczka, został więc zapewne włożony wprost do skrzynki, ale dalej Sigrid znów przeskakuje.

„Mały Morten jest taki śliczny, to najwspanialsze, co mnie spotkało. Gdybym go nie miała, to chyba bym nie wytrzymała, bo Knuta stale nie ma w domu, i podejrzewam, że ma inną we Włoszech. Czuję to po nim. Bardzo mnie to zasmuca. Ścisną mnie w piersi, ale nie potrafię płakać. Mam wrażenie, jakbym miała sparaliżowaną duszę. Dostałam kolejne pergaminy. Matka w swoich listach bardzo się niepokoi, bo podobno ojciec przed śmiercią również dostawał podobne prze-

ylki. Matka twierdzi, że to ostrzeżenie, ale przecież ja nie mam pojęcia, co one mogą znaczyć.

Tak strasznie tęsknię za domem, za Selje!

Zdażyłam przepisać tekst z dwóch zwojów i poprosiłam przyjaciółkę, która zna włoski, żeby mi je przetłumaczyła. Powiedziała mi, że są napisane po hiszpańsku i że są bardzo dziwne. Pytała, skąd wzięłam ten tekst. Nie przyznałam się, że pochodził ze zwojów pergaminu, które otrzymałam na kolejne urodziny. W każdym razie przetłumaczyła go mniej więcej tak:

*Pierwszy i drugi krok został już zrobiony. Pospiesz się, jesteś na właściwej drodze.* Tekst kończył się słowami: *Tylko bezgraniczna miłość.*

W drugim było więcej rezygnacji:

*Przepadasz. Zrób coś, przedź! Wszystko teraz spoczywa na tobie. Niech twój syn nie cierpi. Oby nastał kres wszelkiego cierpienia”.*

Unni skończyła czytać i zapadła cisza. W końcu Morten powiedział:

- To znaczy, że te komunikaty różnią się od siebie? Przecież ja nic podobnego nie dostałem!

- Ciekaw jestem, co otrzymał Jordi. - Wzrok Antonia znów stał się daleki. - Widziałem przecież jedynie pierwszy pergamin.

Unni oświadczyła z mocą:

- Pierwszy pergamin jest prawdziwy. To oryginał, który najwyraźniej dostają wszyscy po ukończeniu dwudziestego pierwszego roku życia i który później jest zabierany do ponownego wykorzystania. Potem przesłanie się zmienia w zależności od osoby.

- Bardzo słuszny wniosek - pochwalił Antonio, czym Unni niezmiernie się ucieszyła.

- Ale dlaczego oni nie wspominają o Jordim? - zastanawiał się Morten. - Dlaczego piszą, że wszystko

spoczywa na mojej matce, a później na mnie, jeśli jej się nie powiedzie?

- Tego nie wiem, Mortenie - odparł Antonio bezradnie. - Ale w tym czasie Jordi był zaledwie małym chłopcem, a nasz ojciec Nicolas już nie żył.

- Zaczekajcie, tu jest coś jeszcze! „Dzisiaj dostałam kolejną wiadomość”.

Unni podniosła głowę.

- Przepraszam, ale nie wiem, co ona ma na myśli, pisząc „dzisiaj”. Wyraźnie widać, że było to pisane innym długopisem, mógł więc upłynąć jakiś czas. Niekiedy zapominała wstawić datę.

„Najwyraźniej mały Morten i ja nie jesteśmy sami. Znów są moje urodziny, Knuta nie ma w domu, a ja ciągle płaczę, bo na dzisiejszym pergaminie było napisane, że czas ucieka i że teraz zostają już tylko dzieci. Koleżanka przetłumaczyła mi to wszystko przez telefon. Co to znaczy »dzieci«? Czyżby było ich więcej?”

- No to już wiemy - stwierdził Antonio. - Przyznam, że mnie to uspokoiło. To znaczy, że Jordi był brany pod uwagę.

- Została tylko jedna strona - oznajmiła Unni. - Bardzo smutna.

„Nie ma już żadnej nadziei. Knut wreszcie powiedział jasno, że nie chce dłużej być ze mną. Przeprowadza się do swojej włoskiej kochanki, która jest teraz w Oslo. Zabieram Mortena do matki do Selje. Jeśli w tych potwornych przesłaniach tkwi bodaj ziarenko prawdy, to nie dożyję do końca roku, a Morten musi mieć gdzie mieszkać. Nie ufam Knutowi, że dobrze się nim zajmie.

Nie wierzyłam w to straszne dziedzictwo, w to, że każdy pierworodny musi umrzeć w dwudziestym piątym roku życia. Teraz myślę, że oni mają rację. Mój

ojciec, jego matka i jej matka... Wszyscy umarli w wieku dwudziestu pięciu lat. Dalej w przeszłość nie zdołałam się zagłębić. Bardzo się boję i czuję ogromny smutek. Mój ukochany synek, czy i jego czeka taki sam los? Czy to nigdy nie będzie miało kresu?”

Unni miała wielkie kłopoty z odczytywaniem liter. Rozpływały jej się przed oczami, ta historia bowiem była tak bezdennie tragiczna. Nieszczęsna młodziutka Sigrid. Sama, opuszczona przez męża, z mieczem Damoklesa wiszącym nad głową, w dodatku nie tylko nad swoją, lecz również nad głową jej maleńkiego dziecka.

Unni musiała kilkakrotnie przełknąć ślinę, nim mogła czytać dalej:

- „A teraz, gdy jest już być może za późno, wydaje mi się, że znam przynajmniej część odpowiedzi. Zrozumiałam jedno, ale to zapewne jedynie maleńki ułamek całości, a co do reszty, wciąż nie mogę jej pojąć”.

Unni z trzaskiem zamknęła dziennik i dyskretnie wytarła nos. Na chwilę zapadła cisza, zrozumiała więc, że również chłopcy są przejęci i wzruszeni.

- Ależ, mam! - poskarżył się Morten. - Skoro naprawdę cokolwiek wiedziałas, to dlaczego nie mogłaś tego zapisać?

- Przypuszczam, że zabrakło jej czasu - próbował go uspokoić Antonio. - Na pewno zamierzała to zrobić, żebyś miał się czym kierować, lecz jak widzisz, ten dziennik urywa się dość gwałtownie. Jej czas już minął.

- Wkrótce mnie spotka to samo - powiedział Morten z ponurą miną. - Co robimy teraz?

- Musimy odwiedzić twoją babcinę w Selje. Ale o tej porze roku szaleją zimowe burze, a ja mam egzamin i na pewno nie dadzą mi teraz urlopu. Ty też musisz

jechać z nami. Kiedy zaczniesz ćwiczyć z kulami?

- A mogę?

- Jeśli chodzi o nogi, to możesz w każdej chwili. Poza tym wszystko zależy od twojej własnej woli, no i od wyników badań wątroby i śledziony. A wózek tak czy owak załatwimy.

Rozstali się, nie umawiając się na żadne kolejne spotkanie.

Unni, wróciwszy do domu, zastała list. List bez znaczka, napisany na grubym, eleganckim papierze.

Otworzyła kopertę.

*Haz lo gue se dèbe.*

Rób to, co do ciebie należy.

A więc nadeszła kolej na nią.

## 21

Unni zadzwoniła do Antonia. Niech nazwie ją namiętną, czy jak sam chce. Sama sobie z tym nie poradzi.

Kiedy w stanie leciutkiej hysterii odczytała mu przesłanie, zdumiał się niepomierne.

- Ty to dostałaś? Ale przecież ty nie pochodzisz z tego rodu!

- O tym dobrze wiem, ale pamiętaj, że nawet osoby postronne, tak jak twoja matka czy ty, mogą zostać w to wmieszane lub wręcz narażone na napaść. Wiem, wiem, ty się wywodzisz z tego rodu, ale stoisz na zewnątrz. Zresztą jeśli o nas chodzi, to się zdarzyło nie po raz pierwszy.

- No tak, to prawda - przyznał zamyślony. - Zachowaj ten list. Trzymaj go w ręku, dopóki nie przyjdę. Nawet na moment go nie wypuszczaj!

- Masz na to czas?

- Muszę go znaleźć. Zjesz ze mną obiad?

Ojej!

- Eee, tak - powiedziała głupio. - Ale nie mam pie...

- Nie myśl o pieniądzech.

- Prawdę powiedziawszy, jestem głodna.

Obiecał po nią przyjechać.

Obiad z Antoniem! Oczywiście interesuje go przede wszystkim list, pomyślała. Ale co tam, w tym przypadku tanio się sprzedam!

Udało jej się zatrzymać list. Tekst nie zniknął, nie zdarzyło się też nic tajemniczego. Trudno jej jednak było ładnie się ubrać, nie wypuszczając listu z ręki. Przynic, założenie cienkich rajstop i najlepszej sukienki oraz makijaż wymagały doprawdy nie lada zręczności.

Znalazłszy się w restauracji, stwierdziła, że wystroiła się z przesadą. Antonio jednak pochwalił ją, że ładnie wygląda, powiedział też, że prawie jej nie poznał, i to odrobinę pomogło. Ale coś w jego oczach świadczyło, że bardziej wzruszył się jej wyglądem niż się zachwycił, co trochę zaniepokoiło Unni. A kiedy przemyślała sobie jego komplement, zrozumiała, że był nieco dwuznaczny.

Unni nieczęsto zdarzało się jadać na mieście, a zwłaszcza w takich sytuacjach. Owszem, kilka razy wybrała się na niedzielny obiad razem z rodzicami, to wszystko. A teraz przecież było zupełnie inaczej!

Antonio po chwili powiedział z uśmiechem:

- Odpręż się, Unni! Nie masz okrucichów na brodzie. I przecież jesteś ze swoim przyjacielem Antoniem.

Unni roześmiała się nieśmiało.

- Trzeba czasu, żeby przyzwyczaić się do bywania na salonach.

Nie odważyła się wziąć jeszcze jednej porcji pieczywa, które wystawiono na stół, chociaż była tak głodna, że mogłaby zjeść wszystko. Vesla zwykle oceniała restaurację po tym, czy pieczywo podawano zimne, czy gorące. Tu serwowano je na ciepło, co oznaczało, że restauracja musi być niezła, przynajmniej według kryteriów Vesli.

Kiedy już zamówili dania, których ceny były tak wysokie, że Unni ledwie miała śmiałość na nie spojrzeć, Antonio wychylił się przez stół.

- Wiesz co, Unni - powiedział z ciepłem w głosie.

- Właściwie nie - odparła.

- Przez cały czas nie mogę oprzeć się wrażeniu, że masz niezwykle czystą duszę.

- O, na pewno są w niej jakieś brudy!

- W to nie wierzę. Unni, nigdy nie opowiadałaś o sobie, o swojej przeszłości.

- Żeby o niej opowiedzieć, wystarczą dwie sekundy.

- Mam na myśli twoje romanse.

- Na to starczy jedna.

Antonio uśmiechnął się.

- To, że Hege wskakuje do łóżka każdemu, kto ją o to poprosi, wydaje się nie wpływać na twoją moralność.

- Rzeczywiście, uważam, że to jej sprawa - powiedziała Unni z uśmiechem. - Ona po prostu już taka jest, a ja bardzo ją lubię.

- Ja także. A jak jest z tobą?

Unni nabrała głęboko powietrza, a potem wolno je wypuściła. To było naprawdę trudne pytanie, nigdy przedtem nie rozmawiała z nikim o swoich poglądach na seks. W każdym razie nie rozmawiała o tym z mężczyzną, w dodatku tak atrakcyjnym.

Kelner nalał im wina. Unni wypijała dwa porządne łyki.

- Ja chcę mieć pewność - powiedziała w końcu. - Chcę, żeby ten pierwszy raz nastąpił, gdy już będę wiedziała, że słusznie robię, że to jest zgodne z moimi uczuciami. To powinno być piękne przeżycie.

- Ojej! - Antonio na moment stracił mowę. - I to mówi osoba blisko dwudziestojednoletnia!

- Oczywiście nie miałam zbyt wielu propozycji - dodała Unni prędko.

Antonio czekał na dalszy ciąg, lecz Unni zatęnęła w myślach.

W końcu po długim wahaniu zdecydowała się opowiedzieć o tamtym człowieku, tym absolutnie jedynym, którego spotkała raz na lotnisku. O tamtym przelotnym

rozedrganym spotkaniu, o oczach rozszerzonych nagłym zdumieniem. Lecieli różnymi samolotami, a Unni wiozła wielką tubę, którą musiała zabrać jako bagaż podręczny. On podszedł do niej, pomógł przytrzymać tubę i Unni dzięki temu zdołała odnaleźć kartę pokładową. Uśmiechnął się do niej, a ona odpowiedziała mu nieśmiałym uśmiechem. Poza jej „dziękuję” nie padło między nimi żadne słowo. Niestety, musiała iść dalej, na sekundę oboje się odwrócili, patrząc jeszcze za sobą, aż wreszcie Unni przeszła przez kolejne drzwi.

- Tyle było czułości, takie poczucie więzi i zrozumienia między nami, i to nawet nie dlatego, że on był pod względem urody absolutnym ucieleśnieniem mojego ideału mężczyzny. Wiem, że nie powinno się pielęgnować w sercu tego rodzaju marzeń, ale czy można cokolwiek na to poradzić? Gdybym go nie spotkała, zapewne nie pozostałabym długo taka „czysta”, bo rzeczywiście później trafiały mi się okazje, ale się wahałam. Zawsze stawał mi przed oczami tamten człowiek. - Popatrzyła na Antonia. - Wiem, niemądrze pozwalając, by twoimi poczynaniami kierował bohater marzeń, ale... - urwała.

Nie mogła powiedzieć Antoniowi wprost, że przecież on właściwie jedzie na tym samym wózku. Gdyby tylko zdołał oderwać się od cienia Jordiego! Niezwykły podziw, jaki żywił dla brata, hamował prawdziwy rozwój jego wnętrza. Unni nigdy nie przyszłoby do głowy choćby słowem wyrazić się negatywnie o Jordim, bo przecież ich braterska miłość była taka piękna, lecz Antonio musi wkrótce zrozumieć, że Jordi był tylko człowiekiem, nie zaś Bogiem. Gdybyż udało jej się znaleźć sposób na to, by Antonio zmienił trochę swój stosunek do uwielbianego starszego brata! Nie mogła jednak się w to mieszać.

No tak, przyganiał kocioł garnkowi! A cóż ona wiedziała o człowieku, którego spotkała zaledwie raz? Ab-

solutnie nic. Przecież mógł być żonaty i mieć dzieci, mógł być kryminalistą!

Jakaż z niej idiotka! Oboje czuli się związani z nieosiągalnymi osobami. On ze zmarłym bratem, ona z postacią z marzeń, której nigdy nie odnajdzie.

Nagle Unni zeszytniała. To przecież jak zły czar! Ku ich stolikowi zmierzały ni mniej, ni więcej, tylko Emma i Vesla. Emma już prześlizgiwała się między stolikami.

Vesla jest okej, to miła koleżanka. Ale Emma...

- Dlaczego zrobiłaś taką ponurą minę? - spytał Antonio wesoło. On siedział odwrócony plecami.

- Miałam nadzieję, że ten czas upłynie nam w spokoju - mruknęła Unni. - Ale jak długo Ewie wolno było przebywać w raju?

- Chyba Adamowi?

- Nie zgadzam się, żeby traktowano mnie jak Adama. On był głupi i nudny. Zresztą Ewa wcale nie lepsza.

Dziewczyny dotarły już do nich i Antonio zaczął się domyślać powodów nagłego rozgoryczenia Unni.

- Zobaczyłyśmy twój samochód przed restauracją, Tony - oznajmiła Emma.

Vesla witała się z nimi raczej przeproszającym tonem. Emma natomiast nie kryła zdumienia widokiem Unni. Z niezmaconą pewnością siebie zadała retoryczne pytanie, czy mogą się przysiąc, w momencie gdy już siadała.

Ani Antonio, ani Unni nie odpowiedzieli, lecz to na Emmie nie zrobiło żadnego wrażenia.

Vesla natomiast zwlekała.

- Może wolicie być sami?

Rzeczywiście, woleli, bo mieli przecież przyjrzeć się listowi, ale to pytanie dawało się rozumieć na wiele sposobów, więc zaprzeczyli.

- No i jak, kiedy jedziemy do Yestlandet? - dopy-

tywała się Emma, zapalając papierosa, którego zaraz musiała zgasić na prośbę Antonia.

- Jeszcze trochę czasu upłynie - odparł. - Czekamy na cieplejsze dni. Potrzebna nam jest też pielęgniarka dla Mortena. Wewnętrzne obrażenia, których doznał mogły się jeszcze nie zagoić.

- Mówiłam wam już przecież, że się zgłaszam na ochotnika - powiedziała Emma chłodno, zwracając się do Antonia. Na Unni patrzyła bardzo rzadko.

A Unni w oczach Vesli znów dostrzegła tę dziwną tęsknotę.

- Przecież Vesla pracuje w domu opieki, chyba lepiej by się do tego nadała?

- Bardzo chętnie pojedę - odparła Vesla z pozoru spokojnie, lecz głos miała podszyty drżącym tonem.

Emma wreszcie zwróciła się do Unni:

- Ale przecież ja jadę do Vestlandet, do Ferde, więc wszystko się doskonale składa. W dodatku Vesla chyba nie dostanie urlopu?

Dostaniesz? Chciała spytać Unni, lecz przeszkodził jej Antonio:

- Pozwolimy, żeby o wyborze pielęgniarki dla Mortena zdecydował szpital - orzekł dyplomatycznie, bo widać przeczuwał, że może szykować się walka. - Jeśli tam uznają, że któraś z was posiada odpowiednie umiejętności, to sprawa będzie jasna. Jeśli nie, przydzielą nam odpowiednio doświadczoną pielęgniarkę. Morten musi jeszcze przez jakiś czas przyjmować zastrzyki.

- No cóż, ja kompletnie nie mam wprawy w opiece nad ludźmi - przyznała Unni. - A szczerze mówiąc, sama się zastanawiam, co ja tak naprawdę potrafię. Wygląda na to, że nic. To okropne czuć się tak kompletnie bezwartościową.

Antonio popatrzył na nią życzliwym wzrokiem.

- Masz bardzo przyjemny, ładnie modulowany głos, byłabyś na przykład prawdziwym objawieniem w radio.

Ojej, czy on to powiedział celowo? Ponieważ wiedział, że Emma odebrała jej szansę na pracę w stacji radiowo-telewizyjnej?

Emma w każdym razie mocno się zaczerwieniła i odwróciła głowę. Najwidoczniej nie spodobał jej się ten temat. Unni miała wrażenie, że słyszy, jak mamrocze pod nosem: „Ale na pewno nie nadaje się do telewizji”, głośno jednak Emma nie ośmieliła się tego powiedzieć.

Dziewczęta przez chwilę siedziały przy stoliku i rozmawiały o błahostkach. Trzeba przyznać, że Emma była bardzo obyta, miała sporą wiedzę i potrafiła być naprawdę interesującą rozmówczynią. Nastąpiła jednak chwila, gdy Unni z przyzwyczajenia powiedziała „Antonio”. Wtedy Emma wybuchnęła nieprzyjemnym kpiącym śmiechem.

- Co takiego? Nazywasz Tony'ego Antoniem? Ależ jesteś śmieszna!

On jednak odparł z pogodnym uśmiechem:

- Prawdę mówiąc, mam na imię właśnie Antonio, ale tylko moim najbliższym przyjaciółom wolno tak się do mnie zwracać.

Emma, słysząc to, na moment straciła rezon i nie wiedziała, jak zareagować. Vesla przez cały czas głośno milczała, widać nie mogła pozbyć się wrażenia, że są intruzami.

Emmy natomiast ani trochę to nie poruszało, może uważała swoją obecność przy stoliku za przywilej, którym obdarza innych. I nagle powiedziała do Antonia:

- Masz bardzo interesującą twarz. Nie jesteś Adonisem, ale... Cóż, miałabym ochotę przenocować u ciebie, Antonio.

Jego uśmiechowi nie dało się nic zarzucić, lecz odparł chłodno:

- Przykro mi, ale musiałybyś wtedy spać w fotelu. A potem znów odwrócił się do Unni.

Ale dla Unni ten wyjątkowy obiad już i tak był posuty. Było jej tak przykro, że miała łzy w oczach, wiedziała bowiem, że podobna szansa nigdy już się nie powtórzy. Mrugała mocno, chcąc pozbyć się łez, nie chciała, żeby Emma była świadkiem jej upokorzenia. W końcu Antonio zapłacił za nią i za siebie, zostawiając dziewczyny z niezapłaconymi napojami.

Emma jednak była prędką.

- Zapłacisz, Veslo? - mruknęła. Do Antonia zaś, dogoniwszy ich, powiedziała głośno: - Idę z wami. Odwieszysz mnie do domu, jak już wypuścimy Unni.

Antonio przystanął.

- Niestety, Emmo, jestem zaproszony do rodziców Unni - skłamał. - Zbyt długo musiałybyś czekać w samochodzie.

Unni spostrzegła, że Emma rozważa możliwość odowiedzenia jej rodziców, lecz widać na takie posunięcie nie mogła już się zdobyć.

- No to może innym razem - rzuciła bez troski.

- Oczywiście - odparł Antonio wymijająco, a potem odszedł razem z Unni.

- Cóż za bezczelność! - mruknął, włączwszy silnik samochodu. - Vesla sprawia wrażenie obdarzonej przynajmniej odrobiną rozsądku. Ta druga natomiast przez cały czas przyciskała się do mnie kolanem, a raz nawet położyła mi rękę na udzie!

- A fe! - wykrzyknęła Unni. - A to, że masz ją odwieźć do domu po tym, jak mnie wypuścisz, to już naprawdę był szczyt! Przecież ona mieszka w mieście, całkiem niedaleko stąd!

- Tak właśnie przypuszczałem. Nie zabierajmy jej do Selje!

- Dziękuję ci - westchnęła Unni. - To najprzyjemniejsza rzecz, jaką dzisiaj powiedziałeś.

- Mam wrażenie, że to dość wątpliwy komplement - uśmiechnął się Antonio, a potem spoważniał. - Ta Vesla... ona mi wygląda na wskroś ciepłą osobę, przepojoną miłością bliźniego.

- Bo tak w istocie jest. Bardzo ją lubię.

- Mimo to było w jej oczach coś, co rozpoznałem po samym sobie. - Umilkł na chwilę. - Nie, nie, to nic dla ciebie. Pojedziemy teraz do mnie do domu i obejrzymy ten list. Wiem, że jest późno, ale mam jutro popołudniowy dyżur, a ty przecież możesz spać tak długo, jak tylko będziesz miała ochotę. Bycie bezrobotnym ma przynajmniej tę jedną dobrą stronę.

- To prawda, można do woli rozkoszować się wspianymi chwilami, jakimi są leniwe poranki!

List wciąż spoczywał w kieszeni Antonia, tym razem nie zniknął w żaden tajemniczy sposób.

- To nie jest papier tej samej jakości co w przypadku zwojów - oświadczyła Unni, wydymając usta. - Będziemy to tolerować? Doprawdy, nie można aż tak nisko upadać!

Antonio, słysząc jej słowa, uśmiechnął się.

- No cóż, niewiele z tego rozumiem. Nie pojmuję, dlaczego rzucili się na ciebie.

- Ja również nie wiem. No, ale matka Mortena dostała przecież kiedyś coś podobnego. A propos listów, to zapomniałam o wysłaniu kolejnego podania o pracę.

- Nie masz teraz czasu na podjęcie pracy, Unni. Przecież wyjeżdżamy.



Unni na myśl o planowanej podróży aż serce podskoczyło z radości.

Nie zdążyła jeszcze zdjąć płaszcza i wsunęła ręce do kieszeni.

- Co to znów ma znaczyć? - spytała zdumiona. - Nie ma mojego listu z podaniem.

- Pewnie gdzieś go przełożyłaś. Może jest w torebce?

- W mojej wyjściowej torebce nie zmieściłby się list, musiałam go gdzieś zgubić.

- Albo... Jak on wyglądał? Podobny do tego, tej samej wielkości?

Podniósł do góry list na eleganckim grubym papierze.

- No rzeczywiście - przyznała Unni zdziwiona. - Moja koperta była bardziej zwyczajna, ale tak samo kremowo biała jak ta, a zawartość trochę grubsza, całość mogła więc przypominać ten list.

Popatrzyli na siebie. Czy ktoś mógł zabrać niewłaściwy list? Sądził, że Unni wciąż ma przy sobie tajemnicze przesłanie, i pragnął je odebrać?

- Do kieszeni mojego płaszcza mógł sięgnąć każdy, przecież szatni nikt nie pilnuje!

Od tej myśli zakręciło jej się w głowie.

- Skąd oni mogą tyle o nas wiedzieć? - powiedziała pobladłymi wargami. - Jedyne, co zdradziliśmy publicznie, to to, że Morten chce odwiedzić swoją babcię w Vestlandet i że my się z nim wybieramy. To przecież brzmi dość niewinnie, prawda?

- Owszem, ale może kogoś to przeraża.

- Albo zachęca.

Antonio zerknął na nią z ukosa.

- Myślisz, że tak może być?

- Nie wiem, ja nic już nie wiem.

- Ależ oczywiście, że tak - powiedział niemal miękko. Ujął jej głowę w dłoń i popatrzył w oczy. - Nie

wolno ci tak umniejszać swojej wartości. Ty, moja kochana, musisz bardzo dbać o to, żeby klęski, jakie odnosisz na froncie zawodowym, nie zaważyły na całym twoim życiu. Masz możliwości, żeby stać się wolną, silną i niezależną kobietą, lecz jeśli chcesz uważać się za zero, to się nim staniesz. Nie niszcź siebie tak, jak to teraz robisz. Nie rób z siebie głupszej, niż jesteś, bo doprawdy, masz wiele talentów. Nie ma sensu ich ukrywać. No, ale teraz zabiorę ze sobą ten list do laboratorium i spróbuję go zbadać.

- Ojej! - westchnęła Unni z poczuciem winy. - Na pewno pozostawiłam na nim wiele szlachetnych odcisków palców.

- Ja także. Zapewne nie było tam niczyich innych.

- Żadnych śladów żywych istot? Doprawdy, co za straszne stwierdzenie!

Unni pustym wzrokiem patrzyła za Antoniem, kiedy wyszedł.

Zera też są potrzebne, pomyślała żałośnie. Choćby po to, żeby inni mogli poczuć, że są lepsi.

Ale, do diabła, tak czy owak on miał rację. Musi wziąć się w garść!

„To był fałszywy alarm. Zmarnowaliśmy nasz czas.”  
„Musimy czym prędzej wrócić na zimną północ. Nikt nie wspiera naszej ostatniej nadziei w walce przeciwko wrogom”.

„Nie całkiem. Najsilniejszy czuwa i ma swoich pomocników. Ale bezwłose demony nas zwiody!”

„Zaprawdę tak się stało. Zmęczony jestem, przyjaciele. Zmęczony tą gonitwą poprzez stulecia i tym, że nie możemy powiedzieć narażonym, co mają robić”.

„I ja tak odczuwam. Jeśli ci ostatni nie zdołają nas ocalić, nigdy nie uzyskamy spokoju. Będziemy skazani na wieczną jazdę konno, tym razem bez żadnej korzyści”.

„Powróćmy więc na zimną północ”.

Unni nie widziała „swoich chłopców” przez kilka tygodni. Mortena wysłano na bardziej intensywny program rehabilitacyjny do jakiegoś innego ośrodka, gdzie Antonio nakazał stałe zamykanie drzwi do jego pokoju na klucz i baczne pilnowanie. Zabronił też wszelkich odwiedzin z wyjątkiem krewnych, u których Morten mieszkał.

Sam Antonio uczył się do egzaminu, który tak zaniedbał.

Zgodnie z jego poleceniem Unni starała się nie wychylać nosa poza dom. Dopóki nie wyzywała losu, zdaniem Antonia, nic jej nie groziło - ponieważ najwyraźniej istniał ktoś, kto pragnął, by również ona robiła to, czego od niej wymagano. Unni przesiadywała więc w domu i zajmowała się głównie rozmyślaniami.

Doszła do wniosku, że w tej sprawie naprawdę muszą być dwie przeciwstawne strony. Jedna, która chce, by coś zostało zrobione, „Zrób to, co do ciebie należy”, i druga, pragnąca pozbyć się wybranych, którzy dokonać mieli owego zagadkowego wyczynu.

Zaangażowani w sprawę skazani byli na śmierć w dwudziestym piątym roku życia. Nie ona, ona przecież stała całkowicie z boku i zupełnym przypadkiem wplątała się w tę historię. Skazanych na śmierć było teraz tylko dwóch: Morten i ewentualne dziecko Antonia.

Sprawa dotyczyła bowiem jedynie pierwotnego ^v każdym pokoleniu. Jordi był starszy, więc samego Antonia przekleństwo nie mogło dotknąć. Jeśli Mor-

ten pozostanie bezdzietny, co było najbardziej prawdopodobne, jego gałąź rodu wymrze. Złe dziedzictwo przeszłoby natomiast dalej na dziecko brata Jordiego, gdyby ono kiedykolwiek się narodziło. Antonio, mając tę świadomość, postanowił nigdy nie mieć dzieci.

Ojej, pomyślała Unni w przebłysku jasnowiedzenia. Owa tak zwana zła strona pragnęła, aby ród wyginął, i właśnie dlatego atakowała zarówno Mortena, jak i Antonia i ją!

Teraz to rozumiała: stanowiła niebezpieczeństwo, dopóki była wraz z nimi. Gdyby miała dziecko z którymś z nich, ród by przeżył.

Czy powinna traktować to jako pochlebstwo?

Do pewnego stopnia, owszem.

A czy powinna przestrzec Emmę? Może ją przestraszyć? Ależ nie, nigdy w życiu. Nikt nie może poznać ich tajemnicy.

Antonio niczego nie zgłaszał nigdy na policji, bo cóż zresztą mieli do powiedzenia? Dwa potrącenia samochodem, dwa napady wojowników ninja i deska, która sama spadła z góry. Nikogo o nic nie podejrzewali, no i nie mieli nawet cienia dowodu. Zwoje pergaminu, których istnienia nie byli w stanie dowieść. Jeden jedyny list, cały pokryty ich własnymi odciskami palców. Tajemnicza historia rodu i zła, gwałtowna śmierć jego potomków w młodzięczych latach.

I najgorsze ze wszystkiego: odziani jak mnisi jeźdźcy, upiory albo przebierańcy, nie wiadomo, kim dokładnie byli. Jak udowodnić ich istnienie?

Teraz Unni przyszedł do głowy pewien pomysł. Musi cały czas nosić ze sobą aparat fotograficzny. Mortena i Antonia również o to poprosi. Jeśli ci mniś się znów się pojawiają, zostaną uwiecznieni. To naprawdę świetna myśl.

Często zadawali sobie pytanie, co leży u źródeł całej tej historii. Antonio, bez wątplenia najmądrzejszy z nich wszystkich, twierdził, że wszystko ma swoje powody. Mieli się teraz cofnąć w przeszłość, zbadać kolejne pokolenia. Istniała wyjątkowa szansa, jak mówił Antonio, by jednocześnie odnaleźć odpowiedzi na wiele innych „dlaczego”.

Dlaczego na przykład Emma w tak bezczelny sposób proponowała mu siebie? Za czasów poprzedniego pokolenia coś takiego nigdy nie mogłoby mieć miejsca. Co więc się wydarzyło? Jaka była tego przyczyna? Chyba nie Międzynarodowy Rok Kobiet? Innym powodem mogło być zbyt swobodne wychowanie...

Dlaczego tak wiele małych firm, rozpoczynających działalność, spotkało bankructwo? Żeby znaleźć na to odpowiedź, trzeba było cofnąć się do okresu, kiedy ustalano podatki. No i ponieważ rząd nigdy nie potrafił wycofać się z raz podjętej decyzji.

„Będziemy rozwijać kłębek historii - oświadczył Antonio z niezmaconą pewnością i wielkim optymizmem. - Dlaczego na przykład tak wielu młodych nie ma pracy? No cóż, to wynik racjonalizacji, wspaniałego pomysłu lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych”.

„Ten proces wciąż trwa” - wtrąciła Unni.

„Owszem. Kiedy wymówimy pracę grupce robotników i urzędników, to zarobimy więcej pieniędzy. Również państwo stoi na takim stanowisku. A potem wypłaca się o wiele więcej na zasiłki dla bezrobotnych dla tych, których się zwolniło, a na dodatek unieszczęśliwia wielu ludzi. Ty chyba coś o tym wiesz, Unni”.

Unni tylko pokiwała głową i dodała jeszcze: „Dlaczego tyłu jest analfabetów? Bo są za duże klasy. I znów racjonalizacja. Te wspaniałe nieduże wiejskie szkółki, które trzeba było pozamykać, były przecież

ośrodkami życia mieszkańców. Zamyka się poczty, żeby oszczędzić pieniądze, wsie wymierają. Wszystko przenosi się do Oslo i innych wielkich miast. Na tym dopiero dużo zarobimy".

„Słyszałem nawet o pewnym idiocie, mieszczeniu, rzecz jasna, który z całkowitą powagą prowadził propagandę na rzecz tego, żeby wszystkie wsie, całą prowincjonalną Norwegię wyludnić i przenieść wszystkich do miast" - powiedział Morten.

„Dzięki temu byłoby mniej kłopotów i więcej by się zarobiło. Pieniądze, pieniądze, wszystkim rządzi jedynie pieniądze - prychnęła Unni. - Albo dlaczego ludzie już się ze sobą nie spotykają tak często jak dawniej? Nie ma już żadnych zebrań, żadnych prywatnych spotkań, nic. Ludzie się nie znają, a dlaczego tak jest?"

Chłopcy odpowiedzieli jej chórem: „Telewizja".

Mogli tak rozmawiać całymi godzinami, ale to był, jak powiedział Antonio, tylko jeden sposób odczytywania historii. Zaczynanie nie od epoki kamiennej, lecz od współczesności i cofanie się. Ciągłe zadawanie sobie pytania „dlaczego".

I to właśnie musieli zrobić, by rozwiązać swoją własną zagadkę.

Dni płynęły powoli. Boże Narodzenie i Nowy Rok zniknęły niezauważenie, nadszedł zimny styczeń i on także się skończył.

Ktoś jednak musiał być na tyle życzliwy, że wysłał podanie Unni o pracę. Otrzymała bowiem uprzejmą odpowiedź. Po raz kolejny. Mimo wszystko bardzo wdzięczna była pracodawcy za to, że przynajmniej dał jej znać, gdyż należało to raczej do rzadkości. Właściwie ta odpowiedź przyniosła jej ulgę. Rzeczywiście, nie miała teraz czasu na pracę, jak zresztą zauważył Antonio.

Ach, kiedyż oni wreszcie wyjadą?

W ostatnim okresie nie zaszło nic niepokojącego, z wyjątkiem tego, że Unni czuła się w jakiś sposób pod obserwacją. W jakim sensie, tego wyjaśnić nie umiała. To było trochę tak, jakby ktoś czekał. Czekał, że coś się stanie.

Nie mogła siedzieć nieustannie w zamknięciu. Od czasu do czasu miała jakieś sprawy do załatwienia w mieście, zdarzyło się też, wyjątkowo, że umówiła się z przyjaciółmi. Emma, Vesla i Hege dopytywały się wtedy z ciekawością, czy nastąpił koniec jej romansu z tajemniczym Tonem.

- Trudno chyba o koniec czegoś, co się nigdy nie zaczęło - roześmiała się Unni lekko. - Jesteśmy dobrymi przyjaciółmi, ale on studiuje, uczy się do egzaminu, a Mortena teraz tu nie ma.

Dziewczęta zrezygnowały z przeskoczenia przez Mortena i zaczęły wypytywać, kiedy Tony skończy się uczyć i co z wyjazdem. Unni odpowiedziała wymijająco, że czekają na poprawę - zarówno pogody, jak i stanu zdrowia Mortena.

Nie podobało jej się, że Emma konsekwentnie mówi „Antonio" zamiast „Tony". „Tylko jego najbliższym przyjaciołom wolno nazywać go Antoniem - wyjaśniła beczelnie pozostałym dziewczętom. - On jest Włochem".

„Hiszpanem - poprawiła ją Unni lakonicznie, a na ustach Emmy zarysował się brzydki grymas. - Zresztą w połowie Norwegiem" - dodała Unni tym samym beznamiętnym tonem.

Uśmiech na twarzach Vesli i Hege sprawił jej wiele satysfakcji.

Właśnie podczas tamtego jednego jedyne wspólnego wyjścia do miasta Unni oświadczyła niezwykle mocne wrażenie, że jest obserwowana. Siedzieli w swo-

jej ulubionej knajpce, w lokalu pełno było ludzi, a Unni zaczęła czuć się naprawdę nieswojo. Rozglądała się po kątach w poszukiwaniu mnichów albo przynajmniej cieni, ale to była bardzo zwyczajna knajpa. Nikt tutaj nie zazdrościł jej kawałka tortu ani też nie stał gotów, by rzucać w nią nożami.

Odkąd Emma znalazła się w ich gronie, nastrój w grupie się zmienił. Oczy Jerna i Mariusa były jakby przyklepione do jej warg, a każde wypowiedziane przez nią słowo miało dla nich wagę złota. Emma w istocie wiele wiedziała i dużo potrafiła. Była uduchowiona, kulturalna i nowoczesna, a kiedy chciała, potrafiła na dodatek być życzliwa i miła. Jedynie dziewczyny miały okazję poczuć jej pazurki, kryjące się zdradliwie w miękkich poduszkach łapek. Unni nie mogła też pogodzić się z jej stale powracającymi podtekstami dotyczącymi spraw seksu. Niekiedy Emma mówiła o tym bez żadnych zahamowań, a wtedy obie, Unni i Vesla, czuły się bardzo zakłopotane. Hege natomiast chętnie włączała się do rozmów z Emmą, nieprzerwanie przy tym chichocząc.

Antonio zwykle dzwonił dwa razy w tygodniu, żeby dowiedzieć się, co słychać u Unni. Te rozmowy były dla niej niczym prawdziwie życiodajny eliksir. Tego wieczoru jednak to ona musiała zadzwonić do niego.

Podeszła bowiem kelnerka i dyskretnie podała jej niedużą karteczkę.

- Jakiś mężczyzna telefonował i prosił, żebym ci to oddała.

Na szczęście przyjaciele pochłonięci byli słuchaniem kolejnego dowcipu Emmy. Unni cicho podziękowała i wzięła z rąk kelnerki kartkę. Przeczytała ją ukradkiem.

„Bądź ostrożna, natychmiast wracaj do domu. Samochodem”.

Żaden z chłopców nie miał samochodu. Vesla przyszła na piechotę, a na taksówkę Unni nie było stać. Spytała o możliwość skorzystania z telefonu. Oczywiście mogła poprosić ojca, by po nią przyjechał, lecz to wiązałoby się z mnóstwem pytań, postanowiła więc najpierw spróbować z Antoniem.

Dzięki Bogu był w domu i obiecał przyjechać natychmiast. Unni miała wypatrywać samochodu tak, by nie musiał tracić czasu na rozmowy z nikim innym.

Gdy ujrzała jego eleganckie auto skręcające pod restaurację, przeprosiła przyjaciół i pożegnała się z nimi tak szybko, że o nic nie zdążyli spytać. Czym prędzej wsiadła do samochodu Antonia i wszystko wyjaśniła. Karteczka nie miała dla nich żadnej wartości, bo to kelnerka po prostu zapisała przekazaną jej informację. Wspomniała jednak, że człowiek, który telefonował, mówił dialektem albo z cudzoziemskim akcentem, więcej zauważyć nie zdążyła.

Antonio nie na żarty rozgniewał się na Unni. Wyrzucał jej, że wyszła z domu późnym wieczorem, a Unni wstrząśnięta obiecała, że nigdy więcej już tego nie zrobi. Antonio jechał bardzo szybko, widać był bardzo wzburzony.

Powiedział jej również, że on także czuł się obserwowany, choć i on nie potrafił wskazać na nic konkretnego. Trwało to już od paru dni, kilkakrotnie też mało brakowało, a spotkałby go wypadek, za każdym razem jednak następowało iście cudowne ocalenie.

Podobnie jak zdarzyło się wówczas, gdy zawaliło się prawie wprost na nich szpitalne rusztowanie. Ktoś, nigdy się nie dowiedzieli kto, ostrzegł ich z góry. Antonio przeżył wiele podobnych epizodów.

- Nikt nie próbował przejechać cię koniem? - spytała Unni.

- Nie, za to mało brakowało, a wpadłbym pod samochód.

Mogło do tego dojść w pewnej małej uliczce, gdyby ktoś nie wypowiedział jego imienia, a on nie zatrzymał się, żeby zobaczyć, kto go wola. Nikogo oczywiście nie zauważył, lecz akurat tam, gdzie zaraz by się znalazł, rozległ się huk i jakiś samochód wpadł na drzewo. Kierowca pomimo solidnie wgniezionej karoserii uciekł z miejsca wypadku. Ostrzeżenia Antonio otrzymywał kilkakrotnie. W ciągu tych zimowych dni zdążył zastanowić się nad różnymi wcześniejszymi wydarzeniami. Dostawał listy, które nakłoniły go do zmiany planów podróży. Antonio słuchał tych ostrzeżeń, rozważał je, a potem próbował puścić w niepamięć, uznając je po prostu za zbieg okoliczności.

Lecz czy to naprawdę tylko przypadek?

- Antonio - zagadnęła Unni, gdy wyjechali już z miasta. - Czy ci jeźdźcy zrobili nam coś złego? Nam albo matce Mortena, Sigrid? Poza tym oczywiście, że wystraszyli do szaleństwa mnie i innych.

Antonio długo milczał.

- Nie - stwierdził w końcu po długiej chwili namysłu. - Nie, żadnych bezpośrednich szkód tak naprawdę nie wyrządzili, nie oni...

- Wiem, o czym myślisz. Zresztą ich już nie ma.

- I na całe szczęście. Unni, czy ty wiesz, że za dwa tygodnie są dwudzieste czwarte urodziny Mortena?

- Co ty powiesz? A jego tu nie ma i nie mamy szansy na to, żeby dostać w swoje ręce ewentualny pergamin. No i nie możemy go chronić!

- On wróci - uspokoił ją Antonio. - Przyjeżdża za kilka dni. Wybierzesz się razem ze mną go powitać?

- Antonio, gotowa jestem płakać z radości, słysząc takie pytanie. Tak strasznie za wami tęskniłam!

- Ja także.

- A... twój egzamin?

- Wszystko już oddałem, na razie tylko nie znam wyników.

- Trzymam kciuki. Posłuchaj, jakiś samochód siedzi nam na ogonie już od miasta.

- Wiem o tym. Próbowali jechać tuż obok nas, ale temu udało mi się zapobiec. Trzymaj się teraz mocno, zobaczymy, ile ten samochód jest w stanie znieść.

Unni ogarnęło takie samo uczucie, jakie pojawia się wówczas, gdy zaczyna startować samolot i człowiek zostaje dosłownie wciśnięty w oparcie fotela. Na całe szczęście akurat w tej chwili ruch na drodze był minimalny, nie minął moment, a już byli przed jej domem. Antonio podwiózł ją pod same schody i powiedział, że sam wróci do siebie inną drogą, żeby w ten sposób pozbyć się ewentualnego prześladowcy.

- Bądź ostrożny, Antonio!

- Niczego się nie bój! Do zobaczenia, *muchacha*.

*Muchachal* Hiszpański słownik, ratunku! Gdzie go w tej chwili szukać?

Na półce z książkami znalazła przewodnik po Hiszpanii, zawierający również małe słowniczek.

No cóż, nadzieje się rozwiały. *Muchacha* całkiem po prostu oznaczała młodą dziewczynę, raczej wręcz dziewczynkę.

A czego ona się właściwie spodziewała?

Z całą pewnością nietrudno było się zakochać w Antoniu. Prawdopodobnie o wiele trudniej byłoby się nie zakochać. Na razie jednak całkiem nieźle sobie z tym radziła.

Stali wokół łóżka Unni. Łyse czaszki. Jeden przy drugim, było ich wielu, pochylali się nad nią.

Oczy mieli czarne i złe. Płaszcz czarny, lecz pod spodem dostrzegą białe szaty.

Syczeli coś do niej. Trupio blade twarze ściągały się w grymasach nienawiści i nadziei, że zaraz wydarzy się coś złego.

W pierwszej chwili nie zrozumiała słów, mówili bowiem jeden przez drugiego, wreszcie jednak dotarło do niej, co mówią.

Ven a Santiago.

Unni zaczęła krzyżeć przez sen, a w końcu gwałtownie się poderwała. Drżącymi palcami odszukała wyłącznik lampki i zapaliła ją.

Pokój był pusty, wszystko tylko jej się przyśniło.

## 23

Wyszli Mortenowi na spotkanie, kiedy przyjechał do szpitala dużym samochodem do transportu niepełnosprawnych. Pragnęli być pierwszymi osobami, które go powitają.

Wysiadł o kulach! Dumny jak paw posuwał się naprzód. Kuśtykał, ale był w stanie podnosić nogi i stawiać je tak jak chciał. Oczywiście przy użyciu kul.

Unni serdecznie go uściskała, a Antonio rozpromienił się jak słońce.

- Uznali, że znajdują u mnie pewną poprawę - wyjaśnił Morten. - I dlatego postanowili zafundować mi pobyt w specjalnym ośrodku rehabilitacyjnym. Teraz mogę już wrócić do domu.

- Kim są ci dobrzy oni?

- Szpital. Gmina. Państwo.

- Mój ty świecie! Doprawdy państwo potrafi zrobić coś podobnego? Chyba cofnę wszystkie swoje pogardliwe słowa - obiecała Unni.

- Jakież nowiny w kwestii... wiecie czego?

- Żadnej rewolucji - odparł Antonio. - No, ale twoje urodziny, Mortenie. Nie myślałeś o żadnych... hm zaproszeniach?

Morten uśmiechnął się szeroko. Teraz, gdy iskra życia znów zapłonęła w jego oczach, wyglądała naprawdę o wiele lepiej.

- Rzeczywiście, chętnie bym widział paru gości. No... bo wy chyba przyjdziecie?

- Będziemy pilnować ciebie i twoich prezentów jak jastrzębie. Dziękujemy za zaproszenie. No, ale idą twoi krewni, my już sobie pójdziemy. Zadzwoń wieczorem.

Morten uniósł rękę w niezgrabnym i pełnym rozczarowania geście pożegnania. Ciotka i wuj nie byli aż tak interesującym towarzystwem. Unni też mu pomachała.

Antonio odwiózł ją do domu. Cudownie było znów siedzieć w jego samochodzie. Wprawdzie Unni rozumiała, że tylko Morten wiąże ich ze sobą, ale to w niczym nie przeszkadzało. Znow zaczęli działać!

Antonio Vargas wracał ze szpitala do domu. Było ciemno i zimno, śnieg zawirował mu wokół nóg, kiedy wysiadł z samochodu. Za jadącymi drogą autami tworzyły się upiorne białe welony.

Zęby dotrzeć do swego skromnego mieszkania, musiał przejść niewielki kawałek piechotą, wspiąć się na nieduże wzgórze przez zmrożony park. W oknach domów ciągle jeszcze paliły się adwentowe świeczniki, choć był już koniec stycznia. Antonio postawił kołnierz kurtki, zasłonił rękami uszy i zatęsknił za Hiszpanią.

W połowie drogi gwałtownie się zatrzymał. W pobliżu nie widać było żywej duszy, tymczasem nagle otoczyli go jeźdźcy na koniach. Ujrzał błyskające białka oczu zwierząt, kiedy rzucały łbami. Momentami, gdy wpadały w nie światła samochodów jadących drogą, świeciły na zielono.

Nie słysząc było najmniejszego szelestu.

Konie były czarne, podobnie jak jeźdźcy. Naliczył ich pięciu.

To znaczy, że zarówno matka Mortena, Sigrid, jak i Unni miały rację. Ci zakłęci jeźdźcy naprawdę istnieli, znów tu wrócili.

Serce Antonia zabiło mocniej, starał się jednak za-

chować odwagę i godność. Powitał ich dostojnie, sprawiali bowiem wrażenie, że inaczej wobec nich postąpić nie można.

- *Que gñieren?* - spytał, odruchowo przechodząc na hiszpański. „Czego sobie życzycie?”

Nie odpowiedzieli. Antonio czekał.

Oni czekali także. Nie mogli mówić? Właściwie jednak w ich milczeniu nie było nic groźnego, dawało się wyczuć raczej prośbę, a potem nagle, jakby na sygnał, odwrócili się i zniknęli w ciemnościach. Antonio usiłował ich wypatrzeć na tle dalekich świateł, niczego jednak nie zdołał dostrzec.

Cały drżący wypuścił powietrze z płuc i ruszył przed siebie do domu. Upłynęła długa chwila, zanim puls wrócił mu do normy.

Morten zaprosił wszystkich przyjaciół, łącznie z Emmą.

Ach, idź do diabła, Emmo, pomyślała Unni gniewnie na widok swojej wypielęgnowanej rywalki, a nazywając Emmę rywalką przypomniała sobie wszystkie te przypadki, kiedy Emma popsuła jej plany lub pozbawiła rozmaitych okazji. Z ukłuciem w sercu zastanowiła się nad tym, jak to naprawdę jest z Emmą i Antoniem.

Właściwie to dość dziwne. Wcale nie trzeba bardzo interesować się chłopakiem, lecz gdy tylko zwierzy się rywalkę, to zainteresowanie nim natychmiast wzrasta i choć tak naprawdę dziewczynie aż tak bardzo na nim nie zależy, żadna nie lubi, żeby inne wchodziły jej w drogę. Inne, a już na pewno nie Emma.

Antonio i Unni przyszli pierwsi, Antonio podjął się bacznego strzeżenia stołu z prezentami, podczas gdy Unni miała pilnować, by nic nie spotkało Mortena. Morten zapewne uważał, że Unni za bardzo się do nie-



go lepi, lecz przecież wiedział, dlaczego tak się dzieje. Jedyne raz prychnął jej do ucha, że nie jest przecież listem, na który trzeba przykleić znaczek.

Unni uśmiechnęła się tylko do niego dobrodusznie i dalej nie odstępowała go na krok.

Włosy dziewczyny trochę już odrosły, mogła je jakoś ułożyć. Otaczały jej głowę skromnym wianuszkiem i czuła się teraz niemal po kobiecemu miękka. Stanęła przed lampą tak, żeby otaczały jej głowę niczym gloria.

Akurat przechodził Antonio. Unni obdarzyła go anielskim - w jej przekonaniu - uśmiechem, lecz on zaraz spytał, dlaczego udaje pastorową.

- Do diabła! - zdenerwowała się Unni. - Myślałam, że wyglądam uwodzicielsko i że działam na chłopców!

Antonio przekrzywił głowę i obrzucił ją żartobliwym spojrzeniem.

- Masz zadatki, Unni. I pamiętaj, ćwiczenie czyni mistrza.

Mało brakowało, a skoczyłaby mu do oczu.

Przyjaciele ciotki i wuja Mortena, a także jacyś jego krewni ze strony ojca rozsiedli się przy niskim stoliku, młodym została więc sofa i fotele, ale nie mieli nic przeciwko temu, by tam się rozgościć. I... Tu nawet Morten się zdziwił: przyjechała jego macocha, Flavia. O jej przybyciu wiedzieli jedynie wuj i ciotka. Unni na próżno starała się wypatrzeć we Flavii jakąś tajemnicę, a Antonio sokolim wzrokiem wpatrywał się w jej upominek. Ale cóż, ta kobieta wyglądała zupełnie zwyczajnie, była nieco wyblakła, wymalowaną włoską pięknoscią, o prawdopodobnie znacznie obfitszych kształtach teraz niż wówczas, gdy zakochał się w niej ojciec Mortena. Przywiozła Mortenowi w prezencie ekstrawagancki model telefonu komórkowego z mnóstwem rozmaitych nowych finezji.

Telefon wzbudził szczerzy zachwyt całej ich grupy. Sigrid wśród tego zgromadzenia poszła w całkowite zapomnienie.

Morten jednak wydawał się szczerze zadowolony ze spotkania z macochą. Między nimi panował sympatyczny przyjazny ton.

Unni zacisnęła zęby, myśląc o wzruszającym pamiętniku Sigrid, o jej samotności, smutku, strachu i tej jakże przedwczesnej śmierci.

Podobny los czekał Mortena, jeśli nie zdołają powstrzymać działania tego niewyjaśnionego przekleństwa. „Oby nastał kres wszelkiego cierpienia”. Tak było napisane w jednym z listów, które otrzymała Sigrid.

Przyjęcie trwało, a Antonio nawet na chwilę nie odrywał oczu od stolika z prezentami. Morten rozpakował je wszystkie i ułożył tak, by każdy mógł je oglądać i podziwiać. Na razie nic nie budziło jego podejrzeń.

Unni pilnowała, żeby nikt zanadto nie zbliżał się do Mortena. On zaczął jednak wyglądać na coraz bardziej zmęczonego i urodzinowe przyjęcie ze względu na niego musiało zakończyć się wcześniej. Nie mógł jeszcze zbyt długo siedzieć wyprostowany.

Kiedy już ubierali się do wyjścia, Antonio obserwował Vesłę. Oczy zamglił mu wyraz zamyślenia, ale głos miał ciepły i uśmiechał się, kiedy się z nią żegnał.

On i Unni zaczekali, aż wszyscy wyjdą, chociaż Emma dopraszała się, żeby ją odwiózł. Jej słowa spotkały się jednak z uprzejmą, acz zdecydowaną odmową. Wszyscy starsi goście postanowili przenieść się do hotelu Flavii, na kilka wieczornych drinków i jeszcze chwilę rozmowy.

- A więc dobrze, to już za nami. Nic się nie wydarzyło. Kładź się teraz do łóżka, Mortenie. Wyglądasz, jakbyś zaraz miał zasnąć.

- Rzeczywiście, przez cały wieczór byłem dość napięty. Uznamy to za nasz triumf czy za klęskę?

- Może i za to, i za to - odpowiedział Antonio. - Cieszymy się jednak, że się nic nie stało.

- Morten! - zawołała nagle z przedpokoju ciotka, wychodząca jako ostatnia. - Pod ubraniami została jeszcze jedna paczka! Napisane jest na niej: „Dla Mortena”.

Popatrzyli na siebie. Ciotka wróciła do pokoju i podała mu prostokątną paczuszkę owiniętą w złoty papier.

- Otwórz ją sam, bo goście czekają na mnie w samochodzie - powiedziała.

Całe szczęście, że wszyscy już sobie poszli, pomyśleli.

Morten drżącymi palcami rozerwał śliczny papier. W środku było podłużne pudełko.

- Zaczekaj, nie dotykaj go! - poprosił Antonio. - Masz jakieś rękawiczki?

Morten wyjaśnił, gdzie ich szukać, a Unni przyniosła je, pomrukując pod nosem, że przecież dobrze wiedzą, że i tak nigdzie nie ma żadnych odcisków palców. Przeszli do sypialni Mortena, starannie zamykając za sobą drzwi. Morten nie bez ulgi padł na łóżko.

Pozwolili, żeby to on otworzył pudełko.

No cóż, oczywiście w środku leżał zwinięty pergamin.

- Nigdy wcześniej nie był opakowany - zdziwił się Antonio. - Czyżby wiedzieli, że się pilnujemy?

Morten wyraźnie się zdenerwował. Antonio i Unni skrywali to lepiej.

- Znów po hiszpańsku - westchnął, leżąc z pergaminem w obciążonych rękawiczkami dłoniach. Podsunął go teraz Antoniowi, który przecież doskonale znał hiszpański. Przynajmniej na tyle dobrze.

- *Bienvenido*. Och, przepraszam! „Witamy cię z powrotem w życiu. Wciąż jeszcze jest czas. Ale spiesz się, spiesz-

- To znaczy, że mamy jakiegoś pomocnika wśród osób, które tu dzisiaj były - stwierdziła Unni.

- Ale pomyśl tylko, jeśli oni chcą czegoś złego? - przejął się Morten. - Na przykład, żebym zabił albo...

- Czy ty zawsze musisz myśleć o najgorszym? - westchnęła Unni. - Ach, gdybyśmy tylko wiedzieli, czego się od nas wymaga!

Wtedy Antonio opowiedział o spotkaniu z pięcioma jeźdźcami, wcześniej nie było na to czasu.

- A więc jest ich pięciu - zamyśliła się Unni, kiedy już ona i Morten przetrawili przekazaną przez Antonia historię. - Sądziłam, że jest ich więcej. Jak myślicie, czy ci jeźdźcy to to samo, co mnisi?

- Tego nie wiemy - odparł Antonio. - Noszą mniej więcej takie same ubrania, ale nie, nie wydaje mi się, żeby ci jeźdźcy byli mnichami. Twoja matka też tak nie uważała, Mortenie.

- I ja nie sędzę, żeby tak było - wtrąciła się szybko Unni. - Pamiętam tamtą przerażającą twarz, ona była zbyt... jak to nazwać? Zbyt władcza? Zbyt zacnego rodu, by mogła należeć do mnicha? Mnisi powinni być przecież pobożni i cisi.

- To dotyczy jedynie mnichów ze wschodnich rejonów - wtrącił Antonio. - Ci z Europy zachodniej nie byli tacy porządni. Nie byli też pobożni.

- Rzeczywiście, słyszało się kilka szokujących historii - zachichotał Morten. - Ale moja matka wspominała, że było ich więcej. Czyżby miała na myśli tę drugą grupę?

- Przypuszczam, że tak - powiedziała Unni. - Tych h/sych czaszek, które stały wokół mego łóżka, było więcej niż pięć. A to byli mnisi, gotowa jestem przysiąc.

- Na pewno masz rację, Unni. Ale teraz już musisz naprawdę odpocząć, Morten - powiedział Antonio.

- Dlaczego? - zbuntował się chłopak. - Został mi za-

ledwie jeden rok, prawda? Muszę nacieszyć się życiem. Każdą jego sekundą.

Przez chwilę stali, nie wiedząc, co na to powiedzieć. W końcu Antonio mocno ujął Mortena za ramiona i rzekł z przekonaniem:

- Będziesz żył jeszcze wiele, wiele lat. Musimy przełamać to przekleństwo. Myśl raczej, że mamy przed sobą cały rok na złamanie tej tajemnicy.

- Rok to bardzo niewiele.

- Myślisz teraz negatywnie, a to nikomu nie pomoże. A już z całą pewnością nie tobie. Przyznaję, że nie pojmuję z tego nawet odrobiny. Dziwią mnie zwłaszcza ci upiorni jeźdźcy. Nigdy nie wierzyłem w żadne paranormalne zjawiska. Musimy rozwiązać tę zagadkę. Nie możemy po prostu udawać, że niczego nie zauważyliśmy. Jestem chyba wśród całej naszej trójki największym sceptykiem, lecz i ja ich widziałem i nie było to żadne delirium ani atak schizofrenii. Widziałem ich na własne oczy. Zwrócili się bezpośrednio do mnie. Unni, a ten twój jeździec, czy on miał ogoloną na gładko głowę? Jak ci mnisi, którzy pojawiali się w naszych snach? I których matka Mortena widziała na jawie?

- Głowę zakrywał mu kaptur, trudno mi więc powiedzieć coś na pewno, ale... on miał brodę. Tak, tak właśnie było, przetykaną siwizną brodę i wąsy.

Antonio zastanowił się.

- Tych pięciu, których ja widziałem, wyglądało podobnie. Nie przypominali mnichów, ale... Nie, takie rozumowanie do niczego nas nie doprowadzi. Chodź, Unni, bo Morten zaraz całkiem padnie!

Wracali samochodem z urodzinowego przyjęcia<sup>e13</sup> Mortena, kiedy Antonio lekko przyhamował.

- Miałem jeszcze załatwić pewną sprawę...

Unni błyskawicznie przyjęła postawę obronną.

- Mogę wrócić do domu autobusem.

- Nie, nie. Masz siłę pojechać ze mną?

A więc nie planował spotkania z dziewczyną.

- Jasne, dokąd jedziemy?

- Mam zwyczaj regularnie zapalać świece na grobie Jordiego.

- Ach, tak - powiedziała Unni cicho. - A miałabyś jakąś świeczkę i dla mnie?

- Widzę, że to, co spotkało Jordiego, i na tobie zrobiło wrażenie.

- Rzeczywiście - przyznała.

Popatrzyła na spowity zimowym mrokiem krajobraz. Świątełka pochodzące z zagród i pojedynczych domów pojawiały się i znikwały, było tak ciemno, że nie dawało się dojrzeć linii horyzontu. Unni leciutko zadrżała.

- Ty też wyglądasz na zmęczonego, Antonio - powiedziała, kiedy szli przez pokryty śniegiem cmentarz. Musieli nogami odgarnąć śnieg, żeby otworzyć furtkę. Świątełko kieszonkowej latarki Antonia błąkało się po świeżej białej powłoce, pokrywającej mur i furtkę.

- Nie, nie jestem zmęczony, tylko smutny. Kiedy myślę o tych napaściach, na które tak wielu z nas było narażonych, brakuje mi Jordiego. On był prawdziwym obrońcą, duchem opiekuńczym. Nic złego nie mogło mnie spotkać od maleńkości aż do chwili jego śmierci. Szkoda, że nie miałas okazji go poznać, Unni. Przy nim bylibyśmy bezpieczni.

- Ale własnego życia nie potrafił obronić.

- To prawda. Gdyby tylko był w domu w swoje dwudzieste piąte urodziny albo gdybym ja był z nim w Hiszpanii! Ale jak już ci mówiłem, w tym czasie "Ważałem to wszystko po prostu za kiepski żart. Teraz wyrzuty sumienia nie dają mi spokoju, Unni.

- Doskonale cię rozumiem. No, jesteśmy już przy ogrodzie z urnami, prawda? Tablice nagrobne stoją tutaj jedna przy drugiej.

- Tak, masz rację. Tutaj jest jego grób.

- Uważam, że ta wasza braterska lojalność jest naprawdę wspaniała.

- Mieliśmy przecież tylko siebie. Jordi skończyłby teraz dwadzieścia dziewięć lat.

Unni przykucnęła i pomogła Antoniowi ustawić świeczki przed małą tabliczką, z której Antonio odgarnął śnieg.

Było na niej napisane: „JORDI VARGAS 1972-1997”; nic więcej.

- Jordi to moim zdaniem bardzo piękne imię - powiedziała Unni. - Ale po hiszpańsku chyba się je wymawia „Hordi”, z tym dźwiękiem, którego my nie mamy, mają go natomiast Niemcy. Twarde „h”, mniej więcej takie, jakie wydobywa się, kiedy człowiekowi wpadnie mucha do gardła i próbuje się jej pozbyć.

- Wyobraź sobie, że nie - wyjaśnił Antonio. - Również Hiszpanie wymawiają to jako „Jordi”, bardzo podobnie do nas. To katalońska odmiana imienia Georg, Jorge. Jest mnóstwo miejsc, które nazywają się Sant Jordi, wszystkie w Katalonii, we wschodniej części Hiszpanii. Ale Jorge wymawia się z dwoma tymi naszymi „h”. Horhe - uśmiechnął się.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu i patrzyli, jak płomienie świeczek migoczą na wietrze. Zdaniem Unni panował podniosły nastrój, była to doprawdy niezwykła chwila.

W końcu Antonio wstał, a Unni otarła łzy piekące w oczach. Bez słowa wrócili do samochodu.

Dwa małe odległe światełka w ciemności wydawały się takie samotne.

Samochód pomknął przez ciche ulice i znów znalazł się na wsi.

- Byłeś do niego bardzo przywiązany - powiedziała miękko Unni.

- Śmierć Jordiego to najcięższy cios, jaki mnie spotkał w życiu. On był taką na wskroś dobrą osobą, dawał z siebie wszystko. Właśnie takich ludzi przychodzi nam tracić.

- Starzy złośliwcy żyją długo, bo ci najlepsi umierają młodo.

- No, no, przecież my żyjemy - powiedział Antonio, próbując obrócić wszystko w żart. - A oto twoja rezygnacja, Unni. Naprawdę wspaniały z ciebie kompan!

- Dziękuję - powiedziała zaskoczona.

Antonio przechylił się przez nią i otworzył jej drzwiczki. Unni zadowolona podreptała do domu.

Kiedy wreszcie przestaniesz rozpaczać nad Jordim i zechcesz zauważyć, że ja istnieję?

A kiedy ja przestanę ścigać ten fantom, który przeszkadza mi w pełni zrozumieć, jakim wspaniałym człowiekiem jesteś ty, Antonio?

Chyba już najwyższy na to czas.

## 24

Emma jako kandydatka na pielęgniarkę Mortena przepadła z kretešem, Vesla natomiast miała większe zawodowe doświadczenie, niż w ogóle śmieli podejrzewać. Zgodzono się więc na jej udział w wyprawie. Wewnętrzne obrażenia Mortena, uszkodzona wątroba i śledziona, jeszcze przez jakiś czas musiały znajdować się pod kontrolą i być leczone. Tym zajął się Antonio, lecz Vesla miała prawo robić zastrzyki, potrafiła też ułatwiać życie niepełnosprawnemu pacjentowi, jakim był Morten.

Nastał już marzec i Mortenowi pozostało niespełna dziesięć miesięcy życia.

Uznali, że mogą wreszcie jechać do Vestlandet. Byli wręcz zdania, że dłużej czekać nie powinni.

Wieczorem na dzień przed wyjazdem ciężko pracowali, żeby wszystko było gotowe, próbując utrzymać termin w jak największej tajemnicy. Od urodzin Mortena starali się nie wychylać nosa z domu, chociaż nic poza wrażeniem, że są pod obserwacją, tak naprawdę ich nie niepokoiło.

Kiedy pakowali się w domu Antonia, Unni spytała:

- Czy wszyscy pierwородni umierają w dniu swych dwudziestych piątych urodzin?

- Nie. Stało się tak w wypadku Jordiego i jeszcze kilku osób. Większość natomiast zmarła w pierwszych miesiącach roku. Ale dwudziestych szóstych urodzin nie dożył nikt.

- To znaczy, że Morten otrzymał coś w sensie prolongaty?

- Na to liczyć nie możemy.

- No, tak, oczywiście, że nie. Wyglądał na bardzo zmęczonego. Sądziś, że wytrzyma tak długą jazdę?

- Kazałem mu natychmiast się położyć, kiedy odwiozłem go do domu. Mam wrażenie, że jest bardziej podniecony niż zmęczony. Ten zapał przed podróżą wprost go wykańcza, jest taki szczęśliwy. Strasznie się cieszy, że wyrwie się z domu ciotki, która cierpi na manię czystości i ma surowe wymagania. I że ucieknie od czającego się niebezpieczeństwa do cudownego spokojnego Selje. Wiesz chyba, że przez pewien czas mieszkał u babci?

- Tak, jak był mały. Sama ogromnie się cieszę na tę podróż, naprawdę bardzo.

- Ja także - uśmiechnął się Antonio.

W domu opieki nie wyrażono zgody na dodatkowy tydzień urlopu Vesli. Stwierdzono, że musi się trzymać ustalonego wcześniej planu wakacji.

Vesla więc, niewiele się namyślając, złożyła wypowiedzenie i natychmiast opuściła miejsce pracy. Wiedziała, że musi pojechać do Selje. Gdy wyszła z domu opieki, odczuła ogromną ulgę.

Gorzej natomiast było w domu. Matkę już powiadomiono o tym, co się stało, i natychmiast przybiegła do Vesli.

- Jak ty strasznie mieszkasz! - jęknęła. - Masz tylko jeden pokój z kuchnią! Natychmiast przeprowadzasz się do domu!

- Pakuję się, mam - powiedziała Vesla z wymuszonym \*H uprzejmością. - Wyjeżdżam na kilka dni.

- Nie możesz tego zrobić - oburzyła się matka Wstrząśnięta. - Nie wolno ci rzucać pracy w taki spo-

sób. Co powiedzą ludzie? Wróć zaraz i przeproś! No i co będzie ze mną? Kto będzie mi robił zakupy? Jak ja wyjdę z domu?

- Przecież jesteś tu teraz! Pierwszy raz! Z całą pewnością dasz sobie radę.

- To była zupełnie nadzwyczajna sytuacja. Musiałam przecież ratować cześć córki.

- I własną wygodę? Przesuń się, bo muszę się pakować.

- A cóż to za maniery! Zwykle jesteś taka uległa.

Vesla przystanęła i popatrzyła matce prosto w oczy.

- Jeśli naprawdę wiesz, co dla ciebie dobre, to powinnaś teraz wyjść.

Matka złapała się za serce.

- O, nie, dziękuję - oświadczyła Vesla zimno. - Nie dam się już na to nabrać.

Matka zagroziła jej drogę.

- Nigdzie nie pojedziesz! Nie możesz być taka bezduszna. Nie jesteś moją małą kochaną Veslą!

Nagle zobaczyła w oczach córki coś, co kazało jej się cofnąć.

- Ależ, kochana Veslo, ty potrzebujesz pomocy! Leczenia! Przecież jesteś chora!

- A czyja to wina, nawet jeśli tak jest? Owszem, nie tylko twoja, mamo, przyznaję. Ale jedźcie z nami lekarz. Będę się opiekować młodym chorym chłopcem, czy to ci nie wystarczy?

- Młodym chłopcem? - zdenerwowała się matka. - Ależ to przecież nieprzyzwoite!

- Nie bardziej nieprzyzwoite niż to, co kazałaś mi przeżywać w dzieciństwie, bo sama nie potrafiłaś tego znieść. A teraz już idź. I pozwól mi nareszcie żyć własnym życiem, a nie twoim.

Matka westchnęła urażona i ze strachem cofnęła się przez drzwi.

Morten rzeczywiście czuł się zmęczony. W domu nie było nikogo, kto pomógłby mu położyć się do łóżka, sam więc musiał sobie radzić z rozbieraniem się i wieczorną toaletą.

Akurat w chwili, gdy z wielkim trudem ułożył się wreszcie w pościeli, rozległ się dzwonek do drzwi. O tej porze? Nie, właściwie nie było aż tak późno.

Jak on się prezentuje? Ma na sobie tylko majtki, ale przecież nakryje się kołdrą, więc chyba wszystko w porządku.

Porozmawiał przez domofon, okazało się, że to Emma. Nacisnął przycisk i wpuścił ją do środka.

Zajrzała do jego pokoju i powiedziała cicho i dyskretnie z uśmiechem:

- Kiedy byłam na twoich urodzinach, zostawiłam tu rękawiczki.

Morten kiwnął głową. Nie chciał nikomu o tym mówić, ale miał słabość do Emmy. Ona była taka boska. Dziewczyna stała, wyraźnie się wahając.

- Sam jesteś?

- Tak. Ciotka i wuj są w hotelu u mojej macochy.

Emma przysunęła się o krok.

- Ach, tak, u niej? Była kiedyś bardzo atrakcyjną kobietą.

Zdaniem Mortena Flavia nie straciła nic ze swej atrakcyjności, odparł więc krótko:

- Zawsze była dla mnie dobra.

Emma przysunęła się jeszcze bliżej i popatrzyła na niego cudownymi oczyma w kształcie migdałów.

- O ile dobrze zrozumiałam, to odebrała twego ojca matce?

Unni i Antonio nigdy by czegoś podobnego nie posiedzieli, pomyślał Morten lekko poirytowany.

- Nie, to nie całkiem tak - usiłował tłumaczyć ma-

cochę. - Opowiadała mi, jak to się stało. Nie było w tym niczyjej winy. Po prostu zakochali się w sobie od pierwszego wejrzenia, ale nigdy nie dopuścili się zdrady, dopóki moja matka żyła. Cóż, ojciec być może mógł postąpić ładniej, ale to moje zdanie, nie jej.

- Ty jej bronisz? Uważam, że to z twojej strony ogromnie wielkoduszne.

Morten chciał już burknąć, że nie pamięta swojej matki i dlatego nie ma do niej żadnego stosunku, a przynajmniej nie miał, dopóki nie przeczytali jej wstrząsającego pamiętnika. Ugryzł się jednak w język i nic nie powiedział.

Nikt z zewnątrz nie powinien się dowiedzieć o istnieniu tych zapisków.

Ale czy Emma rzeczywiście była kimś z zewnątrz? Przecież ona należała do ich grupy, w dodatku taka piękna.

Dziewczyna przysiadła teraz na brzegu łóżka.

- Jak tam twoja rekonwalescencja?

Mortena lekko zatrwożyła jej bliskość. Wiedział, że dziewczyna jest bardzo bezpośrednia, i nie chciał mówić o swoim kalectwie. To były zbyt delikatne kwestie.

- Posuwa się naprzód, chociaż w ślimaczym tempie. Znalazłaś te rękawiczki?

Pomachała mu nimi przed nosem.

- Leżały na półce na kapelusze. Czy wszystkie funkcje twojego ciała są jakby martwe?

Morten nieostroźnie spytał:

- Co masz na myśli?

Emma uśmiechnęła się.

- No, chyba wiesz...

- Ach, to! Myślę, że tak.

- Mogę spróbować.

- Nie, ja... - Morten kurczowo przytrzymał kołdrę, ale Emma wsunęła rękę z boku i sprawdziła-

- Wuj z ciotką zaraz wrócą do domu - jęknął spakowany Morten.

- To nie potrwa długo.

Zaczęła go pieścić. Morten odczuł łaskotanie, gdy jej ręce dotknęły brzucha, niżej nic się nie działo.

Emma wyjęła mu kołdrę z rąk, odsunęła ją i popatrzyła.

- Piękne ciało - stwierdziła. - Doskonale wyposażone. Szkoda, gdyby coś takiego miało pozostać bezużyteczne.

Ujęła chłopaka za rękę i podniosła ją do swoich piersi.

Mózg Mortena zarejestrował cudowne wrażenie, lecz dolna połowa ciała nie zareagowała.

- Wiesz, istnieje viagra - powiedziała miękko Emma. - To może być coś dla takich jak ty. Ona stymuluje reakcje.

- Boję się tego. Taki środek może mieć odwrotne działanie, może okazać się niebezpieczny.

Emma zrzuciła buty i wsunęła się do niego do łóżka. Przez cały czas jej ręka nie przestawała go pieścić.

- Posłuchaj, przynajmniej popieść mnie. Tobie też to dobrze zrobi - szepnęła. - Jakoś postaramy się go ożywić, przekonasz się. Zakończyłeś niezwykle ważny etap, naprawdę niezwykle ważny. Ależ Unni będzie się złościć!

Morten bardzo chciał coś zrobić, ale nie mógł. Emma pomogła mu, pokierowała jego ręką. To było cudowne, lecz ciało Mortena wciąż pozostawało jak martwe. Emma z zamkniętymi oczami przyjmowała pieszczoty Mortena, a on, uświadomiwszy sobie, że oto jest w stanie zaspokoić tak piękną kobietę, doznał szoka

Emma odetchnęła głęboko.

- Przyjdę jutro. Przyniosę ze sobą kapsułki viagry. Nie wolno nam się poddawać.

- Nie, jutro nie, ja wyjeżdżam!

- Ach, jak szkoda! Rano?

- Tak, bardzo rano.
- A kiedy wracasz?
- Za kilka dni.
- Świetnie, wobec tego wtedy się zobaczymy.

Morten został sam. Był śmiertelnie zmęczony, ale teraz nie mógł już zasnąć. Piękna dziewczyna znów zostawiła swoje rękawiczki, szybko je schował.

Emma prześlizgnęła się przez bramę.

- Przynajmniej tyle wiemy. Nie zdąży spłodzić dzieci, nie jest groźny! A więc jutro!

Vesla pojawiła się przy samochodzie następnego dnia o ciemnym jeszcze poranku. Wyglądała na wesołą i pełną nadziei, lecz jej uśmiech wyglądał na lekko drżący, jak spostrzegł Antonio.

Wszyscy w domach tłumaczyli się bardzo mętnie, odpowiadając na pytania dotyczące tej podróży. Nie zdradzili, co jest jej celem, nie wspominali też o dacie ani godzinie odjazdu. Antonio nie miał z tym żadnego kłopotu, z pozostałymi było gorzej. Musieli się zmagać ze zdziwionymi rodzicami, ciotkami i wujami.

Podróżnicy bali się jednak, że nastąpi jakiś przeciek.

Vesla wyglądała wspaniale jak amazonka, jeśli takie w ogóle istnieją. Wysoka, dość mocnej budowy, mówiła kontraltem.

Kiedy nadaje się imię dziecku, nie wolno brać pod uwagę tego, jak ono wygląda jako noworodek czy niemowlę. Unni znała mężczyznę ważącego sto trzydzieści kilo, którego w dzieciństwie nazwano Putto. Znała też kruchego, małego facecika o imieniu Viking.

Hoża i dorodna Yesla\* była niczym marzenie dla

fotografów mody, którym znudziły się już anorektyczne modelki. Rosła dziewczyna natychmiast otoczyła troską Mortena. Antonio wypożyczył wielki samochód, w którym mieścił się wózek inwalidzki, a na dodatek wszyscy czworo mogli oczywiście siedzieć w nim wygodnie jak w zwykłym samochodzie osobowym. Ku żalowi Mortena Vesla uparła się, by siedział wraz z nią z tyłu, tam bowiem jedno oparcie dawało się rozłożyć, mógł więc odpocząć, gdyby okazało się to konieczne. Morten wolałby siedzieć z przodu, skoro mieli jechać przez całą Norwegię. Żadne z nich niestety nie zarabiało zbyt wielkich pieniędzy, nie stać więc ich było na samolot, chociaż taka podróż byłaby zapewne najprostszym rozwiązaniem.

Zdażyło już nastać przedwiośnie, czy może raczej należałoby powiedzieć „pozimie”, nie najlepszy czas na przejazd górkami przełęczami, oni jednak i tak zwlekali już bardzo długo z uwagi na Mortena. Chcieli, żeby jechał w możliwie najlepszej formie, zresztą styczeń i luty to niezbyt dobry czas na górskie wyprawy.

Bardzo niewiele osób wiedziało o ich wyjeździe. Emma wypytywała ich wszystkich na lewo i prawo, lecz uzyskała niejasne odpowiedzi. Za nic na świecie nie chcieli, żeby jechała z nimi.

Samochód ruszył z lekkim kaszlnięciem, Antonio jeszcze się do niego nie przyzwyczał.

Rozpoczęła się więc wreszcie ich podróż wstecz w czasie i przestrzeni. Chcieli znaleźć rozwiązanie ich szczególnej zagadki, a gdyby okazało się, że są obdarzeni zmysłem obserwacji, to być może uda im się odkryć przyczyny ogólnej sytuacji, jaka panowała teraz na świecie.

Chyba nie całkiem wiedzieli, na co się porywają, ani o jaką wielką stawkę, jeśli chodzi o Mortena, ścigają się z czasem. Ani też przeciwko czemu będą walczyć.

Na razie brali udział jedynie w spokojnej przygrywce.

\*Vesla (norw.) - mała (przyp. tłum.).



## *Jednocześnie*

Światło wschodzącego księżyca odbijało się w ły-  
sych czaszkach, lecz jego blask znikał w fałdach czar-  
nych płaszczy.

- Ach, zobaczcie - powiedział śliski jak węgorz głos. -  
Oni się przemieszczają w takim powozie bez koni! Ra-  
zem. Cała nasza ścigana zwierzyna! Wszystkie nasze  
nędzne ofiary podane jak na tacy! Wyciągajcie stare na-  
rzędzia tortur, będzie zabawa!

Księżyc świecił na blade, zarośnięte twarze.

„Co oni robią? Jada wszyscy razem? Jak będziemy  
mogli ich chronić?”

„Spokojnie, bracie, najsilniejszy będzie im towarzy-  
szył, a my też uczynimy, co w naszej mocy”.

„W walce z tą watahą wilków, ze spragnionymi krwi  
katami? Niech się strzegą! Strzeżmy się wszyscy!”

## CZEŚĆ TRZECIA

### WSTRZĄSAJĄCE SPOTKANIA

Na razie nie wtajemniczali Vesli w swoje sekrety. Przecież i tak od nich uciekali, doszli więc do wniosku, że nie ma potrzeby wciągać ją w to wszystko.

Rozmowa w samochodzie toczyła się gładko. Vesla była twarda wobec Mortena, ale bardzo opiekuńcza.

Antonio odnosił się do niej z dokładnie tą samą życzliwością, jaką okazywał Unni, przez co z kolei Unni czuła się trochę rozczarowana. Co prawda ona również lubiła Vesłę, lecz sądziła, że ją i Antonia łączy coś szczególnego. Bardzo niezwykła przyjaźń, granicząca z całkowitym oddaniem.

Ale on przecież nigdy nie był dla niej nikim więcej niż przyjacielem. Uważał ją za sprzymierzeńca, i to bardzo wartościowego, i dotychczas to Unni wystarczało.

Lecz przecież sytuacja może się zmieniać.

Tylko czy ona tego tak naprawdę pragnęła? Nie, do diaska, przecież i tak świetnie im było razem!

Z największą słabością Mortena, tym, że nie potrafi zapanować nad potrzebami fizjologicznymi, wspaniała Vesla radziła sobie niezwykle zręcznie i dyskretnie.

Morten jednak nie krył rozpaczy.

- Chodzę z pieluchą jak niemowlak - mruzczał z trudem, bo płacz ścisnął go za gardło.

- Na Boga, chłopie, naprawdę nie ma się czego wstydzić - powiedziała raz Vesla, kiedy zdarzył mu się drobny wypadek. - Nie przesadzaj!

W końcu Morten się uspokoił. Radowało to jego

przyjaciół. To była przecież jego podróż, o wszystkim decydował on i jego stan.

Wszyscy troje zauważyli, jak bardzo szczęśliwa jest Vesla podczas tej wyprawy. To ich nieco dziwiło, lecz cieszyli się, że zabrali ją ze sobą.

Dojechawszy do Kvam, uznali, że pora na dłuższą przerwę na posiłek. Weszli więc do „Gospody Sinclaira” i tam się nieco pokrzepili. Unni próbowała rozproszyć trochę przygnębienie Mortena, zamawiając czystą wodę mineralną: „Tylko poproszę o dobry rocznik i jedynie pół szklanki, bo się odchudzam”. Dowcip nie całkiem wypalił, Antonio więc spytał go wprost:

- Zdarzają ci się gorsze okresy, Mortenie? To byłoby całkiem naturalne.

Chłopak prychnął.

- Z początku zupełnie się załamalem, zwłaszcza wtedy, gdy wszyscy przyjaciele zniknęli. Myślałem wówczas o tym, żeby powyciągać z siebie wszystkie te igły od kroplówek.

I Unni, i Vesla ze wstydem pochyliły głowy.

- Ale potem pojawiła się Unni, a później ty, Antonio, i wokół mnie trochę pojaśniało, choć oczywiście czasami zdarza mi się wpaść w ciemną czeluść. Przepraszam, jeśli ostatnio byłem zbyt marudny.

- Marudź sobie, ile chcesz - powiedziała Unni wielokodusznie. - To twój przywilej.

- Dziękuję ci bardzo, bo nie gwarantuję, że przez cały czas będę radosny jak szczygielek.

- Wiemy, wiemy - uspokoiła go Vesla. - Pamięta), że teraz masz nas. Wszyscy jesteśmy do twojej dyspozycji. Unni, Tony i ja.

Antonio zwrócił się bezpośrednio do niej:

- Wiesz, Veslo, uznałbym za zaszczyt, gdybyś zechciała nazywać mnie Antoniem.

- Och! - zaczerwieniła się dziewczyna. - Przecież tylko twoim najbliższym przyjaciołom wolno tak się do ciebie zwracać, bardzo więc dziękuję. Ale Emma...

- Emma nigdy nie uzyskała mojego pozwolenia - przerwał jej ostro Antonio. - To najbezczelniej szła dziewczyna, jaką kiedykolwiek spotkałem.

Unni wiedziała, że Antonio w pewnych sprawach ma bardzo staroświeckie poglądy. Za to też go lubiła.

- Cudownie być daleko od niej i od wszelkiego niebezpieczeństwa! To będzie naprawdę miła podróż. Wiesz, Veslo, zaimponowałaś mi tym, ile potrafisz!

- Mnie także - przyznała Unni szczerze. - Od tej strony zupełnie cię nie znaliśmy.

- Co jest moją nową stroną? To że zmieniam pieluchy? - spytała rozbawiona. - Ale bardzo wam dziękuję. Ogromnie się cieszę, że zechcieliście zabrać mnie ze sobą. Nie potraficie nawet pojąć, jak bardzo.

Antonio wyglądał na osobę, która bardzo by się chciała tego dowiedzieć, lecz Unni powiedziała:

- Wydaje się, że to my powinniśmy ci dziękować.

Chłopcy pokiwali głowami.

- Ale co miałas na myśli, mówiąc o niebezpieczeństwie? - spytała rozweselona Vesla z ciekawością.

- O tym później - odparł zamiast Unni Antonio. - To nas nie dotyczy, przynajmniej dopóki jesteśmy w podróży. Mortenie, czy twoja babcia wie, że przyjeżdżamy? Chyba do niej zadzwoniłeś, tak jak obiecywałeś?

- Oczywiście, ogromnie się ucieszyła.

- Z całej tej naszej bandy? - zdziwiła się Unni.

- Wszyscy jesteście serdecznie zaproszeni.

- Świetnie - powiedział Antonio. - Ale jeśli wszyscy już skończyli, to jedziemy dalej.

Vesla, która miała niewiele okazji, by podróżować podziwiała Norwegię, jakiej nigdy nie widziała. Stare, dobrze utrzymane zagrody wysoko na zboczach, łąki tak strome, że można by je kosić naraz po obu stronach, jak powiedziała Unni, zlewające się rzeki Otta i Sjoa, zielone niczym lód wody jeziora Vaga.

- Wyobraźcie to sobie latem - szepnęła Vesla. - Tyle rzeczy mi przepadło!

Wśród ciągnących się daleko wzgórz od Lom w stronę Grotli, na biegnącym przez pustkowia odcinku drogi zatrzyma! ich znak zapowiadający roboty drogowe i czerwone światło.

- Mam nadzieję, że to nie potrwa zbyt długo - mruknął Antonio. - Będziemy teraz jechać przez góry i przydałoby się dzieńne światło.

Upłynęło jednak niedużo czasu, a już zjawili się trzech robotnicy w hełmach i odblaskowych kombinizonach. Zmierzali w ich stronę.

- Co się znów stało? - zastanawiała się Unni.

Tymczasem Antonio zdrętwiał.

- Co, do diabła...

Gwałtownie zapuszczony silnik aż zawył.

- Trzymajcie się mocno!

- Ale przecież mamy czerwone światło! - zawołała Vesla.

Antonio jej nie słuchał. Objechał trzech mężczyzn, wykonując manewr, w czasie którego Mortena rzuciło na Vesłę tak, że musiała go podtrzymywać. Na szczęście był przypięty pasami, inaczej mogło się to nie najlepiej skończyć.

- Czyś ty oszalał! - zawołała Vesla do Antonia. Ona przecież wiedziała jedynie, że mają zawieźć Mortena do babci i że będzie to miły, spokojny wyjazd.

Gorzej było jednak, kiedy samochód wjecha\*

wprost na urządzenie sygnalizacyjne, żeby nie wpaść na mężczyzn stojących na samym środku drogi. Rozległ się straszliwy rumor i zgrzyt, robotnicy coś do nich krzyczeli, lecz Antonio nie słuchał. Wyprowadził samochód na prostą i zjechał na odpowiedni pas ruchu, nie zważając, że czerwone, zielone i żółte światła sygnalizacyjne uderzają o dach.

Jeden z mężczyzn zdążył uderzyć pięścią w szybę od strony kierowcy i rozłoszczona twarz zajrzała do środka. Antonio jednak dalej pędził przed siebie, zostawiając robotników daleko z tyłu.

Unni w końcu się pozbierała, wyprostowała się i usiadła tak elegancko jak tylko umiała.

- Co tu się wyprawia? - krzyczała Vesla. - Dlaczego ani Morten, ani Unni nie reagują na taką jazdę?

- Może już się do tego przyzwyczailiśmy - mruknęła Unni cierpko.

Za oknami przemykały lasy i pustkowia.

Atmosfera szoku z wolna ustępowała. Pozostało po niej jedynie rozedrgane zdziwienie. Vesla nie odezwała się więcej ani słowem, widać zastanawiała się, w jakim to gronie wariatów się znalazła.

- Przecież tu nie ma żadnych robót drogowych - powiedział nagle zdumiony Morten. - Przejechaliśmy już co najmniej trzy kilometry i droga jest wspaniała, lepsza być już nie może. Nie minęliśmy też żadnego nakazu zatrzymania się od drugiej strony, a dość pilnie go wypatrywałem.

- Co to było? - ośmieliła się cicho spytać Unni.

Antonio, który przez cały czas mocno zaciskał<sup>2</sup>częki, teraz odparł krótko:

- Leon.

## 26

Idylla więc się skończyła.

Antonio był tak wstrząśnięty, że na pewien czas musiał ustąpić Vesli miejsca przy kierownicy. To doprowadziło do buntu z jej strony, koniecznie chciała się dowiedzieć, co się właściwie dzieje.

- Zaraz się dowiesz - powiedział Antonio zmęczonym głosem. - Muszę tylko najpierw dojść do siebie.

- Czy właśnie to mieliście na myśli, mówiąc o niebezpieczeństwie?

- Tak. Nie spodziewaliśmy się, że będzie nam ono tu zagrażać. Na szczęście możemy uznać, że już minęło. Jeśli tylko dostatecznie szybko się stąd wydostaniemy.

Roztrzęsiona i bardzo, ale to bardzo zdziwiona Vesla usiadła za kierownicą. Unni, kompletna ignorantka w sprawach technicznych, nie potrafiła przecież prowadzić. Raz kiedyś próbowała, wywijała piękne ósemki na polu z owsem, a instruktor krzychał: „Puść, puść!”. Miał na myśli pedał gazu, lecz Unni nie rozumiejąc, o co mu chodzi, puściła po prostu kierownicę. Miała właściwie wielkie szczęście, że trafiła na pole ze zbożem.

Morten nareszcie mógł usiąść z przodu, Unni natomiast odesłano na tylne siedzenie razem z Antoniem.

Doskonale rozumiała, jak bardzo musi być wstrząśnięty. Mówił im przecież, że nie widział Leona od czasu, gdy był dzieckiem. Sama tak była zajęta patrzeniem przed siebie, żeby stwierdzić, na czym polegają roboty drogowe, że nie przyglądała się „robotnikom”, gdy

samochód ich mijał. Nie miała więc pojęcia, jak wygląda Leon.

- No to wiemy już przynajmniej, kto się za tym kryje - powiedziała.

- To on na mnie wjechał? - dopytywał się Morten.

- Bardzo prawdopodobne, to w jego stylu.

- No to zawróć i teraz ty go przejeźdź! - oświadczył Morten zimnym, przejrzystym jak szkło głosem.

- Mnie też potrącił? - spytała Unni.

- O tym nic nie wiemy - odparł Antonio. - On nie jest sam. Podejrzewam, że jest ich więcej.

- Tak, to jasne. Leon nie mógł przecież być na przyjęciu urodzinowym Mortena.

- Ależ, kochana Unni, wiadomość, którą dostał Morten, była przyjazna, a o Leonie można powiedzieć wszystko, tylko nie to!

- Może on chce, żeby Morten wykonał jakąś czarną robotę, wszystko jedno, na czym ona ma polegać?

- O tym dyskutowaliśmy już wcześniej, do niczego nie dochodząc - odparł z lekką nutką zniecierpliwienia w głosie Antonio.

Vesla była zbyt przerażona, by prowadzić płynnie. Na zdrażliwym podłożu zrobiła kilka niepewnych manewrów.

Antonio popatrzył na krajobraz. Jechali teraz pod górę, pryzmy odgarniętego przez pługi śniegu były tu wysokie, a strumyczki topniejącej wody spływały na jezdnię. Na wyżynach Norwegii ziemie daleko było jednak do końca.

- Nie wiedziałem, że tak mocno nienawidzę tego człowieka - powiedział Antonio cicho. - Postarzał się, a to na pewno on. Nienawiść prawie mnie zaślepiła, lo nie jest zdrowe uczucie, Unni.

- Witam w klubie - odezwała się z goryczą Vesla<sup>2</sup> przedniego siedzenia.

Antonio w milczeniu obserwował jej profil. Potem powiedział głośno:

- Teraz chciałbym się dowiedzieć, kto puścił parę o naszej wyprawie?

- O wyjeździe chyba wszyscy wiedzieli - odparł Morten.

- Owszem, ale nie o tym, że wyjeżdżamy właśnie dzisiaj. Kto oprócz naszych najbliższych znał ten termin?

Unni zapewniła, że ona nic nikomu nie powiedziała. Sumienie Mortena było czarne jak noc, tymczasem to Vesla powiedziała zdumiona:

- Nie przypuszczałam, że to jakaś tajemnica! Wiedziałam jedynie, że nie wolno mi nic mówić Emmie, bo nie macie ochoty jej zabierać.

Antonio jęknął.

- To nasza wina, Veslo, przepraszamy. Ilu osobom o tym powiedziałaś?

Dziewczyna zastanowiła się przez chwilę.

- Z postronnych? Tylko Jornowi, nikomu więcej, to mogę przysiąc.

Unni zamyśliła się.

- Jorn chodzi za Emmą na kolanach.

- No tak, ale to nie Emma tu była, tylko Leon - przypomniał Antonio. - Zresztą nie przypuszczam, żeby ona o czymkolwiek wiedziała. Na pewno by się jakoś odezwała, przecież przez cały czas marudziła, żeby ją ze sobą zabrać.

- Może się obraziła? - podsunął Morten.

- Emmy nigdy nie można urazić - odparła cierpko Unni. - Na to jest za bardzo zachwycona sobą.

Morten odetchnął z ulgą, był ocalony. Nie musiał się do niczego przyznawać.

Antonio jednak wciąż się niepokoił.

- Możesz trochę przyspieszyć, Veslo? Leon tak łatwo nie ustąpi.

Teraz Vesla naprawdę się zdenerwowała.

- Po pierwsze, nie jestem przyzwyczajona do prowadzenia tak wielkiego samochodu, a po drugie, gadać o jakichś co najmniej mordercach i...

- Zjedź na bok, ja poprowadzę.

Vesla, nie kryjąc wzburzenia, usłuchała.

- Muszę wyjść - powiedział Morten.

- Nie teraz - poprosił Antonio. - Oni na pewno jadą za nami, wiem o tym.

Ale Vesla wyraźnie się ożywiła.

- Czujesz, że musisz, Mortenie?

- I to bardzo.

- Hura! To olbrzymi krok naprzód!

- No, akurat w tej chwili nie jest to takie radosne uczucie - mruknął Morten. - Już za późno.

Teraz Antonio przejął kierownicę i jak szaleńcy pościgali naprzód. Antonio, dostrzegłszy dobrze wyjeżdżoną leśną drogę, skręcił na nią i wjechał w głąb, tak by byli niewidoczni z szosy, i Vesla pomogła Mortenowi doprowadzić się do porządku.

- To tak strasznie upokarzające, że mało brakuje, a zaraz się rozpłaczę - poskarżył się Morten.

- Ani się waż - krótko odparł Antonio. - Zwał winę na mnie, po prostu nie mogłem zatrzymać się w porę. Zresztą najwyższy czas na zrobienie ci zastrzyku.

Podczas gdy para medyków zajmowała się Mortenem, Unni wsłuchiwała się w odgłosy ruchu na szosie. Tu, w tym wielkim pustym sosnowym lesie, słychać je było wyraźnie.

Trochę zmarzły jej nogi, lecz nie chciała się do tego przyznać.

- Za nami nadjechały dwa samochody - poinformo-

wałą przyjaciół, gdy byli już gotowi do dalszej drogi. - Pierwszy ciągnął równym, trochę kaszłym kłusem.

- To ta kupa złomu, którą mijaliśmy po drodze - skomentował Antonio.

- Na pewno. Drugi przejechał we wściekłym pędzie. Przemknął jak naoliwiona błyskawica. To właściwie dość absurdalne określenie, prawda?

Antonio nie podjął tematu.

- Pewnie potrzebowali czasu na uprzątnięcie znaków drogowych i świateł - rzekł. - Ale teraz znów są przed nami, a to nie wróży dobrze. Czy tu nie ma jakiegoś skrótu, Mortenie?

To Morten siedział nad mapą, szczęśliwy, że może się do czegoś przydać.

- Tutaj nie, bardziej w przód. Jeśli w ogóle można to nazwać skrótem, a nie nadłożeniem drogi. No i jeśli będzie otwarty o tej porze roku.

- Miejmy nadzieję, że tak, musimy jak najprędzej oddalić się od głównej drogi. Chyba że złapią nas, zanim tam dojedziemy.

To, zdaniem Unni, zabrzmiało dość przerażająco. Świetnie zapowiadająca się wyprawa do Vestlandet nieoczekiwanie zmieniła charakter. Wymienili z Antoniem szybkie spojrzenia i Unni wiedziała już, że myślą o tym samym: babcia Mortena znalazła się w niebezpieczeństwie.

Antonio natychmiast poprosił chłopaka, żeby zatelefonował do niej z komórki. Została wprawdzie uprzedzona, że do niej jadą, i cieszyła się na tę wizytę, ale przecież nastąpił kryzys.

Morten zaraz zadzwonił. Rozmowa trwała długo, wreszcie jednak plan był gotowy. Babcia umówiła się z Mortenem, że wyjedzie im na spotkanie. Powiedziała, że ma bliskiego przyjaciela, mieszkającego niedale-

ko Nordfjordeid, i tam będzie na nich czekać. Morten cały czas podkreślał, że za nic w świecie nie wolno jej zostawać samej w domu.

Babcia zapewniła, że wszystko będzie w porządku. Jej przyjaciel z Nordfjordeid jest właścicielem zamkniętego zimą pensjonatu, tam będą mogli się ukryć. Zadzwoni do niego niezwłocznie, żeby zdążył nagrzać w pokojach.

Niepotrzebne były żadne zawiłe wyjaśnienia, babcia dobrze wiedziała, o co chodzi. Miała już swoje doświadczenie, i to dwukrotne. Mąż i córka...

Teraz niepewny był los jej wnuka.

Antonio westchnął z ulgą, gdy dowiedział się o możliwości noclegu. Teraz najważniejsza rzecz to pozbyć się prześladowców, którzy znajdują się gdzieś przed nimi.

Wcale nie musieli jechać na skrót...

Antonio, odruchowo zwalnając na parę sekund, wykrzyknął:

- Spójrzcie na to! Ależ mieliśmy szczęście!
- Więcej szczęścia niż mogliśmy mieć nadzieję - przyznała Unni.

Przy rozbitym samochodzie stało trzech mężczyzn. Na zupełnie prostym odcinku szosy udało im się wjechać w drzewo wyrastające ze śniegowej zasp.

Stali na samym środku drogi w swoich fałszywych odblaskowych kombinezonach, chcąc zatrzymać samochód Antonia, i wcale nie mieli zamiaru ustępować. Jednemu z nich ciekła krew z rozciętego policzka, poza tym wyglądali na całych i zdrowych.

- Kładźcie się! Oni mogą być uzbrojeni! - rozkazał Antonio.

Vesla zawołała coś w rodzaju: „Postradaliście rozum! Co wy wyprawiacie? Przecież musimy im pomóc, co to wszystko ma znaczyć?”. Unni zasłoniła twarz rękami, nie bardzo więc widziała, co się stało, lecz mimo wszystko mogła śledzić, co się dzieje, za pomocą dotyku i słuchu.

- Antonio, czyś ty oszalał? - jęknął Morten.

Mężczyźni zagrodzili całą drogę, lecz Antonio nie zamierzał się zatrzymać. Skreślił ku brzegowi szosy po przeciwnej stronie, ale nie mógł zjechać całkiem w bok, bo ściany odgarniętego śniegu były zbyt wysokie. Un-

ni usłyszała krzyk strachu z tylnego siedzenia i przez moment dostrzegła, jak mężczyzna stojący najbliżej musiał uskoczyć w bok, żeby umknąć śmiertelnemu zagrożeniu, i samochód przejechał. Nie padł żaden strzał.

Kolejny raz nie miała okazji zobaczyć twarzy Leona, nie było jednak żadnych wątpliwości, że to on stał najbliżej.

- Mogłeś go zabić! - jęknęły Vesla i Unni chórem. Twarz Antonia była trupio biała.

- Wiem o tym. Dłużej tak się nie da. Musi poprowadzić ktoś inny.

Tym kimś mogła być tylko Vesla, lecz ona kategorycznie odmówiła. Zwykle spokojna i dobroduszna, prezentowała teraz sobą prawdziwy chaos uczuć: strachu, niezrozumienia, wściekłości i żalu, że dała się namówić na tę wycieczkę. Była bliska płaczu, chociaż nie chciała tego okazywać. Siedziała tylko, przełykając ślinę, a ręce drżały jej tak gwałtownie, że musiała je zaciskać.

- Boisz się siebie? - cicho spytała Unni Antonia.

- Tak. Pamiętam, jak byłem bardzo mały... obiecałem kiedyś swojej matce, że zabiję Leona. To prawdopodobnie jeszcze reakcja z tamtego okresu sprawia, że zachowuję się tak.- inaczej. To do mnie bardzo niepodobne, Unni.

- Wiem, ale on przecież zamordował twego ojca, znęcał się nad Jordim, no i pobił śmiertelnie twoją matkę. Mnie to wystarczy.

- Dziękuję ci, to się już nie powtórzy, obiecuję. Teraz będę spokojniejszy.

W to akurat Unni szczerze wątpiła, ale nic więcej na ten temat nie powiedziała.

Vesla słuchała, co mówią. Wciągnęła głęboko powietrze kilka razy, żeby pokazać, iż jest w stanie powstrzymać histerię, która w niej narastała. Musi do wiedzieć się w końcu, co tu się dzieje.



Ale przy prędkości, z jaką Antonio prowadził samochód, niełatwo było dowiedzieć się czegokolwiek.

- Mam nadzieję, że jeszcze przez jakiś czas nie nadjedzie żaden samochód, który by ich zabrał - mruknął Morten.

- Naprawdę, czy można mieć takie szczęście jak my? - spytała Unni. - Jak mogli wjechać na to drzewo?

- Ja też się nad tym zastanawiam - odparł Antonio przez zaciśnięte zęby.

Minęli już Grotli i prowadząca na zachód droga zaczynała powoli schodzić w dół. W długich imponujących tunelach Antonio zwalniał jednak i gdy przejeżdżali przez okolice, od których mogło zakręcić się w głowie, wtajemniczyli Vesłę w całą historię.

Unni zamieniła się z nią na miejsca. Antonio chciał, żeby Vesła siadła obok niego, tak by sam mógł jej opowiedzieć jak najwięcej, Unni i Morten uzupełnili o to, co sami przeżyli.

- Chyba rzeczywiście oszaleliście - powiedziała w końcu Vesła. - Cóż to za bajki mi wmawiacie! Chcecie się potem ze mnie śmiać? Owszem, widzę, że dzieje się tu coś dramatycznego, dość boleśnie to sobie uświadomiłam, ale sądziłam, że tylko Antoniowi odbiło. Jak można jechać prosto na człowieka? Ciągle jeszcze się trzęsę! A ta opowieść o dziedziczeniu śmierci w dwudziestym piątym roku życia, która to niby dotyczy Mortena i Antonia, jest kompletnie idiotyczna, o takich rzeczach czytają dwunastolatki w książkach z bajkami! I jacyś upiorni jeźdźcy? Dajcie spokój, teraz chcę poznać całą prawdę!

Unni powiedziała z namysłem:

- Veslo, Antonia poznałaś niedawno, dobrze znasz natomiast Mortena i mnie. Znamy się od wielu lat, czy wydawaliśmy ci się kiedyś szaleńcami? Wierzyliśmy w podobne wymysły?

Nie, musiała przyznać, że nigdy tak nie było. A wszystko to, co opowiadali o wypadkach samochodowych i napaściach... rzeczywiście zostali przecież ranni, no i tragiczne dzieciństwo Antonia... Jego brat, który zmarł w wyniku działania przekleństwa, zło tkwiące w Leonie™

Czy naprawdę uważali, że ma w to wszystko uwierzyć?

Wiele razy od tamtego pierwszego zderzenia przy światłach drogowych miała szczerzy zamiar poprosić, żeby ją wysadzili, ale tu, na tych zimowych pustkowiach...?

Potem doszła do wniosku, że może wysiąść w Stryn i stamtąd wrócić do domu. Zawsze pozostawała jej ta możliwość.

Do domu? Do matki? Do pracy, z której zrezygnowała? I co z Mortenem, który jej potrzebował?

Bajki... Ależ oni byli tacy pewni swego, wszyscy troje, że musiała im uwierzyć. No, prawie.

Zawsze przecież pozostawało rozwiązanie ze Stryn. Długo siedziała w milczeniu.

- Chcesz się całkiem wycofać? - spytał Antonio, jak gdyby najwycyzajniej w świecie potrafił czytać w myślach.

- Tu w samym środku tunelu Ospeli? - spytała Vesła, jakby się budząc. - Nie, jak się wzięło diabła do łodzi, to trzeba go dowieźć do brzegu.

- Świetnie - ucieszyli się pozostali.

Czy ja się już zdecydowałam? spytała siebie w duchu. Zobaczę w Stryn.

Lekko drżącym głosem powiedziała:

- Muszę przyznać, że jestem dość roztrzęsiona, nie mam ochoty wysiadać z samochodu. On mi się wydaje cienką, lecz mimo to ochronną skorupką w pełnym grozy świecie. Tylko błagam, niech nie będzie już żadnych wybuchów emocji w czasie, gdy prowadzisz, Antonio. Zagniewani kierowcy są śmiertelnie niebezpieczni.

- Przrzekam - uśmiechnął się z pewnym wysiłkiem.

Strach Vesli zupełnie nieoczekiwanie uspokoił Unni. Teraz to ona mogła wykazać się pewną rutyną, to ona zdążyła się już zahartować.

Czuła się silna.

Wycieńczony Morten ułożył się do snu. Unni uznała jego pomysł za bardzo rozsądny i też zwinęła się w swoim kącie. Wkrótce oboje spali.

Na przednim siedzeniu rozmowa toczyła się z pewnym trudem.

- Kiedy się zorientowałem, jak wielka jest moja nienawiść, usłyszałem, że powiedziałaś „witaj w klubie” - zaczął Antonio. - Od dłuższego czasu cię obserwuję i zastanawiam się, co jest z twoją duchową równowagą. Czy ty także dźwigasz w sobie nienawiść, Veslo?

Dziewczyna musiała głęboko zaczerpnąć powietrza, nim ośmieliła się odpowiedzieć:

- Może nie nienawiść, ale na pewno olbrzymi gniew, który we mnie płonie.

- Tak właśnie myślałem. W pewnym sensie poznałem w tobie samego siebie.

- Rozumiem. Rozumiem twoją nienawiść do tego Leona. Wydaje mi się, że gdybym nie mogła dzisiaj z wami wyjechać, to coś złego stałoby się w domu. Moje nerwy osiągnęły ostateczną granicę napięcia.

- Tymczasem okazało się, że wpadłaś z deszczu pod rynnę - uśmiechnął się Antonio półgębkiem.

- Tak nie będę mówić, dopóki nie zweryfikuję tej waszej historii. Ale rzeczywiście, bardzo się bałam.

Przez chwilę milczeli.

- Nie chcesz opowiedzieć? - spytał cicho Antonio. - O tym twoim gniewie?

- Nie wiem - odparła. - On tkwi tak głęboko w przeszłości, jeszcze w dzieciństwie. To takie banalne historie-

Antonio w duchu stłumił westchnienie.

- Jestem przyzwyczajony i zahartowany. Wydaje mi się, że powinnaś z kimś porozmawiać.

- O, tak, to jasne. Ale czy ty jesteś właściwą osobą?

- Nie zawsze zachowuję się tak jak teraz. Byłem kompletnie nieprzygotowany na spotkanie z Leonem. Teraz już wiem, z kim musimy walczyć, i będę zachowywał się spokojniej.

- A ci mnisi i upiorni jeźdźcy?

- Może zajmujemy się poszczególnymi sprawami po kolei. Ich tutaj nie ma. No więc jak? Możesz się nie spieszyć, przed nami jeszcze długa droga.

- Nie wiem - powiedziała Vesla. - Nie wiem, kogo mam oskarżać. To znaczy wiem, ale tego nie lubię.

- Możesz mi przedstawić same fakty, to i tak będzie dużo.

Vesla zerknęła w tył, przekonała się, że ich współtowarzysze podróży śpią, i cicho zaczęła opowiadać.

- Pamiętam moją matkę jako kobietę luksusową, która nie miała warunków finansowych na to, by żyć w luksusie. Ojciec miał zwyczajną, całkiem niezłą pensję, ale się nie przelewało, i matka strasznie go naciskała, żeby zarabiał więcej. Zawsze się skarżyła, że znajomych i sąsiadów stać na to czy na tamto, podczas gdy ona nic nie ma. Miała całe mnóstwo, ale nigdy jej to nie wystarczało.

- Nie mogła sama iść do pracy?

- Matka? Ona nigdy w życiu nie kiwnęła nawet palcem, zawsze znajdowała tysiąc wymówek. Była słodką, pełną wdzięku porcelanową laleczką, która z upływem lat bardzo się zaokrągliła.

- Leniwe życie na ogół do tego prowadzi.

- To prawda. Ojciec był nadludzko dobry i umiał wybaczać. Kiedy rodzice mojej matki nalegali na to, żeby się do nas przeprowadzić, bo mieliśmy tyle miejsca, nie

sprzeciwiał się. Byli starzy i dosyć chorzy. Babcię pamiętam jako miłą osobę, ale dziadek był wcielonym diabłem.

- No a ty? Gdzie ty w tym wszystkim?

- Ja? Ja byłam dzielną pomocnicą mojej mamy i w miarę jak dorastałam, mogłam wyręczać ją w kolejnych obowiązkach. Byłam dobra i uległa jak ojciec, a mama potrafiła to doskonale wykorzystać. Przez pewien czas, kiedy miałam naście lat, zaczęła się na mnie złościć, dlatego że tak bardzo wyrosłam i byłam taka silna. Umiała to jednak obrócić na własną korzyść, kiedy babcia dostała udaru i nie wstawała z łóżka. Nie, nie, nie mogliśmy oddać babci nigdzie, no bo jakby to wyglądało? Matka powiedziała, że będzie się opiekować własną matką, powtarzała to wszystkim znajomym.

- A opiekę nad babcią pozostawiała tobie?

Vesla westchnęła.

- Dla mnie to było w porządku, lubiłam zajmować się innymi ludźmi, zresztą nadal to lubię...

- Rzeczywiście doskonale sobie radzisz z Mortelem, ale dla nastolatki to pewnie było za dużo?

- Nie przy babci. Natomiast ten złośliwiec dziadek dostał sklerozy i nie był w stanie o siebie zadbać. On też został przykuty do łóżka, a matka dzielnie wdychała przy wszystkich przyjaciołach i sąsiadach, mówiąc im, że i swoim biednym ojcem także się zaopiekuje.

- I znów nic nie robiła. Widzę już, jaka to prawdziwość.

Vesla miała widoczne problemy z dalszym mówieniem.

- To... To wszystko zrobiło się bardzo nieprzyjemne. Staruszkowie leżeli oboje w tym samym pokoju i rzeczywiście się zdarzyło, że matka zgodziła się zanieść im na górę kawę. Stało się to tylko raz. Sklerotyczny dziadek zaczął ją obmacywać, co ją ogromnie oburzyło. „Ty będziesz musiała się tym zająć, Veslo, ta-

ka jesteś silna i dzielna”. Nie miałam najmniejszego pojęcia, o co chodzi, ale wkrótce się dowiedziałam. Miałam zaledwie trzynaście lat, a dziadek wyciągał do mnie swoje macki, i jeszcze nieszczęsna babcia była świadkiem jego zachowania. Szukałam pomocy u ojca. Powiedziałam mu, że nie jestem w stanie zająć się dziadkiem tak jak powinnam. Czy nie można by go gdzieś umieścić? Ale wtedy matka dała swój popisowy spektakl ze łzami, krzykami o braku serca i obawami o to, co powiedzą sąsiedzi. Nie potrafiłam się przemóc, żeby zwierzyć się mojemu ojcu, co dziadek ze mną robił, i ojciec jak zwykle uległ matce i pozwolił mu zostać. Chodziłam wtedy do szkoły i musiałam się uczyć, a w czasie kiedy miałam lekcje, matka nic nie robiła dla swoich rodziców, przez co moja praca po południu stawała się jeszcze o wiele trudniejsza. To było kilka naprawdę męczących miesięcy. Musiałam używać laski, żeby trzymać tego starucha z dala od siebie, kiedy się nim zajmowałam. Dużo wtedy płakałam. Na szczęście nie był w stanie zrobić mi nic poważnego, próbował mnie tylko dotykać i obrzucał świńskimi komentarzami. A potem popełniłam największe przestępstwo mego życia, którego nigdy nie zdołam naprawić. Ja... widziałam, że dziadek umiera... i uciekłam. Pozwoliłam, żeby umarł bolesną śmiercią w samotności.

- Ależ to musisz sobie wybaczyć! Dźwigałaś nie-ludzki ciężar.

Vesla zdusiła westchnienie.

- Babcia zmarła rok później. Właściwie straciła już mowę, ale zbliżyłyśmy się do siebie. Pomaganie jej dawało mi radość. Później... byłam... „wolna” przez dwa lata. I z kolei ojciec dostał zawału, a potem kolejnych udarów. Jego pielęgnacja szła mi dobrze, tak bardzo go przecież kochałam. Matka wprawdzie mieszkała w tym

samym domu, ale można powiedzieć, że wręcz wyrzekała się znajomości z nim. On przecież do niczego już się nie nadawał i... „nie mieliśmy z czego żyć”, choć oczywiście tak nie było. Matka koniecznie chciała, żebym rzuciła szkołę i znalazła sobie jakąś dobrą pracę, ale ja zamierzałam zostać pielęgniarką i uparłam się przy tym. Ojciec zmarł, kiedy miałam siedemnaście lat. Wypłakiwałam sobie oczy podczas pogrzebu, matka od czasu do czasu podnosiła do oczu koronkową chusteczkę, ale żadnych łez u niej nie widziałam.

Vesla musiała zrobić przerwę dla nabrania oddechu.

- Wiesz, ogromnie mi pomogło to, że mogłam się wygadać, chyba moje słowa płyną jak wodospad. Masz już dość słuchania?

- Ależ skąd, przeciwnie! A więc tak jak myślałam, każde z nas nosi w sobie święty gniew. A co było później?

Vesla mówiła tak szybko, że teraz była zdyszana.

- Po ukończeniu liceum dostałam się do szkoły pielęgniarskiej i mogłam mieszkać poza domem. Poznałam smak wolności, Antonio. Listy matki były długimi tyradami o tym, jak bardzo jest jej trudno, jak bardzo jest chora i jaką ma niewdzięczną córkę, która nie chce się zająć starzejącą się matką. Rzeczywiście moi rodzice byli już dość starzy, kiedy się pobrali i kiedy ja się urodziłam. Potem wróciłam do domu, a ona od nowa rozpoczęła granie na swej własnej bezradności. Ale ja nie miałam już więcej siły, uważałam, że najlepiej będzie jej samej, tak żeby musiała coś robić. Szukałam jakiejś dobrej pracy w innym mieście gdzieś daleko, ale ona mnie uprzedziła. Nie zdążyłam nawet złożyć podania o pracę, a już załatwiła mi posadę w domu opieki, położonym w pobliżu naszego domu. A ja nie bardzo potrafię się sprzeciwić. Zostałam więc odpowiedzialna za sklerotyków, bo matka podkreślała, że to coś, co bardzo dobrze umiem. An-

tonio, ona mnie sparaliżowała! Nie mam nic przeciwko pracy ze starszymi ludźmi, ale ten gniew, ta chęć buntu we mnie narastały. Przestraszyłam się sama siebie, wbrew jej woli wyprowadziłam się z domu, bo po prostu nie mogłam z nią dłużej mieszkać. Ale ona mnie wprost terroryzowała, dzwoniła i mówiła, że jest bezradna, stara i chora, a doprawdy, wcale taka nie jest. Nie ma jeszcze nawet siedemdziesięciu lat i doskonale radzi sobie sama. A ja byłam „dobra” i przychodziłam jej pomagać... Ale teraz miarka się przebrała. Dziękuję, że mnie ze sobą zabraliście. W pracy złożyłam wypowiedzenie, muszę mieć wolność wyboru.

- Oczywiście. Jesteś na nią okropnie zła, to rozumiem.

Vesla, zwierzywszy się nareszcie komuś ze swoich problemów, drżała teraz na całym ciele. Oczywiście czuła niesmak, że w taki sposób zdradziła swoją matkę, sama jednak uznała, że to konieczne. Zresztą Antonio obiecał, że nikomu nic nie powie.

Ufała mu pomimo wszystkich tych strasznych nieprawdziwych opowieści, wiedziała bowiem, że gniew może wybuchnąć jak lawina. Doskonale rozumiała jego nienawiść w stosunku do Leona.

Niektórzy ludzie nie potrafią robić dwóch rzeczy naraz. Pasażer, który siedzi w samochodzie i rozmawia przez telefon, nie widzi krajobrazu za oknem, albo widzi go, a nie słucha osoby na drugim końcu linii.

Podobnie było i z Veslą. Podczas rozmowy z Antoniem świat zewnętrzny przestał dla niej istnieć. Teraz nagle jakby się przebudziła.

- Ależ, na miłość boską! - zawołała, kiedy zbliżali się do Stryn. - Przecież tu jest już wiosna!

Na tylnym siedzeniu zapanował jakiś ruch.

- Rzeczywiście, przejazd ze wschodniej Norwegii

do zachodniej o tej porze roku potrafi być naprawdę dramatyczny - uśmiechnął się Morten. - To cudowne uczucie być tu znów, poczuć to niezwykle powietrze i zobaczyć te wszystkie ogromne kontrasty w monumentalnym krajobrazie.

- Masz rację - powiedział Antonio. - Trochę mnie tylko denerwują te krótkie dni. Spójrzcie, chociaż jeszcze jest jasno, to jednak słońce świeci już inaczej. To światło zwiastuje zmierzch. Nie zdążymy dojechać przez zapadnięciem ciemności.

- Przecież nie jedziemy aż do Selje - próbował uspokoić go Morten. - Niewiele drogi już nam zostało.

- Dostatecznie dużo, jeśli tych ludzi ktoś podwiezie. Unni przeciągnęła się na tylnym siedzeniu.

- Ach, drzemka tak dobrze mi zrobiła! Przecież wstałam o wpół do czwartej rano.

Podobnie jak wszyscy.

- Wiecie - powiedział Antonio - stwierdziłem, że kiedy człowiek gdzieś jedzie, to żeby się rano wyszykować do wyjazdu, potrzeba półtorej godziny, bez względu na to, ile się przygotowuje dzień wcześniej.

Wszyscy się z nim zgodzili. Wyjechali o piątej rano, niemal w całkowitych ciemnościach, bo świecił tylko błądy księżyc, a teraz nikło już światło dzienne.

Znaleźli jakiś kiosk przy drodze, dziewczęta wybiegły, żeby kupić gorące kiełbaski dla wszystkich. Nie mieli czasu zatrzymać się na porządną posiłek, zresztą babcia Mortena obiecała im obiad, gdy tylko się stawią.

Jedzenie w samochodzie łączyło się oczywiście z pobrudzeniem, zwłaszcza w przypadku Antonia, który przecież prowadził. Ale wśród intensywnego zapachu musztardy za pomocą papierowych serwetek doprowadzili się jako tako do porządku i ta drobna przekąska, oczywiście z napojami, dodała im nowej odwagi.

Humory mieli jaśniejsze. Gdy powoli zapadał zmierzch - na razie jeszcze ledwie się zapowiadał, wjechali do Stryn.

Unni nie miała żadnych przeczuć, co teraz nastąpi.

Gdy przejeżdżali koło jakiegoś parkingu, przypadkiem zerknęła w prawo i serce podskoczyło jej w piersi, dech jej zapało i na chwilę straciła głos, ale zaraz zawołała:

- Stop!

Antonio reagował z opóźnieniem.

- Stop, zatrzymaj się, w imię niebios! - zawołała. - Zjeżdżaj tu, na ten parking!

Już zdążyli go minąć, Antonio musiał więc wykonać kilka dziwacznych manewrów, żeby wrócić do zjazdu.

- Co się stało? - spytał zdziwiony.

- To przecież był mężczyzna z lotniska - mówiła Unni bez tchu, śmiertelnie wystraszona, że ten człowiek znów jej zniknie. - Jeśli tak będziesz zwlekał i znów go zgubię, to nigdy ci tego nie wybaczę!

Ani Morten, ani Vesla nie mogli nic z tego pojąć. Antonio natomiast, prowadząc samochód między pojazdami, powiedział:

- Wspominałaś mi kiedyś o jakimś ideale, o którym nie możesz zapomnieć. O kimś, z kim wszystkich porównujesz. Podobno ja trochę go przypominam, czy nie tak? Właściwie było to dość przykre usłyszeć, że jest się substytutem.

Unni wcale go nie słuchała, intensywnie szukała wzrokiem.

- Tam, on stoi tam! Opiera się o samochód, widać nie wie, gdzie jechać. Ach, Boże, to on! Znalazłam go. Nie mogę stracić tej szansy. Co mam zrobić? Przecież nie mogę ot, tak sobie podejść i go zagadać. Ja...

Była bliska płaczu.

Całym ciałem i duszą czuła jedność z tym młodym

człowiekiem, który stał nieopodal. Zmienił się, owszem, był straszliwie wychudzony, miał zapadnięte policzki i oczy, ale to był on. Rysy twarzy miał tak cudowne, jak je zapamiętała, dokładnie takie, o jakich śniła, by znów je zobaczyć.

- Ten samochód - powiedział nagle Morten. - Przecież to ten stary rozpadający się wrak, który wyminęliśmy dawno temu. Zardzewiała kupa złomu! Co w nim szczególnego?

- Kierowca - wydusiła z siebie Unni, ale głos trząsał się jej tak, że sama go nie poznawała.

Antonio wjechał wprost na kamienny krawężnik i wszyscy polecieli w przód.

- Jak ty parkujesz? - krzyknęła Vesla.

Unni ani trochę się tym nie przejęła, całkowicie pochłonięta bohaterem swoich snów. Jego ciemne włosy były trochę za długie, był też nie najlepiej ubrany, w wystrzępione zniszczone ubrania, ale cóż to za mężczyzna! Usłyszała ciche słowa: „Ojej, to jakiś narkoman”, i natychmiast zaprotestowała.

- Nie, to żaden narkoman, jemu dolega coś innego.

Dopiero gdy wysiadła z samochodu, dostrzegła reakcję Antonia. Była wstrząsająca. Również on wyskoczył z auta, stał teraz i wpatrywał się w mężczyznę na drugim końcu parkingu. Twarz Antonia pobielała jak kreda i odmalowało się na niej największe niedowierzanie i przerażenie, jakie tylko można sobie wyobrazić, a jednocześnie było od niego wielkie wzruszenie. W oczach zabłyśły mu łzy.

- Co się stało? - wystraszyła się Unni. - Nie mów mi tylko, że to Leon!

- Nie, nie - szepnął ledwie słyszalnie. - Nie, oczywiście, że to nie Leon. To Jordi!

## 28

Zdumienie, jakie zapanowało w samochodzie, było doprawdy ogromne.

- Jordi? - powtarzał Morten bez końca przez otwarte drzwiczki samochodu. - Jordi? Przecież on nie żyje!

Teraz jeszcze na dodatek zmarły brat, pomyślała Vesla. Chyba nic dziwniejszego już mnie nie spotka.

Antonio wciąż był biały jak prześcieradło.

- Tak, to prawda, on nie żyje. Ale to przecież on!

Unni zaczęła szczerkać zębami, ledwie mogła mówić. Cała się trzęsła.

- On ma bardzo szczególny wygląd, na pewno więc się nie mylisz. Na pewno nie ma wielu takich ludzi jak on.

- Nikogo - odparł Antonio krótko.

Mężczyzna w oddali zrobił ruch wskazujący na to, że ma zamiar z powrotem wsiąść do samochodu.

Antonio ocknął się z odrętwienia. Również Vesla wysiadła, lecz ona stała niepewna przy samochodzie, natomiast Antonio i Unni rzucili się biegiem.

- Jordi! - zawołał Antonio.

Mężczyzna natychmiast się odwrócił i popatrzył na nich. Nie ruszał się z miejsca, dopóki do niego nie dotarli. Na udręczonej, lecz mimo wszystko niezwykle pociągającej twarzy ukazał się lekki, zasmucony uśmiech.

- Nie planowałem ci się pokazywać, braciszku.

Antonio, któremu z oczu łzy płynęły strumieniem, wydusił z siebie:

- Ty żyjesz, Jordi, prawda? Ty żyjesz!

Było to istotne pytanie. Jordi rzeczywiście wyglądał bardziej na umarłego niż żywego.

- Owszem, żyję - odparł z goryczą. - Ale nie wiem, w jaki sposób.

Unni jak zaczarowana wpatrywała się w ukochanego brata Antonia, starszego od niego zaledwie o dwa lata. Dwadzieścia dziewięć lat...

Przesunęła spojrzenie na Antonia.

On wyglądał całkiem zwyczajnie, nie był postacią z baśni, był dobrym przyjacielem i kolegą, niczym więcej.

Po momencie ciszy Antonio objął ramionami wychudłą postać, a Jordi przytulił go tak mocno, jak potrafi to zrobić tylko starszy brat.

- Wiele musisz wyjaśnić, Jordi - powiedział Antonio nieswoim głosem.

- Wiem o tym.

Oderwali się od siebie.

- Mój samochód odmówił już posłuszeństwa. Dojechałem go za darmo na złomowisku.

- Pojedziesz z nami. Jedziemy tylko w odwiedziny do pewnej pani z Selje.

- Tak, do babci Mortena. Ja również się tam wybieram.

- Czy ty wiesz... - Antonio urwał w pół słowa. Wreszcie uświadomił sobie obecność Unni.

- Jordi, to jest Unni. Służyła nam nieocenioną pomocą.

Naprawdę? pomyślała Unni w roztargnieniu w czasie, gdy Jordi kierował na nią swoje fascynujące ciemne oczy.

- Wiem - powiedział miękko. - Witaj, Unni.

W tych paru słowach kryło się przesłanie, że pamięta ją z tamtego spotkania na lotnisku, lecz również

o wiele, wiele więcej, a Unni wiedziała, że jej spojrzenie zdradza, że nigdy o nim nie zapomniała.

Popatrzyła mu w oczy i miała wrażenie, że tonie w cieniu śmierci. Było to przerażające i kuszące zarazem. Na Boga, co ten człowiek zrobił, pomyślała.

- Witaj, Jordi - szepnęła zachrypniętym głosem, który nie chciał jej słuchać. - Wiele o tobie słyszałam.

Smutny uśmiech na moment rozjaśnił jego twarz i szybko zniknął. Unni miała wrażenie, że zaraz umrze ze szczęścia, już tylko dlatego, że ją dostrzegł.

- Zabierz swoje rzeczy - powiedział Antonio. - Widzisz, bardzo nam się spieszy.

- Wiem - powtórzył Jordi po raz trzeci. - Niewiele mam ze sobą.

Zabrał z samochodu plecak i plastikową torbę.

Antonio nie mógł oderwać oczu od brata.

- Nie mogę tego pojąć - powiedział z radością w głosie. Łzy nie przestawały mu płynąć. - Nie mogę tego pojąć.

Ruszyli w stronę dużego samochodu.

Unni jednak ledwie szła, sparaliżowana kolejnym wstrząsem. Gdy bowiem bracia się objęli, rękaw zniszczonej jasnoniebieskiej dżinsowej koszuli Jordiego podsunął się do góry, a Unni dostrzegła na jego ręku stare wypalone piętno.

Ten znak znała aż za dobrze.